

TORILL T. HAUGER

**PORWANI
PRZEZ WIKINGÓW**

TYTUŁ ORYGINAŁU: ROVET AV VIKINGER. FLUKTEN FRAVIKINGENE
PRZEKŁAD: ANNA MARCINIAKÓWNA



I. PORWANI PRZEZ WIKINGÓW

Działo się to w X wieku.

I

Reim drgnął i obudził się przestraszony. Lęk paraliżował jego ciało. Z wolna zaczął obmacywać rękami kamienną, chropowatą powierzchnię, aż trafił na uskok ściany i wyciągnął gałąź, którym zatkały był otwór. Zimne powietrze buchnęło mu w twarz jak poryw wiatru. Na zewnątrz, w srebrzystej poświacie, ujrzał drzewa z wyciągniętymi w górę gałęziami, jakby chciały wysoko na niebie pochwycić tarczę księżycy.

A zatem nie był to jedynie koszmarny sen. Naprawdę znajdował się w tym zimnym kraju, daleko na północy, i wkrótce miała nadejść kolejna długa zima. Zdawało się, że cała natura już tylko czeka, aż pierwsze płatki śniegu zawirują nad ziemią, a cały świat zastygnie w bieli.

Reim zatkał otwór i zaczął się rozglądać po mrocznym pomieszczeniu. Najpierw dostrzegł potężną postać Digraldego, który, oparty o ścianę, czujnie nasłuchiwał. I nagle Reim uprzytomnił sobie, dlaczego spał tak niespokojnie. Przecież to się miało stać dziś w nocy! Właśnie dziś w nocy mieli opuścić dwór. Dlatego Digralde czuwał.

Reim opadł z powrotem na słomę i przysunął się bliżej siostry. Jej plecy były takie ciepłe, przypominało mu się teraz wszystko, co się do tej pory wydarzyło. Miał wrażenie, jakby to w jakimś innym życiu był w domu, w Irlandii. Gdy jednak zamknął oczy, widział wyraźnie zabrudzone ziemią ręce ojca, dające takie poczucie bezpieczeństwa, widział dobre oczy matki i pomarszczoną twarz babci Gaelion, jak siedziała, kołysząc się w tył i w przód, i opowiadała im niezwykle baśnie i przygody.

Tamtego roku, kiedy stało się to wszystko, lato było piękne. Odkąd sięgał pamięcią, takiego sobie nie przypominał. Bardzo dobrze rozumiał, dlaczego Irlandię nazywano najbardziej zieloną spośród wszystkich wysp na całym wielkim świecie. Trawa była tam taka bujna i zielona, że aż prosiła się, by ją kosić, a margerytki rosły na łące stłoczone, jedna przy drugiej. Niebo stało nad ziemią wysokie, rozległe, przepelnione słonecznym światłem. Tak, pamiętał nawet, że łaciata krowa urodziła tamtego lata bliźnięta, a w zagrodzie u sąsiadów przyszło na świat dziesiąte dziecko.

A on miał wtedy na imię Patric. Stare, dobre irlandzkie imię. Kiedyś, kiedy był jeszcze mały, zapytał matkę, dlaczego tak właśnie go nazwali. Uśmiechnęła się wówczas i wzięła go na kolana.

— Nosisz imię po człowieku, który żył w Irlandii dawno, dawno temu — powiedziała. — On także miał na imię Patric. Opowiadają, że uprowadzili go obcy ludzie i że przez wiele lat musiał ciężko pracować jako niewolnik, zanim w końcu odzyskał wolność. Był to człowiek pełen pokory i po śmierci został świętym. Teraz jest największym bohaterem Irlandii. — Wesole iskierki rozbłysły w jej zielonych oczach, gdy dodała: — Starzy ludzie powiadają, że dzieci często dziedziczą różne cechy po tych, których imiona noszą. Ale ty to już na pewno świętym nie zostaniesz, mały urwisie! — I uszczypnęła go czule w policzek.

Tak, co do tego matka miała rację. Świętym to on nigdy nie zostanie. Ilekroć nadarzała się okazja, wymigiwał się od pracy w gospodarstwie, sobie tylko znanymi ścieżkami prze- mykał do lasu i chował się w koronach starych, pokrzywionych dębów, ścigał się z końmi na pastwisku i turlał w wysokiej trawie, nagrzaney od słońca i pachnącej latem.

Aż kiedyś zdarzyło się, że ojciec schwytał go gdzieś na łące, wytargał go za rudą grzywę i powiedział:

— No, trzeba będzie skończyć z tym włóczęciem się po polach i lasach. — Brwi ojca ściągnęły się niczym ciemne, burzowe chmury. — Jesteś jak ten konik polny, co tylko tańczy i śpiewa przez całe lato! Ale po lecie dla wszystkich nadchodzi jesień. Nie wiem, naprawdę nie wiem, co za gospodarz z ciebie wyrośnie, mały włóczykiju.

Patric zawstydział się. To przecież prawda, co ojciec mówi. Gdyby go ktoś poprosił, by mu wydoił krowę — uśmiechnął się blado sam do siebie — na pewno, zamiast doić, zaczęłby ją ciągnąć za ogon.

Ich zagroda leżała na skraju wsi, tuż pod murami klasztoru. Widział teraz oczami wyobraźni trzy małe, kamienne budynki, pokryte słomianą strzechą, i bujne pastwiska wzdłuż niskiego, morskiego brzegu, gdzie pasła się łaciata krowa i cztery długowłose kozy. Od dawna w Irlandii czasy były niespokojne. Moźni panowie i rycerze walczyli ze sobą o bogactwo i władzę nad krajem. Słyszało się także niekiedy o bandach rozbójników z obcych stron, napadających na wybrzeża Irlandii.

— Szczęściem my tutaj żyjemy bezpiecznie — mawiała matka, gdy wieczorem, w izbie, siedzieli wszyscy na długiej ławie pod ścianą. — To cichy i spokojny zakątek...

Ale babcia Gaelion śmiała się tak, że aż jej okrągły brzuch się trząsał.

— Cichy i spokojny, powiadasz! A ja uważam, że w tym domu nie ma spokoju ani w piątek, ani w świętek. Z pięciorgiem półdzikich dzieciaków naprawdę nie zazna człowiek spokoju!

Niektóre z wydarzeń tamtego lata pamiętał lepiej niż inne. Pamiętał na przykład, jak on i Brian urządzili sobie ucztę, której by im pozazdrościli wszyscy mieszkańcy wsi, gdyby się o niej dowiedzieli.

Brian był drugim z kolei synem sąsiadów. Jak daleko Patric sięgał pamięcią, Brian i on rośli obok siebie jak dwa wybujałe chwasty. Gdy byli jeszcze mali, mierzyli się wciąż na rękę, który silniejszy, który odważy się zawiesić więcej dżdżownic na pasku od spodni i który potrafi siusiać tak wysoko, by strumień przeleciał ponad dachem na drugą stronę owczarni. Jeszcze teraz uśmiechał się na wspomnienie tej sztuki, przypominał sobie, ile wypijał wody przed zawodami i jak zapamiętał ćwiczył każdego dnia.

Powoli wyrastali jednak z takich dziecinnych zabaw. Zrobili sobie natomiast łuki z giętkich gałęzi. I byli królewskimi łucznikami z zaczarowanego lasu. Robili długie wyprawy ścieżkami, których nikt poza nimi nie znał, i brali do niewoli zbójców ukrywających się w koronach olbrzymich dębów. Szszsz... świszcząły strzały w liściach drzew i mknęły prościutko ku wierzchołkom. Zbójcy, jeden po drugim, spadali na ziemię. Przerażliwe krzyki niosły się po całym lesie.

Tego lata Patric często sprzeczał się ze swoją siostrą Sunniwą, bo wciąż włóczyła się za nim krok w krok i chciała być wszędzie tam, gdzie najciekawiej. Początkowo chłopcy pozwalali jej na udział w zabawie, bo potrzebowali kogoś do wiązania zestrzelonych zbójców. Ale pewnego dnia dziewczynka chwyciła jeden z łuków i wtedy okazało się, że mały giermek ma pewniejszą rękę niż sami wojownicy. To ogromnie rozzłościło Patrica. Ustanowił więc prawo stwierdzające stanowczo, że łucznikami królewskimi mogą być tylko mężczyźni.

Pewnego dnia, gdy z łukami na plecach przemylali w głąb lasu wydeptanymi w mchu ścieżkami, Brian zatrzymał się nagle i chwycił Patrica za ramię. Czyżby coś się poruszyło w liściastych zaroślach? Stanęli jak wryci, ani jeden mięsień im nie drgnął. Tak, teraz już

dostrzegli w zaroślach wielkie, rudobrazowe zwierzę. Gładka sierść lśniła w słońcu.

Bezszelestnie napięli łuki. Patric nie wiedział, kto strzelił pierwszy, w każdym razie powietrze przeszył nagle świst, zwierzę wyskoczyło z krzaków, rzuciło się do ucieczki, a w chwilę potem leżało nieruchomo na ziemi.

Brian doskoczył pierwszy.

— Jeleń! — wołał głosem drżącym z podniecenia. — Wodzu królewskich łuczników, ustrzeliliśmy jelenia!

Patric stał oniemiały i przyglądał się zwierzęciu. Nie sprawiał mu przyjemności widok dumnego króla lasu, leżącego bez życia na trawie. Na rozmyślania nie miał jednak czasu. Brian jak wichur rzucił mu się na szyję, zaczęli skakać, tańczyć i śmiać się jak szaleni.

A ile się umordowali, by olbrzymie cielsko zwierza przytaszczyć do domu! Zdjęli paski od spodni i przywiązali nimi do przednich i tylnych nóg zwierzęcia solidne kije. Zarzucili sobie potem te kije na ramiona i krok za krokiem ruszyli w drogę powrotną. Wielki Wóz wjechał już na niebo i świecił nad dachem owczarni, gdy umęczeni dotarli do domu. Na podwórzu spotkali ojca. W wieczornym półmroku dostrzegli w jego oczach przerażenie.

— Co to jest, chłopcy? Coście znowu wynaleźli?

— Nie widzisz, ojcze? Ustrzeliliśmy jelenia!

— To przecież widzi każdy, kto oczy ma na swoim miejscu. Coś mi się zdaje, że obaj postradaliście rozum! Gdyby jaśnie pan, który włada lasem, odkrył, coście uczynili, byłby koniec z nami wszystkimi. Nie tak dawno schwytano jakiegoś biedaka na kłusownictwie. Wisi teraz tam, gdzie go złapali, i dynda na sznurze.

— Ale nikt nas nie zauważył — odparł Brian spokojnie. — Szliśmy jedną z naszych tajnych ścieżek.

— Miejmy nadzieję, że wszystko skończy się dobrze. — Twarz ojca znowu się rozpodziła. — Skocz no do domu, Brian, i sprowadź pomoc. Podzielimy zdobycz.

Nagle ojciec uśmiechnął się i oblizał wargi. Nie co dnia biedny chłop ma okazję posmakować jeleniego mięsa!

Tego wieczora było tak, jakby w połowie lipca obchodzili Boże Narodzenie. Niebiański zapach świeżo upieczonej dziczyzny wypełniał izbę. Na długiej ławie siedziała matka wraz z ojcem i babcia Gaelion, z błogimi minami i brzuchami wypełnionymi kruchą pieczenią z jelenia. Na kamieniach wokół paleniska usadowiło się obok siebie pięcioro rodzeństwa, postępując ze szczęścia. Ich łobuzerskie twarze błyszczały w blasku buzującego ognia jak odlane z brązu. Patric musiał się uśmiechnąć, gdy sobie przypomniał, co mawiała o nich sąsiadka:

— Kiedy wszystkie dzieci Neala wybiegają razem na dwór, wydaje mi się, jakby w mojej izbie wybuchł pożar.

Patric bardzo dobrze rozumiał, co miała na myśli. Płomiennorude włosy odziedziczyli po ojcu. I chociaż biedak miał na głowie już tylko parę kosmyków, to jego broda nadal była czerwona jak liście klonu w pełni jesiennej urody.

Gdy posiłek dobiegł końca, ojciec wstał ociężale i poklepał się po brzuchu. Podeszedł do Patrica, zmierzwił mu czuprynę i powiedział coś takiego, że chłopiec omal nie pękł z dumy:

— Zobaczysz, że mimo wszystko będzie z ciebie dobry gospodarz, mały włóczykiju.

Któregoś dnia, mniej więcej w tym czasie, gdy na zboczach wzgórza zaczynały dojrzewać poziomki, na podwórzu zagrody, wszedł kołyszącym się krokiem brat Cormac.

— Przyszedł pewno, żeby znowu spróbować naszego śliwkowego wina — powiedziała Sunniva i westchnęła. Dawno już przestali liczyć, ileż to razy brat Cormac wynajdywał powody, żeby przyjść i pociągnąć łyk smacznego napitku sąsiadów. Tym razem jednak wyglądało na to, że co innego miał na myśli. Jego okrągła twarz tchnęła tajemniczością. Poprosił Neala, by towarzyszył mu do zagrody dla koni.

— Co tam znowu się stało? — Ojciec zaśmiał się, przeczesując palcami brodę. Wbił

siekierę w pień do rąbania drzewa i ruszył za mnichem. Dzieci, rzecz jasna, także pobiegły, skacząc jak zajace w sięgającej im do pasa trawie.

Minęli wysoką wieżę dzwonnicy, przeszli wzdłuż klasztornych murów, zgięci wpół przemykali się pod zwisającymi gałęziami wierzb, gdzie chmary wróbla ćwierkały w przedwieczornym słońcu.

Gdy dotarli do otoczonej kamiennym murem zagrody dla koni, brat Cormac otworzył furtkę i wskazał ręką: pośrodku stało jasnoszare źrebię. Uniosło głowę i błyszczącymi, wylęknionymi oczami wpatrywało się w nadchodzące dwunogie istoty. Odnosiło się wrażenie, że ma ochotę natychmiast stąd uciec. Ale brat Cormac powstrzymał je garścią koniczyny.

— Chodź, Stella, chodź tutaj...

Tego źrebię nie mogło sobie odmówić. Podeszło na chwiejnych, cienkich nogach, chwyciło koniczynę i z pełnym zaufaniem przekrzywiło głowę.

— Piękne zwierzę — stwierdził ojciec.

— Tak, i od tej chwili jest twoje — powiedział brat Cormac. Po czym chrząknął i dodał żartobliwie: — Bo my w klasztorze jesteśmy już zmęczeni tym ciągłym twoim marudzeniem, żeby ci co chwila pożyczać konia.

Ojciec roześmiał się głośno w zmierzwioną brodę. Gdy gładził źrebię po karku, twarz miał uroczystą jak w największe święto.

— Zbyt wielki podarek dajesz mi, bracie Cormac. Chociaż zawsze pragnąłem mieć własnego konia.

— No dobrze. Niech to będzie w zamian za to, że pomagasz nam w pracy.

Brat Cormac mrugnął porozumiewawczo, gdy zobaczył pięcioro dzieci zbliżających się, by pogłaskać konika.

— Ty, jak widzę, także masz kilkoro rozbieganych źrebiąt. Niełatwo będzie oswoić te dzikusy.

Pogłaskał dzieci przyjaźnie po głowach i zaśmiał się tym swoim gulgoczącym śmiechem, który tak dobrze znali. Brzuch mu podskakiwał w górę i w dół pod brązowym mnisim habitem.

Ojciec oddał lejce Patricowi i pozwolił mu poprowadzić konia do domu. Chłopiec spoglądał ukradkiem na Sunnivę. O rok młodsza, poza tym dziewczyna. Mogła sobie radzić z cielećkami i z łaciatą krową. Koń to całkiem co innego. Ale pomyślał to widać w złą godzinę, bo ojciec nagle powiedział:

— To pewnie mała Sunniva będzie dbać o źrebaka. Ona ma szczęśliwą rękę do zwierząt.

Wargi Sunnivy wygięły się w triumfalnym grymasie; okręciła się na jednej nodze, tak że długie warkocze oplotły jej głowę.

— Mamo! — zawołała, gdy tylko na podwórku koło obory zobaczyła brązową sukienkę matki. — Mamo, zobacz naszego źrebaka!

— Nazywa się Stella — wyszeptał w zachwycie mały Roderic.

— Brat Cormac mówi, że to po łacinie i znaczy gwiazda. Czy widzisz, że konik ma dużą, białą gwiazdę na czole?

Matka odstawiła wiadra i podeszła do nich. Wokół oczu, które były tego samego koloru, co irlandzkie pola, pojawiły się śliczne, małe zmarszczki od uśmiechu. Klasnęła w dłonie.

— Jaki piękny!

Po czym poprawiła na głowie lniany czepek i zapytała uprzejmie, czy brat Cormac nie zechciałby uczynić im tego zaszczytu i wstąpić do ich małej izby na kubek śliwkowego wina.

— Mhm, właściwie to nie mam czasu — powiedział mnich — ale przy tak wyjątkowej okazji...

Usiedli na przymocowanej do ściany ławie, tuż pod otworem w dachu, którądy uchodził dym z paleniska, a przez który teraz przedwieczne słońce oświetlało łysą czaszkę mnicha i

twarz gospodarza z brodą koloru miedzi. Ojciec mówił dużo i długo, a jego głos przypominał szum wartkiego strumienia, spływającego wiosną po głazach.

— Mieliśmy dobre lato — mówił radośnie śmiejąc się. — Jakby nie jedno, ale dwa słońca świeciły jednocześnie na niebie. Wzniesły czarki, bracie Cormac!

Babcia Gaelion podśmiewała się trochę z tych dwóch na ławie. Siedziała pochylona nad wrzecionem i, wykorzystując ostatnie promienie dziennego światła, przędła włóczkę z brązowej owczej wełny. Do izby weszła matka z drewnianymi wiadrami, słodko zapachniało ciepłe mleko. Matka naląła go do miseczek, podzieliła chleb i powiedziała to, co zawsze zwykła była przy tym mówić:

— Jakie to szczęście, dzieci, że syci kładziemy się spać...

Dziwne, że dorośli mogą być tak poważni w taki piękny letni wieczór.

— Tak, naprawdę mamy za co dziękować — powiedział ojciec. Siedział i przyglądał się swoim spracowanym dłoniom. — Rzeczą chłopca jest pracować na roli. Ale wolny chłop jest sam sobie panem, a to wielka sprawa!

Podniósł czarkę i opróżnił ją. Brat Cormac uczynił to samo.

Do szkoły przy klasztorze mogli chodzić tylko ci chłopcy, którzy mieli zostać księżmi, a także synowie bogatych panów. Brat Cormac uznał jednak, że skoro Patric już mu prośbami niemal dziurę wywiercił w brzuchu, bo tak bardzo chce się uczyć, to można mu pozwolić. Chłopiec dostał miejsce na samym końcu klasy. Siadywał tam i starał się pisać — ptasim piórem i czernidłem, na skórze z jakiejś starej krowy. Cielęcych skór na początek brat Cormac im nie dawał.

Patric maczał koniec pióra w kałamarzu i mazał po całej skórze.

— Nie, chłopcze, nie tak! — Brat Cormac rwał sobie resztki siwych włosów z głowy. — Masz malować litery! Pięknie malować, powiadam.

Patric wysunął koniuszek języka i pracował dopóty, dopóki nie nauczył się właściwych znaków. Gdy wieczorem wrócił do domu, próbował wprowadzić w tajniki sztuki pisania Sunnivę i babcię Gaelion. Babcia śmiała się potrząsając głową.

— Jakich to dziwności nie wymyślą dla zabicia czasu w tym klasztorze!

To właśnie w klasztorze Patric dowiedział się po raz pierwszy o niebezpieczeństwie, jakie zagraża ludowi Irlandii.

A było to tak:

Pewnego razu, gdy inni chłopcy poszli już do domu, wskoczył szybko jak wiewiórka do niszy w ścianie i wyjął stamtąd wielkie, piękne skórzane księgi, których tak naprawdę wcale nie miał prawa ruszać. Otworzył księgę i oczy zrobiły mu się okrągłe ze zdziwienia, bo stronica wymalowana była tak pięknymi i czystymi farbami, jakby to uczynili sami aniołowie. Wielkie litery lśniły najczystszy złotem, a wokół nich wiły się niezwykle smoki i baśniowe zwierzęta. Gdzieniedzie znajdowały się maciupęńkie podobizny ludzi, którzy byli jak żywi; zdawało się, że zaraz wyskoczą z księgi i zaczną z nim rozmawiać.

Wtedy usłyszał głosy w przyklasztornym ogrodzie. Jakiś obcy mnich stał na ścieżce i rozmawiał z bratem Cormakiem. Mówił głośno, bardzo zdenerwowany:

— Powiadam, że widział to wszystko na własne oczy. Cała wieś spalona. Klasztor splądrowany, a zakonnicy pomordowani. To ludzie z piekła rodem na nas napadli. Wikingowie! — I opowiadał dalej o wydarzeniach tak strasznych, że Patric czuł, jak mu skóra na plecach cierpieć ze strachu.

Gdy obcy mnich sobie poszedł, chłopiec rzucił się do brata Cormaca okopującego grządki warzywne i kurczowo chwycił za sznur, którym przewiązany był habit mnicha.

— Bracie Cormac, czy to prawda? Prawda to, co opowiadał przybysz? O tych okrutnych, nordyckich wojownikach?

— Uspokój się, chłopcze. Udusisz mnie. Gdybyś był poszedł do domu we właściwym

czasie, nie słyszałbyś rzeczy, które nie są przeznaczone dla twoich uszu. Nie, no, chłopcze, nie trzęś się tak! Nie ma powodu, by umierać z przerażenia w biały dzień. To, o czym ów mnich opowiadał, wydarzyło się o wiele dni drogi stąd.

Brat Cormac odłożył łopatę i objął chłopca ramionami.

— Nie wierzysz chyba, że coś podobnego mogłoby się dzieć w naszym cichym zakątku?

Nie, rzeczywiście, w nic takiego nie wierzył. Ale tego lata pogłoski o napadach rozprzestrzeniały się po okolicy jak ogień w suchej trawie.

— Wikingowie — powiedziała mama — tak, oczywiście, słyszałam o wikingach. Plądrują ten kraj od dziesiątków lat, ale nie chciałabym opowiadać rozbójniczych historii tuż przed snem. — Podała mu miseczkę ciepłego koziego mleka. — Wypij to — poleciła. — Po ciepłym mleku ma się dobre sny. — Po czym zamknęła drzwi i wyszła.

— Ciekawe, czy poszła tylko do obory, czy po Stellę na pastwisko — powiedział szeptem Roderic. Gdy tylko matka wyszła, postawił boscie nogi na podłodze z ubitej ziemi i drobnymi kroczkami przemknął przez izbę ku ławie przy palenisku.

— Babciu — szepnął szturchając okrycie ze skóry. — Babciu, śpisz?

— Tak, rzeczywiście śpię — mruknęła. Długi, siwy warkocz sterczał spod okrycia. — Właśnie leżę tu sobie i spokojnie śpię, a nikt mi nie przeszkadza. I nikt mnie nie pyta, czy mogłabym opowiedzieć jakąś historię o rozbójnikach! — Odwróciła się jednak do Roderica i mrugnęła porozumiewawczo. — No, dobrze, możecie przyjść, skoro tak chcecie.

Wkrótce siedzieli wszyscy razem w łóżku babki, pod wielkim okryciem ze skór. Babka oparła się o ścianę w zamyśleniu. Jej twarz przypominała pomarszczone, stare, zimowe jabłko, ale oczy miała żywe i błyszczące. Jak małe, lśniące jeziora, w których głębi czaiły się baśniowe przygody i niezwykle opowieści. Babcia umiała opowiadać o sprawach, które wydarzyły się na Irlandii dawno, dawno temu. Umiała opowiadać o duchach i karłach, mieszkających we wnętrzu góry, tuż za ich płotem, i o groźnych smokach, plujących żywym ogniem.

— Kiedy się opowiada o takich okropnościach, to nigdy nie są one zbyt daleko — stwierdziła babka, a dzieci aż jęknęły ze strachu i poczuły na plecach zimne, ale podniecające dreszcze.

— Opowiedz o wikingach, babciu!

Babka potrząsnęła głową.

— Nie wiem o nich nic ponadto, co ludzie we wsi opowiadają. A nikt nie wie czy to wszystko, co mówią, to prawda, czy wymysły. Baby gdczą jak przestraszone kury, a mężczyźni porykują niczym głupie byki, kiedy mowa o wikingach. Z nikogo nie można wydobyć rozsądnego słowa!

— Brat Cormac opowiadał o wikingach — przerwał Patric żywo. — To są straszni wojownicy z Północy. Ich okręty płyną szybciej niż wiatr, a podobne są do wielkich, okropnych smoków. Zjawiają się jak grom z jasnego nieba, rabują i plądrują wszystko, co mogą zabrać. I znikają tak samo nagle, jak przyszli.

— To prawdziwe czary — pisnęła przejęta Sunniva.

— Wikingowie mają miecze, które tną nawet kamienie, a ich strzały padają gęściej niż grad — dodała Moira. — Tak mówi młynarzowa.

— Mają kły jak dzikie zwierzęta, a na głowach rogi — wyszeptowała Cara. — I pożerają dzieci żywcem... A już na pewno porywają je do niewoli.

— I strasznie przeklinają — jęknął Roderic, a powietrze zaświstało w otworze, jaki mu został po dwóch przednich mlecznych zębach. To była najgorsza rzecz, jaka mu przyszła do głowy. Babka Gaelion roześmiała się.

— No, muszę przyznać, że macie uszy otwarte na to, co mówią we wsi.

— Ale teraz, ty, babciu, mogłabyś opowiedzieć jakąś historię o wikingach — nalegała Sunniva.

— To może poczekać do jutra. Słyszę, że nadchodzi ktoś, kto nie byłby zadowolony, że nie pozwalam wam spać. — Babka pogłaskała Roderica po włosach. — Jutro oszukamy koguta i wstaniemy, zanim będzie miał czas rozprostować skrzydła. A teraz wszyscy marsz do łóżka!

Zeskoczyli jak myszy na podłogę i nim matka odstawiła wiadra, wszyscy leżeli pod skórzanymi okryciami. Po chwili matka zajrzała przez drzwi.

— Śpią?

— Oczywiście, że śpią — szepnęła w odpowiedzi babcia Gaelion. — Śpią jak kamienie. Jak to grzeczne dzieci.

Było to bliskie prawdy, bo nie spał tylko Patric. Słyszał, jak ojciec ciężko stąpając wszedł do domu, postawił w kącie siekierę i grubym kołkiem zaparł drzwi na noc.

Babcia Gaelion pochrapywała spokojnie w swoim łóżku. Przez otwór w dachu widać było, jak powoli wieczór przemienia się w granatowoczną noc. Patric leżał i nasłuchiwał szumu fal, rozbijających się o kamienne wybrzeże, aż zasnął.

Historie o wikingach powtarzane we wsi, stawały się z dnia na dzień coraz bardziej niepokojące i ponure. Straszliwi wojownicy z Północy rozprzestrzenili się na cały świat, opowiadano. Płądrują wszystko wokół, palą i mordują. Uwożą z sobą wszelkie kosztowności z klasztorów i kościołów.

Najazdy wikingów rozpoczęły się wiele lat temu. Jako pierwsze ich łupem padły klasztory Lindisfarne w Anglii i Iona na wschodnim wybrzeżu Szkocji. Pogłoski o olbrzymich bogactwach, i jakie stamtąd wywieźli, dotarły daleko na północ. Co roku pojawiały się nowe okręty. Grupy wikingów założyły swoje siedziby na Orkadach i Szetlandach. Stamtąd ich okręty wypływały na Morze Irlandzkie, by napadać i rabować.

Wielekroć w ciągu tego lata, gdy słońce zachodziło za wzgórze, do rodziców przybywali sąsiedzi. Gromadzili się przy długimi stole i rozmawiali szeptem, urywanymi słowami.

W szerokim łożu pod ścianą leżały dzieci i udawały, że śpią. Nikt nie powinien widzieć pięciu par otwartych, czujnych oczu, wyglądających przez maleńką szparkę w skórzanym okryciu. To, co mówili dorośli, było niezwykle podniecające. Wierzyli przecież, że to wszystko mogło się wydarzyć tylko gdzieś tam, w odległych miejscach, daleko od tego spokojnego zakątka Irlandii, w którym mieszkali.

Ale oto pewnego dnia wszystko to stało się rzeczywistością.

— Klasztor się pali! — krzyknął ojciec. Wszyscy w izbie zerwali się z miejsca. Miski z zupą spadły na podłogę.

Twarz ojca zrobiła się biała. Ręką wskazywał ku zachodowi. Jęzory ognia wzbijały się ponad wysoką wieżę dzwonnicy. Wielkie dęby w klasztornym ogrodzie ogarniały wijące się złoto-czerwone płomienie. Niebo poczerniało od ptaków, które w przerażeniu opuszczały swoje gniazda.

— Co się też mogło stać? — krzyczała matka zasłaniając twarz rękami. Najmłodsze dzieci jak przerażone zwierzątka czepiały się grubej matczynej sukni. I wtedy Patric zobaczył w dole, przy brzegu morza, czarne okręty. Stały jak okrutne smoki ze strasznej baśni, wznosząc wysoko dzioby, zakończony ponurymi, rozwartymi paszczami.

— To wikingowie!

Ojciec skoczył na równe nogi i chwycił ostrą, chłopską siekierę, która zawsze stała przy drzwiach.

— A więc banda rozbójników trafiła i do naszej części Irlandii! Ale ja im pokażę!

Zaraz jednak opuścił ramię. Wikingowie wysypywali się z okrętów jak mrówki.

Wkrótce brzeg pokryty był tłumem ubranych w kolczugi i hełmy wojowników, zbrojnych w dzidy, topory i lśniące miecze. Byłaby to beznadziejna walka. Ojciec odrzucił siekierę.

— Na Boga! — wołała matka. — Oni wynoszą z klasztoru wszystkie kosztowności, księgi i naczynia.

W tym momencie na podwórzu pojawiła się babka Gaelion, niosąca pod pachą wiązkę siana. Gdy zobaczyła uzbrojonych ludzi na brzegu, rzuciła siano i zaczęła krzyczeć:

— A ja mam chleb w piecu! Niedoczekanie, żeby te złodziejskie diabły miały spróbować choćby skórki mojego pysznego chleba! — Zawróciła gwałtownie i chciała biec w stronę pieca, ale ojciec chwycił ją za ramię.

— Musimy uciekać. Nie mamy ani chwili do stracenia. Oni zaraz tu będą!

Zaczęli biec. Babcia Gaelion kuśtykała podpierając się laską. Ojciec wziął Moirę na rękę. Matka ciągnęła za sobą Carę, Patric i Sunniva wzięli za rękę małego Roderica. Wszyscy biegli ile sił w nogach. Potykali się o kamienie i leżące na ziemi gałęzie. Podnosili się i biegli dalej. Gałęzie chłostały ich twarze; zdierali paznokcie do krwi na ostrych kamieniach. Cały czas mieli w uszach szcęk broni. Powietrze gęste było od dymu z płonącego klasztoru. Biegli w stronę niewielkiego wzgórza porośniętego lasem. Znajdowała się tam trudna do odkrycia jaskinia, w której dzieci ze wsi miały zwyczaj się chować, gdy bawiły się w rozbójników. Wejście było ukryte wśród gałęzi i paproci i nikt by ich tam nie dostrzegł, gdyby tylko siedzieli cichutko jak myszy. Nagle Sunniva zawołała:

— Stella! Stella została w stajni!

Patric zatrzymał się gwałtownie. Krzyk rozsadzał mu głowę. Czuł, że w płucach brak mu powietrza. Ale Stella musi być uratowana! Stella nie może spłonąć razem ze stajnią!

— Pędź za mamą i tatą! — Patric odepchnął od siebie małego Roderica. I puścił się biegiem za Sunnivą w dół, zboczem wzgórza. Rozwiane włosy siostry falowały jak czerwony płomień. Czy im się zdawało, że ojciec wołał ich głośno po imieniu? Ale oni nie rozumieli nic ponadto, że muszą biec dalej. Krew pulsowała w piersiach mocno i boleśnie.

Zatrzymali się przy kamiennym ogrodzeniu z trudem łapiąc oddech. Poczuli, że krew krzepnie im w żyłach z przerażenia, gdy spostrzegli gromadę wikingów zbliżających się do zagrody. Ale teraz nie było odwrotu. Pochylając się weszli do niskiej stajni. Żrebię stało na swoim miejscu, nad wiązką pachnącej koniczyny. Kochany, dobry konik! Dzieci szarpały i ciągnęły linkę, aż wreszcie węzeł został rozwiązany.

Sunniva wyjrzała przez otwór w drzwiach stajni.

— Boję się — szepnęła.

Wikingowie wtargnęli na ich małe podwórko. Nie mieli ani rogów na głowach, ani kłów dzikich zwierząt, jak to opowiadała Miriam, ale i tak wyglądali jak straszne potwory, w tych swoich ciężkich zbrojach. Połyskiwała ostra broń, lśniły stalowe hełmy i kolczugi. Jeden z napastników zawył przeraźliwie, nie znalazłszy w małym domku niczego wartościowego. Zaczął wytrząsać szkatułkę matki, z której wypadła mała broszka i potoczyła się po ziemi. Na podwórzu unosił się swąd spalonego chleba. Któryś z wikingów uznał, że nie tylko chleb trzeba spalić. Rzucił płonąca żagiew na szczyt dachu. Sucha słomiana strzecha zajęła się natychmiast.

W tej samej chwili Patric i Sunniva wyprowadzili żrebaka przez drzwi w tylnej ścianie stajni i puścili się pędem przez pole. Teraz to była gra o życie. Biegnij, Stella, biegnij! Och, gdybyż ona była dużym, silnym koniem, mogłaby wtedy pogalopować z nimi obojgiem na grzbiecie!

Jeszcze tylko kilka kroków brakowało do kamiennego ogrodzenia, gdy stało się nieszczęście. Sunniva potknęła się o wystającą gałąź i padając na ziemię jęknęła. W tym momencie człowiek z żagwią zobaczył ich. Jego krzyk przeszył powietrze jak ostra komenda. Wszystko stało się tak szybko, że Patric mógł sobie potem przypomnieć tylko krótkie jak mgnienie oka urywki tego, co się stało: żrebię wyrwało się i uciekło, odwracało jeszcze głowę

i rżało, nim zniknęło w leśnych zaroślach. Mężczyźni z połyskującymi w słońcu toporami związywali im nadgarstki i łokcie sznurami, które boleśnie wrzynały się w skórę.

Zostali zawleczeni na dół, do okrętów stojących przy brzegu. Droga wiodła koło klasztoru, skąd wikingowie wynosili ostatnie ciężkie skrzynie. Na zewnątrz, pod murami, leżało kilka postaci w brązowych habitach. Leżały bez ruchu, z dziwnie wykrzywionymi twarzami, z zakrzepłą krwią na karkach.

Załogi okrętów siedziały już gotowe przy wiosłach.

Gdy tylko rozległa się komenda, wszyscy zaczęli wiosłować tak, że woda pieniała się przy dziobie. Na otwartym morzu wciągnęli na maszt wielki żagiel, który łopotał i dudnił na wietrze. Dzikie okrzyki radości niesły się ponad wodą. Zbójcecki napad był bardzo udany.

Patric i Sunniva byli jak sparaliżowani ze strachu. Patrzyli w stronę zatoki, którą matka zwykła była nazywać zapomnianym zakątkiem zielonej wyspy. Liczne zagrody stały w płomieniach, a nad klasztorem dym wisiał jak groźna, czarna chmura.

— Widzisz coś, tam, w górze? — szeptem zapytała Sunniva.

Patric patrzył w stronę, gdzie znajdowała się tajemna grotka.

Przez moment wydawało mu się, że w oddali mignął biały czepek matki. Ale nie. Wszędzie panował spokój.

Potem zostali wciągnięci do rozpiętego na dnie okrętu namiotu. Wiatr wiał ku północnemu zachodowi.

Dzień i noc stapały się w jedno.

Leżeli na deskach pokładu, w ciasnym pomieszczeniu, wciśnięci między beczki, wydzielające mdły zapach przegniłej ryby i słonej morskiej wody. Pojmanych było wielu. Jakaś dziewczynka w ciemnościach wzywała matkę, niektórzy mężczyźni krzyczeli i skarżyli się w obcych językach. Z odległego kąta dochodził głos mnicha, który odmawiał długie pacierze po łacinie: *In nomine Patris et Filii et Spiritus Sancti...*

Patric tulił się do siostry. Dotychczas Sunniva była tylko prześladowaną go dziewczyną, która deptała mu po piętach, gdziekolwiek się ruszył. Teraz uświadomił sobie, jak bardzo się cieszy, że ma ją przy sobie. Dobrze było trzymać jej małą dłoń w swojej; ciepło jej oddechu, tuż obok jego twarzy, dodawało otuchy. Byli tylko oni dwoje, całkiem sami, na tym wielkim, obcym świecie. Żadne z nich nie wiedziało, co się może wydarzyć. Zdawało się, jakby i przeszłość także wyruszyła razem z nimi przez ogromne, bezkresne morze...

Drakkar unosił się i opadał na falach. Po jakimś czasie, gdy byli już na pełnym morzu, zaczęło strasznie wiać. Wiatr wył, a morze grzmiało i dudniło za burtą. Gdy wielki, gruby żagiel tłukł z całą siłą o maszt, jakby miał się zaraz rozlecieć na strzępy, mnich przestał się modlić, a zaczął jęczeć.

— Jak to dobrze, że wikingowie mocno nas powiązali, przynajmniej nie zmyje nas z pokładu. Niech im Bóg wynagrodzi ten dobry uczynek!

Pojmani czynili wysiłki, by utrzymać się jakoś na miejscu, choć kołyszący się okręt rzucał nimi od burty do burty. Patric uderzył się o krawędź beczki. Poczul się tak, jakby miał w głowie płonącą kulę. Wiele razy odwracał się na bok i wymiotował. Jak to dobrze, że nie jestem głodny, myślał i śmiał się sam z siebie. I tak zresztą nie zostało już we mnie ani odrobiny jedzenia.

Nie zdawał sobie sprawy, jak długo już tak leży. Ilekroć zamykał oczy, pojawiały się dręczące, złe sny. Śniło mu się, że Jest w lodowatozimnym kraju, daleko na północy, gdzie dzikie zwierzęta czają się w mrocznych lasach. Dopiero gdy okręt wszedł na spokojne wody przybrzeżne, chłopiec zapadł w długi i pokrzepiający sen. We śnie zdawało mu się, że ktoś uwolnił go ze sznurów. A gdy nareszcie otworzył oczy, stwierdził, że ręce rzeczywiście ma wolne, a światło dnia przenika do pomieszczenia.

Jakiś dziwny kraj, myślał Patric, stojąc na pokładzie okrętu. Szczyty gór wznosiły się wysoko, szaroniebieskie i potężne.

Gdźieniedzie z górskich stoków wypływały wodospady i spadały do fiordu, zielonego i lśniącego jak oczy smoka. W głębi, nad zatoką, stało kilka brunatnych domów, zbudowanych z bali. Były zgrupowane przy samym brzegu i przegłądały się w czystej wodzie.

Sunniva wdychała rześkie powietrze łapczywie, jakby na zapas.

— Gdzie my jesteśmy? — zapytała szeptem angielskiego mnicha.

— W Norwegii — odparł. — W kraju wikingów i Normanów. — Jego słowa brzmiały jak uderzenie zimnego wiatru. — Niech nas aniołowie i wszyscy święci mają w opiece. Stąd nigdy żywi nie wrócimy.

Gdy okręt zbliżył się do lądu, spostrzegli, że na brzegu roi się od ludzi. Wołali i wykrzykiwali coś w jakimś dziwnym, obcym języku i wymachiwali rękami. Gdy tylko została rzucona deska trapu, na pokład wbiegły kobiety. Rzucały się na szyje swoim mężom, śmiejąc się przy tym i płacząc na przemian. Zachowywały się jak, nie przymierzając, stado spuszczonej z uwięzi jałówek. Kilkoro jasnowłosych dzieci kręciło się wśród dorosłych. Napraszały się i marudziły, by im pozwolono zajrzeć pod wieka skrzyń.

Mężczyźni byli w świetnych humorach, toteż jeden z nich otworzył szeroko największą skrzynię z metalowymi okuciami.

Rozległo się chóralne: — Oooooooooo!

Z wnętrza bił blask złota i kosztowności.

Dzieci marudziły, dopóki każde z nich nie dostało srebrnej monety. Zaraz potem męczyzna bezceremonialnie zatrzasnął wieko.

— Z drogi, dzieciaki!

Wojownicy torowali sobie drogę w tłumie, wynieśli skrzynie na brzeg i umieścili je na grzbietach kilku czekających tam małych, łaciatych koni. Po czym cały pochód ruszył w drogę, mijając domy z bali. Brańcy musieli wlec się za nimi. Na brzegu zostali tylko dwaj ciemnoskórzy mężczyźni, którzy byli chorzy. Nigdy już więcej nie zobaczyli żadnego z nich.

Droga wiodła przez las. W wysokich sosnach szumiał wiatr; padało właśnie i rozmokła ziemia była śliska. Mała angielska dziewczynka przewracała się raz po raz, ale wojownicy wściekłym wraskiem zmuszali ją, by zaraz znowu wstała. Patric zanurzał nogi w grząskim błocie i myślał o złotym chlebie, o świeżo zrobionym maśle i kruchej jagnięcej pieczeni.

Nagle las się skończył i zobaczyli przed sobą niewielkie osiedle, otoczone przez żółte i zielone pola, pocięte na małe kawałki jak szachownica. Patric był zaskoczony, bo z jakiegoś powodu wyobrażał sobie, że wikingowie mieszkają w kamiennych twierdzach, wzniesionych na szczytach gór. Jednak miejsce, do którego się zbliżali, mimo wszystko przypominało twierdzę. Wielki dwór rozłożył się na sporym wzniesieniu i górował nad doliną, spoglądając na rozrzucone poniżej osiedle. Wokół rozległego podwórza było takie mnóstwo budynków, że trudno by je zliczyć, a wszędzie widać było wartowników i zbrojnych. Jeden z nich trzymał płonąca pochodnię, która oświetlała ściany domów w zapadającym zmroku. Poprowadził brańców ku niskiemu, kamiennemu domowi w odległym, błotnistym zakątku podwórza. Odsunął zasuwę w drzwiach i uczynił znak, że mogą sobie wewnątrz znaleźć miejsca do spania.

Patric i Sunniva stali i rozglądali się w półmroku. Wszędzie na ziemi leżeli śpiący ludzie. Oddychali ciężko i rzucali się we śnie. Dzieci poczuły, że głód szarpie im wnętrzności. Oboje pociągali nosami i płakali.

Nagle ktoś położył Patricowi dłoń na ramieniu i szepnął:

— Nazywam się Una. Słyszałam, że przybywacie skądś z zachodu. Język wasz znam słabo, ale różnych nauczyłam się po trochu od tych wszystkich, którzy przeszli przez ten dom. — Głos był niski i wzbudzał zaufanie. — Znajdę dla was trochę chleba...

Wyjęła z paleniska żarzącą się głownię i zapaliła kamienną lampę wypełnioną tranem.

Drżący płomyk oświetlił jej szeroką twarz otoczoną bujnymi, jasnymi włosami, a gdy się podniosła, widać było, że oczekuje dziecka. Pogrzebała za występem ściany i wyjęła kilka suchych skórek chleba.

— Jestem zmęczona i muszę iść spać — szepnęła. — Zjedzcie to. Nie mam nic więcej, by was poczęstować. — I zdmuchnęła płomień.

Nigdy nie jedli nic lepszego. Skórki smakowały prawie tak samo, jak białe pszenne bułeczki, które w domu, w Irlandii babcia Gaelion piekła na wielkie uroczystości.

Następnego dnia zostali wprowadzeni do wielkiej halli, czyli długiego domu, w którym mieszkał jarl.

— Jest tu prawie tak samo pięknie jak w kościele, u nas w Irlandii — szepnęła Sunniva i chwyciła brata za ramię. — Ale nie czuję się tu szczególnie dobrze.

Halla miała z pewnością ponad czterdzieści stóp długości. Trzy paleniska oświetlały wnętrze. W odległym kącie stało kilka dziewcząt i piekło duże zwierzę na rożnie, nad otwartym ogniem. Smakowity zapach pieczonego mięsa unosił się między belkami i wydostawał na zewnątrz przez otwór dymny, wysoko w dachu. Ściany zbudowane z bali pokryte były kolorowymi narzutami w przedziwne wzory. Między nimi jednak i nad dębowymi drzwiami z żelaznymi okuciami lśniło więcej broni, niż kiedykolwiek przedtem widzieli. Patric czuł, jak strach pełnie mu po plecach. Zobaczył, że pod rzędem naostrzonych toporów i mieczy siedzą mężczyźni i grają w szachy. W jakiś ohydny sposób przypominali stado bezbronnych kruków, którym obcięto skrzydła. Żaden z nich nie będzie mógł już nigdy wyruszyć na wikingowską wyprawę. Niektórzy mieli tylko kikuty zamiast nóg, inni byli bez rąk, które im odcięto w walce.

— Blżej! — rozległ się ostry głos.

Pośrodku, pod długą ścianą, w rzeźbionym wysokim krześle siedział mężczyzna o przerażającej twarzy. Wielka niebieskawo-biała blizna przecinała ją na skos, od czoła do dziurki w nosie, i ginęła w czarnym zaroście. To musiała być pamiątka po zacieklej walce na miecze.

Obok mężczyzny siedziała kobieta w błękitnej, jedwabnej bluzce. Patric nie mógł oderwać od niej oczu. Miała twarz prawie tak samo białą, jak lniany czepiec na głowie. W talii nosiła srebrny pas, ale nietrudno było dostrzec, że jest podobnie okrągła jak Una. Do pasa przypięty był ciężki pęk kluczy do wszystkich drzwi i skrzyń we dworze. Ale najlepiej Patric widział niewielką pozłacaną irlandzką szpilkę, spinającą bluzkę pod szyją.

Mężczyzna wstał z wysokiego krzesła, a jego oczy lśniły jak twarda stal. Wskazał na stos srebrnych krążków i monet leżących przed nim na stole.

— Czy to jest wszystko coście zdobyli jako wikingowie przez całe lato? — wrzasnął do wojowników. — Myślicie może, że po to was uzbroiłem i wyposażylem okręt, byście się zabawiali z frankońskimi kobietami i kąpali w Morzu Śródziemnym?

W halli było tak cicho, że Patric słyszał własny oddech. Mężczyzna chwycił manuskrypt leżący na stole. Pospiesznie przewracał stronicę. W książce było wiele złożonych rycin, ale przeważnie pismo, którego nie rozumiał. Z rozmachem wrzucił więc księgę w ogień. Płomienie, jak paszcza olbrzymiego smoka, błyskawicznie pochłonęły zdobycz. Patric z trudem powstrzymał krzyk. W czerwonym blasku ognia mignęła mu postać brata Cormaca, jak siedzi pochylony nad pięknie wyprawioną cielecą skórą i pilnie maluje maleńkim pędzelkiem obrazki we wszystkich kolorach tęczy.

Jarl z wolna rozejrzał się wokół i począł wzrokiem taksować brańców. Angielski mnich i kilku innych mężczyzn wyglądało na silnych i dobrze zbudowanych. Ale na angielską dziewczynkę, która przerażona tuliła się do matki, nawet nie zwrócił uwagi.

Wreszcie zatrzymał wzrok na Patricu i Sunnivic. Śmiejąc się podszedł do nich i zaczął dotykać ich włosów. Takiego koloru jeszcze nie widział w tej części świata.

— Jesteście Irlandczykami? — zapytał w ich ojczystym języku.

— Tak, panie.

— Irlandia to piękna, mała wyspa. Cały kraj jest jak skrzynia z kosztownościami, która zdaje się nie mieć dna.

Zmrużył oczy i oglądał Patrica od stóp do głów.

— W jakim jesteś wieku?

— Jedenaście zim, panie.

— A ty?

— Dziesięć lat.

Sunniva zawsze była dzielną dziewczynką. To ona pomagała mamie zaganiać cielęta i nie bała się wyjść na dwór wieczorem, I nawet gdy na podwórzu było ciemno jak w worku. Ale Patric był i zaskoczony, i przerażony, gdy Sunniva wyprostowała się i powiedziała:

— Nazywamy się Patric i Sunniva i jesteśmy najstarszymi dziećmi Neala. Nasz ojciec jest wolnym chłopem irlandzkim. — Głos jej trochę drżał, ale wyciągnęła rękę i wskazała na wielki biust siedzącej obok męża pani. — Ta szpilka należy do mojej matki. Jestem tego pewna, bo była w naszej rodzinie od pokoleń. Widziałam, jak wojownicy opróżniali szkatułkę mamy. Spotka was kara za takie złodziejstwo!

W halli zaległa cisza. Mężczyzna w wysokim krześle z wściekłością zmarszczył brwi. Ale po chwili przechylił się w tył i wybuchnął śmiechem, przypominającym wycie wściekłego psa.

— Twoja matka z pewnością otrzyma z powrotem swoją szpilkę. Ale dopiero następnego lata. Wtedy osobiście wyprawię się do Irlandii!

Odpowiedź bardzo ubawiła wojowników, gromki śmiech gruchnął w halli. Nawet gospodyni śmiała się serdecznie, podtrzymując okrągły brzuch.

— Z tej dzielnej dziewczyny będę miała pożytek. Muszę o tym pamiętać, gdy nadejdzie pora.

— Jak sądzisz, co ona ma na myśli? — szepnęła Sunniva.

Patric potrząsnął głową. Bał się śmiertelnie, że siostra powie coś, co wywoła wściekłość wikingów.

Jarl wstał i długimi krokami przeszedł na środek halli. Gdy się zatrzymał, gdy stał na szeroko rozstawionych nogach, z rękami ukrzyżowanymi na piersiach, wydawało się przez moment, że w jego oczach pojawiły się wesołe błyski. Ale powiedział surowo:

— O waszych pięknych irlandzkich imionach musicie tu, w naszym kraju, zapomnieć. Od tej chwili będziecie się nazywać Reim i Tir. To lepiej pasuje do niewolników.

Tak więc mieli na imię Reim i Tir i byli niewolnikami. Powtarzali te imiona, biegnąc przez podwórze do szarego, kamiennego budynku, który miał być ich domem. Reim i Tir. Imiona niewolników. Nie mogli uwierzyć w tę okrutną prawdę, ale nadzorca, który ich popędzał, był niestety aż nadto prawdziwy. Był to krępy, niezgrabny wiking z kozią bródką.

W domu niewolników na palenisku płonął ogień. Una mieszała coś zamazyście w ogromnym, kamiennym garnku. Stała tak blisko ognia, że jej twarz wyglądała jak czerwony, lśniący księżyc w pełni. Uniosła dłoń i odgarnęła z czoła mokry kosmyk włosów.

— Czy kasza rychło będzie gotowa? — rozległ się potężny głos. — Kiszki mi wyją jak głodne wilki. Jeszcze trochę, a zaśniesz nad tym garnkiem, dziewczyno, i wpadniesz do kaszy.

W głębi, w półmroku słychać było chichoty i śmiechy. Kilku niewolników siedziało na ławce. Pochyleni do przodu grzali się w ciepłe paleniska. Inni posiadali na ubitej, glinianej podłodze trzymając drewniane miski na kolanach. Jakiś starzec, który nie miał siły dłużej czekać, zasnął na słomie. Chrapał głośno i coś mamrotał przez sen.

Dzieci niewolników chowały się za słupami, podtrzymującymi dach. Przytuliły się do siebie niespokojnie, widząc, że oczy Uny zrobiły się czarne jak węgiel. Zdarzało się, że rzucała garnkiem z kaszą o ścianę, gdy któryś z mężczyzn ją rozdrażnił. Tym razem powiedziała

tylko:

— Ludzie, którzy nie mają wstydu, powinni otrzymać odpowiedź, na jaką zasłużyli. Ty, Digralde, możesz podejść ze swoją miską!

Z ławy podniósł się olbrzym. Gdy stał wyprostowany, niemal dotykał głową dachu. W poświacie ogniska wyglądał jak postać z baśni. Z zarośniętym karkiem, powolny, leniwie pochylający się do przodu, przypominał rosłego niedźwiedzia. Wyciągnął drewnianą miskę.

— Nakładź po brzegi. Digralde nie nasyci się paroma łyżkami. Chyba nie dajesz mi przypalanej kaszy, Una?

— Och nawet świnia nie wybrzydza, kiedy jest głodna — parsknęła Una. Nałożyła godną porcję jemu i innym mężczyznom, którzy czekali niecierpliwie. Po czym kobiety i starcy stanęli w swojej kolejce. Smakowity zapach z garnka był wprost nie do wytrzymania. Na końcu również dzieci odważyły się wyjść.

Gdy tylko ich miski zostały napełnione, umknęły jak małe szcury z powrotem do swojego kąta.

Nagle w izbie rozległ się straszny krzyk. Potężna niedźwiedziowata postać zerwała się z ławy i zaczęła skakać na jednej nodze

Digralde wygrażał pięściami.

— Au, au, chcesz mnie poparzyć, ty mała czarownico? — Chwycił się za gardło i wywiesił język jak podwórzowy pies. Miska potoczyła się na podłogę.

— Mówiłam przecież, że kasza gorąca — śmiała się Una. Dzieci przywarły do ściany, aż stały się prawie niewidoczne. Digralde musiał wyglądać jak ów bóg, w którego wierzyli ludzie w tym kraju; ten, który nazywał się Tor, i który bywał taki wściekły, że swoim młotem krzesał iskry. Olbrzym rzucił się na kolana i zgarniał kaszę z powrotem do miski. Po czym siadł na pieńku i potężnymi ramionami otoczył miskę, jakby strzegł drogiego skarbu. Łypał znad jedzenia łakomymi, przekrwionymi oczyma. Pozostali niewolnicy siorbali i mlaskali, aż echo szło. Niektórzy mężczyźni wypijali resztki prosto z miski, wsadzając nosy w kaszę, po czym wyglądali, jakby im mróz oszronił brody. Nie było wielkiej różnicy między karmieniem tej gromady a obrządzaniem świń. Nawet jeśli nie wszyscy byli tak strasznie głodni, to każdy chciał się popisać przed innymi.

Starsi chłopcy próbowali zdobyć dla siebie kilka dodatkowych łyżek. Ale Una przepędziła ich grożąc warząchwą. Musiała też przecież coś zostawić dla starego Klegge. Podeszła do kąta i poszturchała kupę gałganów leżącą na podłodze. Klegge uniósł głowę. Żdźbła słomy sterczały mu we włosach i w brodzie. Mrugał zaspanymi oczami i próbował oprzeć się na łokciu.

— Musi to już być wieczór, bo pachnie tu kaszą. I dzięki za to boginiom losu. A potem będę mógł się znowu położyć, he, he. Lepiej jest spać bez zapłaty, niż harować jak niewolnik.

Una podnosiła łyżkę ku jego twarzy i wpychała kaszę między bezzębne dziąsła.

— No jedz teraz sam, dziadku.

Klegge milczał przez chwilę. Jadł i mlaskał. Po czym poklepał się po brzuchu i ciężko westchnął.

— Kasza nie na długo wypełnia brzuch. Ale jest teraz pożywieniem niewolników i biednych chłopów, i w powszednie dni, i w święta. Tam, na górze — wskazał brodą w stronę wielkiej halli — tam siedzi jarl Håkon z żoną i rozkoszują się mięsem, pieczonymi ptaszkami i chlebem z najdelikatniejszej pszennej mąki. A to, czego nie mogą już w siebie wepchnąć, idzie dla psów!

— Nie miałbym nic przeciwko temu, by ugasić pragnienie winem ze złotego rogu, zrzucić z siebie te szmaty i pląsać w halli jarla — powiedział młody mężczyzna. Nazywał się Vidur i był bratem Uny. Próbował wyciągnąć jedną z dziewcząt na środek i zatańczyć, ale ona tylko wykrzywiła wargi i syknęła.

— O tak, to by dopiero było widowisko!

Digralde ziewnął potężnie.

— Kto się najadł kaszy do syta, temu niewiele brakuje, by pójść spać.

Wyciągnął się na ławie, odwrócił do ściany i niemal w tym samym momencie zasnął. Pozostali odsunęli się od niego przezornie. W porównaniu do grzmotów, wydobywających się z ust Digraldego, chrapanie dziadka Klegge brzmiało jak miłe brzęczenie trzmiela. Niewolnicy zatykali sobie słomą uszy i układali się do snu. Gdy tylko bowiem jutro pierwszy promień światła ukaże się na wschodniej stronie nieba, dla nich rozpocznie się nowy dzień.

II

Reim odczuwał niepokój w całym ciele. Tej nocy musi się to stać, myślał, bo jeśli nie, to nigdy już nie zdołam stąd uciec. W odległym kącie mrocznego pomieszczenia majaczyła wielka postać Digraldego. Siedział oparty plecami o kamienną ścianę i Reim wiedział, że wszystkie jego zmysły są napięte do ostateczności. Słyszał każdy, najdelikatniejszy szelest liści, każdy trzask gałązki, każdy dźwięk, który różnił się od zwykłych odgłosów wiatru i lasu.

Cały rok byliśmy niewolnikami, myślał Reim. Może przyjdzie nam dokonać życia w niewoli? Popatrzył na Tir, jak śpi leżąc obok niego na słomie. Jej twarz wydawała się biała w mroku nocy. Kiedyś miała na imię Sunniva i była gospodarską córką w Irlandii. Była to wesoła, piewowata dziewczynka, z którą tam, w Irlandii, czasem bił się, a często bawił wesoło. Dziś nie bardzo przypominała tamtą Sunnivę. Wychudła i zrobiła się kanciasta, policzki jej zapadły, a włosy w kosmykach sterczały wokół twarzy.

Reim przytulił się mocniej do siostry. Przez otwór w dachu widział kawałek nieba. Pokrywały je ciężkie, ciemne chmury. Od czasu do czasu, gdy gęsta powłoka chmur się rozrywała, spoglądała na niego zimna twarz księżycy. Dobrze czy źle wróży nam księżyc dzisiejszej nocy, zastanawiał się Reim. Kumba na pewno by wiedziała, ale Kumba śpi.

— Zostawcie mnie tutaj — powiedziała. — Mój los należy do dworu, w którym spędziłam całe życie.

Reim zamknął oczy, a myśli jego popłynęły jak chmury po nocnym niebie.

Pierwszy okres w tym nowym kraju był jak koszmar sen, który nie kończy się nigdy. Spróbuj być dzielnym — mówił mu wciąż jakiś wewnętrzny głos. — Przecież jesteś dumnym, gospodarskim synem z Irlandii!

Pomagało to jednak niewiele. Całe zło zbierało się w bryłę lodu dławiącą w piersiach. Reim się bał. Bał się wojowników jarla, którzy mieli baczenie na wszystko, bał się wulgarnych niewolników, bał się tego, co obce i nieznanne.

Ale i tak najgorsza była tęsknota. Nosił ją w sobie dzień i noc. W głębi duszy przechowywał obraz małej zagrody w Irlandii. Czuł zapach świeżego chleba, widział małą zgarbioną postać babki Gaelion. Gdy słyszał śmiech bawiących się dzieci, myślał o swoim młodszym rodzeństwie. W takich chwilach kącki jego oczu robiły się wilgotne. Obserwował Tir i wiedział, że z nią było tak samo.

Pewnego wieczora przysła do niego i szepnęła:

— Chodź, coś ci pokażę.

Przemknęli obok straży i ruszyli drogą w dół, w stronę wybrzeża. Nagle Tir zniknęła.

— Spójrz, tutaj jestem — rozległ się tajemniczy szept — na czubku drzewa.

Reim chwycił gałąź wysokiej sosny i wdrapał się tam, gdzie siedziała Tir. Trzymał się mocno i z całej siły przywarł do pnia.

— Jeśli drzewo się złamie...

— Nie złamie się — odparła Tir ze śmiechem. Włosy jej fruwały na wietrze. Pod nimi

biegła górską drogą, prowadząca w dół, do zielonoczarnej wody. Ale ponad powierzchnią morza rozciągał się widok tak piękny, że niemal zapierał dech w piersiach. Wydawało się, że zobaczyć stąd można cały świat. Widzieli tysiące wysp i szkierów aż po bladobłękitną smugę, gdzie morze łączyło się z niebem. Daleko na horyzoncie leżała duża wyspa, jakby bardziej zielona niż inne. Tir machając rękami wołała:

— Spójrz tam! Jestem pewna, że to Irlandia!

Reim musiał ją przytrzymywać, żeby nie spadła.

— Głupstwa — powiedziała Una, gdy po powrocie opowiadali, co widzieli. — Trzeba by jechać dużo dalej niż za tamte wysepki; gdybyście chcieli wrócić do swojego kraju. Morze to przecież nie jakaś kałuża. — Śmiała się. — Ale tego nie zrozumiecie, zanim nie przepłyniecie pomiędzy tymi wszystkimi szkierami i górzystymi wyspami. Starzy ludzie powiadają, że morze jest nieskończenie wielkie. A niektórzy mówią, że daleko stąd żyje wielki potwór morski, który oplata wszystkie lądy i sam siebie gryzie w ogon. Chciałabym wiedzieć czy to prawda, ale nikt z nas, niewolnych, nie wydostał się nigdy poza szkierę.

— Wierzysz w to, co mówi Una? — pytała Tir, gdy późnym wieczorem leżeli na posłaniu ze słomy.

— W to o wężu morskim?

— Nie, w to o Irlandii.

— Ani trochę — szepnął w odpowiedzi.

To było jakby niepisane prawo, że każde z nich przechowywało swoje wspomnienia, ale mówili o rodzinnym kraju jak najmniej.

Jarl Håkon był potężny. Miał wiele dworów, a ponadto okręty i bydło, i niewolników. Gdy wyprawiał się w drogę, by odwiedzić swoje dwory, towarzyszyła mu drużyna złożona z wieluset zbrojnych mężów.

Jarl był potężniejszy niż ktokolwiek w okolicy, ba — w całej tej części kraju. Następni po nim byli bogaci chłopci, mieszkający w swoich dworach całymi rodzinami. Po nich byli chłopci z mniejszych zagrod. Wielu chłopów przysięgało na wierność jarlowi i płaciło mu daninę. Dbali, by on sam i jego drużynnicy mieli pod dostatkiem jedzenia i picia, gdy przynosili się z dworu do dworu. W zamian mieli nadzieję, że jarl zapewni im ochronę i opiekę na wypadek, gdyby okolica została zaatakowana przez wrogów czy rozbójników.

Niewolnicy zajmowali w społeczeństwie najniższe miejsce i nie mieli żadnych praw. W małych dworach, gdzie najczęściej był tylko jeden albo dwóch niewolników, rodzina gospodarza pracowała równie ciężko jak oni. Ale i tak wszyscy wiedzieli, kto był wolny, a kto niewolny. Jarl Håkon miał ponad trzydziestu niewolników i służby, wyznaczył więc jednego ze swoich drużowników na nadzorcę. Był to Orm Viking, rostry, niezdarny mężczyzna z kocią bródką i małą głową, osadzoną na potężnym karku. Orm w młodości brał udział w licznych wyprawach wikingich i jak większość ludzi, którzy dużo wojowali, rozumiał tylko zło. Niewolnicy uważali, że to imię oznaczające węża nosi zaszczyt. Czaił się w zasadzkach jak wąż o śliskim języku i czarnych, zdradliwych oczkach.

— Świński chlew jest odpowiednim miejscem dla takiego niewolniczego smarkacza jak ty — wyszczał Orm Viking szarpiąc Reima za ucho. — Ruszaj stąd i pracuj porządnie!

Przez pierwsze dni Reim krzywił nos. W niskim kamiennym budynku było błoto i brud, i obrzydliwie cuchnęło. Starał się myśleć o tym, co babcia Gaelion zawsze powtarzała, gdy musieli zbierać osty na polu: — Człowiek przyzwyczai się do wszystkiego, i do słonego, i do kwaśnego.

W chlewie było przynajmniej ciepło, a w chwilę po wejściu już i tak nie czuł zapachu. Z czasem zaczął nawet uważać, że przyjemnie jest pracować w świniami. Największa maciora oprosiła się niedawno i miała osiem różowych prosiąt. Ostatnie, jakie przyszło na świat, było

takie małe i chudziutkie, że Reim wsuwał je często pod swoją kurtkę, by je ogrzać. Z dnia na dzień obserwował, jak prosiak rośnie. Chrumkał i chrząkał swoim dziwnym małym ryjkiem i turlał się w błocie. Gdy Reim siadał w kącie, przychodził kołysząc się i patrzył na niego maleńkimi, lśniącymi oczkami, jakby chciał powiedzieć: — Obaj mamy takie świńskie życie.

Wtedy Reim się śmiał i szczypał go w kark.

Na pieńku obok Reima leżał stos skór wielorybich, które jakiś statek handlowy przywiózł z północy. Chłopiec ostrym nożem ciął skórę na paski, które potem ściśle splatał. Stary Klegge pokazał mu, jak to się robi, bo sam miał już zbyt sztywne palce do takiej roboty.

— Wiosną jarl przygotowuje zdobyczną wyprawę do krajów zachodnich — powiedział Orm Viking. — I wtedy okręty powinny być wyposażone.

A to znaczyło, że Reim musi splatać rzemienie na liny okrętowe dzień w dzień, przez całe tygodnie i miesiące.

Tir pracowała razem z niewolnicami.

W ciągu pierwszych dni w nowym kraju ona i Reim dziwili się jakiejś niezwyklej pieśni, którą wciąż było słyhać, ale niewiadomo było, skąd dochodzi. Tony wznosiły się i opadały, wznosiły i opadały, do późnego wieczora.

Teraz już wiedzieli. Pieśń niosła się z młyna. Kobiety co dnia wykonywały tę samą ciężką pracę i co dnia śpiewały tę samą monotonną pieśń. A teraz Tir stała się jedną z nich. Rano mrużyła oczy w bladym świetle dnia, dochodzącym przez otwór w dachu. Naciągała na siebie koszulę, zjadała kawałek chleba i przynosiła trochę wody ze stojącej w kącie beczki. Chlapała zimną wodą na twarz, by na dobre się obudzić, i drżąc od chłodu ruszała za innymi dziewczętami udeptaną ścieżką do budynku nad potokiem. Ostatni odcinek zawsze przebiegała, bo dobrze było znaleźć się znowu pod dachem. Nawet jeśli w pomieszczeniu młyńskim nie było akurat ciepło, to i tak zawsze na palenisku tliło się trochę żaru. Ziarno nie mogło przemarznąć.

Większą część pomieszczenia zajmowały szare kamienne żarna. Przypominały one pysk olbrzymiego trolla. Kamienie jak dwie potężne szczęki gryzły i miażdżyły ziarno na mąkę.

Nie można by ruszyć żaren z miejsca, gdyby wszystkie kobiety nie chwyciły jednocześnie.

Każdego ranka Tir stawała w szeregu wraz z innymi. Pchały kamień ze wszystkich sił. Żarna powoli ruszały. Skrzypiały jak zachrypły, starczy głos, miały i miały. A w górze unosił się biały mączny obłok.

Kobiety śpiewały. Prowadziła stara, siwowłosa Kumba, która dreptała w tym kieracie prawie przez całe swoje życie. Una śpiewała wysokim, ale nie całkiem czystym głosem. Obok niej pracowały dwie ciemnoskóre dziewczyny i śpiewały w języku, którego Tir nie rozumiała. Mała angielska dziewczynka przytulała się mocniej do matki, ale i ona poruszała wargami. Jedyną, która nie śpiewała, była niewolnica Yrsa z Frankonii, chodziła bowiem na zewnątrz koła, aby uważać na swojego synka, dwuletniego nieznośnego wiercipiętę o jasnych włosach. Matka musiała się nieźle namęczyć, by go trzymać z dala od skrzyń z mąką. Gdy tylko do nich dopadał, pakował pełnymi garściami mąkę do buzi. Śmiał się i parskał, obsypywał całą twarz i włosy.

Od czasu do czasu Una nie mogła się powstrzymać, by się nie śmiać z małego nicponia. Ale Yrsa mówiła w takich razach ostro:

— Tylko poczekaj, niech no przyjdzie twoja kolej!

Wtedy Una zamyślała się i gładziła swój wypukły brzuch. Zaraz jednak znowu wracała do pracy.

Ojcem dziecka, którego oczekiwała Una, był Digralde. Tego wszyscy byli pewni, bo kiedy Digralde myślał, że nikt go nie widzi, przemykał się do Uny i gładził ją po brzuchu.

Śmiali się wtedy i szeptali do siebie, a Una przytulała nos do jego owłosionego karku.

— Gdyby człowiek był wolny... — powiedział pewnego wieczoru Digralde patrząc w ogień. — Gdyby człowiek był wolny i miał małą zagrodę tam, gdzie słońce zachodzi. Nie żaden wielki dwór, ale mały splachetek ziemi, krowę, parę kóz, a najlepiej konia. I, oczywiście, odpowiednią babę, he, he...

Klegge grzebał patykiem w popiele.

— Nie marnuj czasu na takie marzenia — rzekł kwaśno. — Jestem dostatecznie stary, żeby wiedzieć, co jest powiedziane w prawach. A powiedziane jest, że żaden niewolnik nie może posiadać niczego poza lada jakim nożem!

Twarz Digralde pociemniała. Wyjął z pochwy u pasa swój nóż i przyglądał mu się jakby z niedowierzaniem.

— Ponad piętnaście lat pracuję jak wół we dworze innego człowieka. Jestem niewolnikiem, haruję od rana do nocy, a nie dostaję za to nic poza garścią słomy do spania i miską kaszy kiedy kiszki skręcają mi się z głodu. A kto jest temu winien? Mój własny ojciec, powiadam wam. Gdybym go kiedyś dostał w swoje ręce, zrobiłbym użytek z mojego tępego, niewolniczego noża!

Una rzuciła się go uciszać.

- Uspokój się, Digralde. Nie widzisz, że dzieci się przestraszyły!

Digralde schował nóż, lecz nadal stał pośrodku.

— Ale ja już nie jestem małym dzieckiem. Teraz już znam sposób, żeby się wydostać na wolność!

W pomieszczeniu zapadła cisza. Wszyscy zwrócili głowy w stronę Digralde. Byliby nie mniej zdziwieni, gdyby powiedział, że zostanie kolejnym królem kraju.

Pewnego dnia, po drugiej stronie kamiennego ogrodzenia, naprzeciwko domu, w którym mieszkali niewolnicy, pojawiła się jakaś dziewczynka. Ubrana była w połataną kurtkę, stopy owinęła szmatami, a na głowie nosiła chustkę z frędzlami, okrywającą brązowe warkocze. Ciągnęła uwiązaną na powrozie, upartą jałówkę, która za nic nie chciała się ruszyć z miejsca.

— Głupie bydlę! — krzyczała dziewczynka ze złością i biła zwierzę brzożową różgą. — Chcesz wracać na pastwisko, ty wstrętny trollu!

Ale krowa jakby nic nie rozumiała. Zaparła się wszystkimi czterema nogami i wyciągnęła ogon. I tak stała, nie reagując na nic. Niewzruszona.

— Poczekaj, pomożemy ci!

Tir przeskoczyła przez kamienne ogrodzenie, a Reim za nią. Dziewczynka w połatanym ubraniu ciągnęła z całych sił za powróż, a oni popychali od tyłu.

— Napluj w dłonie i powiedz tfu, to na pewno pomoże — doradzała Tir.

— Muuuuuuu! — ryknęła krowa w odpowiedzi i chlasnęła ich ogonem po twarzach. Wtedy dziewczynka rozłożyła ręce i zaśmiała się serdecznie.

— Dokąd idziesz, mała niewolnico? — zapytał Reim, choć mówienie po nordycku nie było łatwe.

— Ale ja nie jestem niewolnicą! — Wskazała na kamienisty stok góry. — Mieszkam tam, na dole, razem z mamą i braćmi. Te trzy łobuzy wypuściły krowę z obory i musiałam za nią biegać po kamieniach i pieńkach. Dopiero tutaj na zboczcu udało m się ją złapać.

Reim dostrzegł pomiędzy drzewami zagrodę, o której mówiła dziewczynka. Między świerkami unosiła się w górę błękitna smużka dymu. Ale żadnego domu tam nie widział. Wydawało się, że dym wydobywa się wprost z ziemi.

Dziewczynka powiedziała, że ma na imię Tora. Potem zapytała skąd pochodzą, że mówią takim dziwnym językiem. Tir i Reim opowiadali na wypródkę. O domu w Irlandii, o spalonym klasztorze, o mnichach zamordowanych przez wikingów, którzy ich dwoje związa-

li, zaciągnęli na swoje okręty i zrobili niewolnikami.

Tora kopnęła jakiś kamień, który koziółkując toczył się w dół po zboczu.

— Høvdingowie i wielcy panowie są wszędzie tacy sami. Nie robią nic innego tylko wojują i biją się ze sobą. A jeśli nie dostaną tego, czego chcieli, odbija się to na nas, biednych ludziach!

I opowiedziała swoją historię.

Dwa lata temu okolica została napadnięta przez Illugów. Ludzie powiadają, że ród jarla i ród Illugów toczą ze sobą wojnę od początku świata. Warczą jak wilki, gdy tylko zwietrzą się nawzajem. Jeśli ktoś z jednego potężnego rodu zostanie zamordowany, drugi ród musi tę śmierć pomścić. Nazywają to zemstą krwi.

Gdy zbrojni napadli na okolicę, Tora wraz z matką i małym braćmi była akurat daleko od domu, w zagrodzie dla bydła. Widzieli płomienie strzelające ponad wierzchołki sosen i siedzieli w ukryciu aż do wieczora. Kiedy wrócili do domu, ich mała zagroda była już tylko kupą dymiących zgliszczy i popiołu. Ojciec leżał martwy na podwórzu. Został zadżgany przez napastników.

Jakoś sobie potem musieli radzić. Ale mała ziemianka, którą zbudowali, leżała na północnym stoku, gdzie pola były istną kupą kamieni. Mieli tylko tę jedną krowę i starą, chudą owcę. Tora wzruszyła ramionami.

— Pewnego dnia pewnie ruszymy swoją drogą...

— Ruszycie? Dokąd to mielibyście pojechać?

— Do Islandii. To kraj oddalony tylko o kilka dni drogi na zachód przez wielkie morze. Ludzie powiadają, że na Islandii ziemi wystarczy dla wszystkich. Są tam, jak okiem sięgnąć, rozległe, zielone pastwiska. Ale musi tam też być okropne mnóstwo trolli i innych stworów — mówiła przejęta lękiem. — Z ziemi wybucha gotująca się woda, wszędzie coś bulgocze i kipi w czarodziejskich kotłach. Ale w końcu nie wiem, czy wszystko, co ludzie gadają, jest prawdą...

Nagle usłyszeli jakieś nawoływania. Z dołu, tam skąd wydobywał się błękitny dym.

— To mama woła Redlina — wyjaśniła Tora. — Będzie najlepiej, jeśli ja także pójdę.

Szarpnęła krowę za ogon i pobiegły obie w dół zbocza, aż się kamienie rozpryskiwały na wszystkie strony.

Wieczorami Tir była zazwyczaj tak zmęczona, że padała na posłanie ze słomy i zasypiała jak kamień. Pewnego razu jednak pochyliła się nad Reimem.

— Przytrafiło mi się dzisiaj coś dziwnego — szepnęła. — Spotkałam syna jarla.

Stało się to, gdy szła z młyna do domu. Nagle usłyszała za sobą na ścieżce tupot konia i przerażona uskokowała w bok. Ale zaraz zobaczyła, że nie ma się czego bać. Był to tylko jeden z tych małych bułanych koników, tak pospolitych w tym kraju. Na grzbiecie konia siedział jasnowłosy chłopak w błękitnym ubraniu.

— Och, jaki piękny, mały konik — zawołała Tir i poklepała konia po zadzie. Było to zwierzę dobrze zbudowane i silne, o gęstej grzywie i mądrych, lśniących oczach. Dziewczynkę ogarnęła gwałtowna tęsknota za tamtym źrebięciem, z którym bawiła się w domu, w Irlandii.

Spojrzała w górę, na grzywę jasnych włosów ponad końskim karkiem. Chłopiec miał zadarty nos i takie mnóstwo piegów, że można by pomyśleć, iż ktoś chlapanął mu w twarz smołą. Jego oczy miały ten kolor co kurtka. Była to śliczna, błękitna kurtka, ściągnięta w talii pasem nabijanym srebrem. Na piersiach chłopca lśniła złota szpila w kształcie żmii. Doprawdy, to ubranie w niczym nie przypominało bluz z samodiałowego płótna, jakie nosili niewolnicy.

— Kim jesteś? — spytała zaciekawiona Tir. Chłopiec wyprostował się, mimo że i tak siedział wysoko na końskim grzbiecie.

— Jestem synem jarla Håkona, syna Siggtryga Silkesjege, który wojował w Serklandii, a był synem Hallvarda Herse, który w jednej bitwie pokonał dwie wrogie drużyny, syna Lovda Lovspake, znającego się na prawie i występującego na tingach, syna Inge Istermage, który wojował z Illugami i spoczywa teraz w tym wielkim kurhanie na dziedzińcu naszego dworu, a był synem Bjørna Berserka, który przybył zza gór, od wschodu, i osiedlił się tutaj ze swoimi ludźmi. Jego przodkowie z dawien dawna należeli do najpotężniejszych rodów w tym kraju.

Tir stała oniemiała. Chłopiec wymienił jednym tchem wszystkich swoich przodków i nawet się nie zająknął. Brzmiało to mnie; więcej tak, jakby pastuch zwoływał owce albo jakby zakonnicy na Irlandii czytali łacińskie modlitwy. Dziewczynka wytarła nos wierzchem dłoni.

— Ja pamiętam tylko jedno jedyne imię w mojej rodzinie — powiedziała. — Moja babcia nazywa się Gaelion. Piecze wspaniały chleb i robi pyszne masło. Umie też opowiadać wiele historii i bajek.

— Nie znasz więcej imion swoich przodków, bo jesteś niewolnicą. Twój ród nie jest ani bogaty, ani potężny.

Tir ogarnęła taka złość, że zaczęła tupać nogą.

— Bogaci może nigdy nie byliśmy. Ale niech ci się nie zdaje, że pochodzimy z niewolniczego rodu. Ludzie z mojego rodu byli zawsze wolnymi chłopami. Ja i mój brat zostaliśmy uprowadzeni z naszego domu w Irlandii przez chciwych drużynników twojego ojca. Jesteście rozbójnikami i mordercami!

Chłopiec zaśmiał się.

— W przyszłym roku nadejdzie moja kolej.

— Co masz na myśli?

— Skończę wtedy dwanaście zim. I wyruszę po raz pierwszy na wyprawę, na wiking; będę grabił złoto i srebro, i wielkie skarby.

— I niewolników, takich jak ja?

Chłopiec wzruszył ramionami.

— A czymże innym miałby się zajmować syn jarla?

Uderzył konia po zadzie i szarpnął lejce.

— Zabierz mnie na swój statek — krzyknęła Tir. — Zabierz mnie z sobą do Irlandii!

Ale konia i błękitną kurtkę przesłonił już las.

Prócz Reima i Tir w domu dla niewolników mieszkało jeszcze sześcioro innych dzieci. Najmniejszy był ruchliwy synek Yrsy. Matka miała z nim istne urwanie głowy. Bez przerwy wdrapywał się na ławkę we młynie, a potem wskakiwał do skrzyni z mąką. Krzyczał przy tym, nie posiadając się z radości, a słup mącznego pyłu wzbijał się wysoko w górę, po czym opadał na głowę i na twarz dziecka jak miękki, lekki śnieg.

Matka potrząsała nim z całej siły.

— Ty nieznośny rozbójniku! Co by powiedziała żona jarla, gdyby zobaczyła coś takiego!

Ale i ona musiała się w końcu roześmiać. Wyglądał tak zabawnie i rozbajająco. Jedynie błękitne oczka błyskały szelmowsko spod pokrywającej wszystko białej mąki.

Trzech wyrostków, którzy mieszkali w domu niewolników, nie zaliczano już właściwie do dzieci. Mogli mieć po jakieś dwanaście do piętnastu zim, nikt tego dokładnie nie wiedział. Nazywali się Lut, Leggjalde i Hosve, i byli niewolnikami od urodzenia. Powolni i apatyczni, jak to ludzie, którzy całe życie mają spędzić w niewoli. Najmłodszy, Hosve, był wciąż tak bity i prześladowany, że kulił się przerażony na sam dźwięk głosu Orma Vikinga. Był jak pies, podporządkowany swemu panu.

Mieszkały tu jeszcze dwie ciemnoskóre dziewczyny o połyskliwych oczach i zębach

białych jak pokryte śniegiem szczyty gór. Nazywały się Muna i Orafim, a pochodziły aż z Arabii. Tam zostały uprowadzone przez wikingów, którzy przybyli do ich kraju, by zdobyć jedwabne tkaniny i pachnące przyprawy. Jarl Håkon kupił te dziewczyny na targu niewolników, daleko na południu, w Danii. Tutaj, u siebie w domu, wzywał je często do halli i kazał sobie opowiadać o tym niezwykłym, dalekim kraju, z którego pochodziły. Bawił się świetnie, gdy słuchał o dziwnych garbatych koniach, które na grzbietach noszą namioty i prawie nigdy nie piją wody.

Błada angielska dziewczynka dostała się do niewoli wraz z matką w pobliżu miejscowości York. Nigdy dokładnie nie usłyszeli, jak to się stało, bo była milcząca i wciąż chodziła ze spuszczone głową. Właściwie nie pojmowali, co ją tak smuci, skoro przez cały czas ma przy sobie matkę. Wkrótce jednak zrozumieli. Dziewczynka była chora. Robiła się coraz bledsza, oczy z każdym dniem zapadały się głębiej i płakała, gdy musiała rano iść do młyna. Pewnego ranka nie była w stanie utrzymać się na nogach i upadła z powrotem na posłanie. Matka odmawiała w jej intencji długie modlitwy, a Kumba wyjęła swoje czarodziejskie zioła i przyrządziła gorący napój, ale ani czary, ani chrześcijańskie pacierze nie zdały się na nic. Mała dziewczynka umarła pewnego przejmująco zimnego wieczora, gdy pierwszy śnieg zaczął sypać na ziemię. Digralde spuścił głowę i wyszedł z domu, aby wykopać grób w zamrzniętej ziemi. Zaledwie w kilka dni później musiał znowu kopać, tym razem nieco większy grób. Matka i córka spoczęły obok siebie na maleńkim cmentarzu, na północ od bagien gdzie chowano zmarłych niewolników. Nikt nie powiedział ani słowa o tym, co się stało. A wkrótce potem ziemię otuliła biała miękka kołdra.

Dni mijały jeden za drugim, podobne do siebie jak dwie nie zapisane, wyprawione cielejące skóry. Reim pracował jak wół od momentu, gdy szare światło brzasku ukazywało się rankiem przez otwór w dachu, aż do chwili, gdy wieczorem, śmiertelnie zmęczony, rzucał się na posłanie.

Pewnego jednak dnia coś się wydarzyło.

Szedł właśnie do dworskiej kuźni, by naostrzyć nóż. Z nieba prószył drobny, gęsty śnieg i z daleka, poprzez białą wirującą zasłonę, Reim zobaczył chłopca w błękitnym ubraniu. Ale jakże dziwnie wyglądał! Reim stał bez słowa i patrzył. Chłopiec nie szedł, nie stawiał kroków, lecz jakby płynął ponad śniegiem. Gdy znalazł się na skłonie wzgórza, jął zsuwać się w dół z wielką szybkością. Całkiem na dole przewrócił się i przekoziółkował parę razy w śniegu. Wyglądało to tak komicznie, że Reim roześmiał się głośno.

Chłopiec szybko stanął znowu na nogi. Otrzeptał się ze śniegu i pomknął przed siebie. Teraz Reim zobaczył, że u nóg miał przymocowane długie deski i że to one właśnie utrzymywały go na śniegu.

— Poczekaaj! — zawołał. Bardzo chciał zobaczyć i wypróbować te deski. Ale chłopiec był już daleko. Jechał w kierunku lasu i wkrótce znikł w śnieżnej zadymce.

Una zaśmiewała się do łez, gdy Reim dopadł do niej na podwórzu i o mało jej nie przewrócił.

— Nie ma się czemu tak bardzo dziwić — orzekła. — Widziałeś pewno chłopca na nartach, tak mi się zdaje!

Wieczorem Reim jakby nie czuł zmęczenia. Po kryjomu wyciągnął kijanki, czyli deski, których kobiety używały do prania ubrań, i wymknął się na dwór. Wybrał się w stronę zagajnika porastającego strome zbocze wzgórza. Ścisnęło go w dołku z przejęcia, gdy stanął na szczycie i rzemieniami przywiązał kijanki do stóp. Teraz, pomyślał, najważniejsze to utrzymać ciało wyprostowane jak strzała i zamknąć oczy. Po czym ruszył w dół.

Następnego ranka stara Kumba z krzykiem oznajmiła, że w nocy musiały na chłopca napaść złe duchy. Reim miał krwawe zadrapania na twarzy i na rękach po wielokrotnym koziółkowaniu w zamrzniętym śniegu.

Od czasu do czasu do młyna przychodziła Tora. Stała na zewnątrz w swoim połatanym ubraniu, trzymając na powrozie kudłatą kozę. Gdy nikt nie widział, Una wsypywała małej do woreczka kilka garści mąki.

— Idź na dół, do Sigrid i jej dzieci, Reim — powiedziała Una pewnego dnia — zanieś im ten woreczek. Ciężko jest być niewolnikiem, ale kiedy nędza stuka do drzwi, nie ma między ludźmi wielkiej różnicy. Sigrid nie ma tu w okolicy żadnych krewnych, a ktoś pozbawiony rodziny, która by mu pomogła, jest sam biedny i słaby. — Przez chwilę jakby się wahała, a potem dodała: — Orm Viking gdzieś dzisiaj pojechał. Możesz iść bezpiecznie.

Reim zabrał ze sobą Tir i ruszyli ścieżką wiodącą w dół, ku morzu. Śnieg skrzypiał pod stopami, a para z oddechów unosiła się w powietrzu jak biały obłok. Niedaleko od brzegu, jakby wczepiony w zbocze, stał maleńki niski domek. Jedną z jego ścian stanowiło po prostu ociosane zbocze wzgórza. Marznące opary znad morza jak gęsta mgła otulały dach z torfu. Wygląda to jak szczurza nora, pomyślał Reim.

— Na boga gromów, czy to naprawdę wy? — Tora zrobiła wielkie oczy na ich widok. Zaczęła pchać przekrzywione drzwi, żeby mogli się przez nie przecisnąć. Trochę trwało, nim oczy przyzwyczyły się do panującego wewnątrz mroku. Jedyna lampka rzucała słabe światło na kamienne ściany i na połyskliwy szron, pokrywający belki u sufitu. Trzej mali chłopcy bawili się drewnianymi konikami na ubitej z ziemi polepie. W kącie stała kudłata koza i powoli skubała garść suchego mchu. Przy palenisku siedziała nieduża, chuda kobieta i wyskrobywała jakieś resztki z garnka. To była Sigrid, matka Tory.

— Witajcie w naszej zagrodzie — powiedziała przyjaźnie. — Chociaż to było dawno temu, kiedy mieliśmy porządną zagrodę... — Gdy Reim wyciągnął woreczek z mąką, jej oczy zaszkliły się łzami. — Niech bogini Freja wynagrodzi Unę za to.

Tora wystawiła na środek mały taboret na trzech nogach.

— Proszę, Reim, usiądź na naszym wysokim krześle! — Usunęła żużel z knota lampki i uklękła przed paleniskiem. — Teraz w halli będzie ciepło — powiedziała drżąc z zimna i zaczęła z całych sił dmuchać w ogień. Cierpki dym wydobywał się z sosnowych gałązek, dopiero co przyniesionych z lasu. Ale w końcu zrobiło się cieplej. Reim przysunął taboret bliżej paleniska, czuł, że nogi ma jak przemarznięte kawałki drewna. Przysunął stopy jak najbliżej ognia, ale poczuł ciepło dopiero, gdy w izbie zapachniało przypaloną skórą.

Sigrid wlała trochę wody do garnka, dołożyła suszonych pokrzyw i garść mąki. Tora bawiła się w wielką panią. Krążyła po izdebce udając, że ustawia na stole rogi napełnione miodem i świeżo upieczony pszenny chleb.

— Ruszajcie się, niewolnicy — pokrzykiwała. — Gdzie srebrne misy z pieczonymi ptakami? Gdzie szlachetne wina?

Mali bracia przyłączyli się do zabawy. Skakali dookoła niej, łasili się i poszczekiwali, udając, że są tresowanymi psami, które będą pokazywać sztuczki przed wysoko urodzonymi gośćmi.

Sigrid wylała gorącą potrawę do misy i podała dzieciom.

— Mamy przed sobą długą zimę — westchnęła. — Jest czas siewu i czas żniw, czas sytości i czas głodowania. Tak zawsze było i tak bogowie chcą, żeby było nadal. Ale po zimie przychodzi przecież nowa wiosna i nowe lato...

— Wyruszyście wtedy na Islandię? — zapytała Tir.

— Na Islandię? Ach tak! Przecież nawet biedakowi nikt nie może odebrać marzeń. Ludzie powiadają, że Islandia to taki piękny kraj, z górami wiecznie pokrytymi śniegiem i porośniętymi trawą równinami. Ale stąd, z naszej okolicy, do Islandii wyprawiają się przeważnie najbogatsi, którzy poszukują nowych ziem dla swoich synów. Kto by chciał zabrać na swój statek biedną wdowę?

Zdarzyło się kiedyś pod koniec dnia, że Reim wpadł do kuchni, żeby się ogrzać. Z

garnków unosiła się para.

— To ty, Reim? — Kumba odgarnęła z czoła opadające włosy i przygasiła ogień garścią popiołu. — Chodź, posiedź trochę ze mną. Co dzisiaj robiłeś?

Reim nie miał humoru.

— Robiłem rzemień i czyściłem chlew dla świń — burknął. — Nigdy nic innego tylko te rzemień i czyszczenie świńskiego chlewu... — Przyglądał się swoim rękom, czerwonym i splekanym. — Kumba, ja nie chcę dłużej być niewolnikiem.

Kumba zacisnęła wargi w gorzkim grymasie.

— Nikt nie chce. Ale chcesz czy nie, to musisz. Tu nikt nie decyduje o swoim losie.

Podeszła do paleniska, zamieszała parę razy w dużym garnku, po czym znowu usiadła obok niego na ławie.

— Kumba, jest coś, o czym myślę...

Kumba popatrzyła na niego i zamrugła swoimi małymi, czarnymi oczkami.

— No to niech ja się wreszcie dowiem, co też tkwi pod tą twoją rudą grzywą.

— To ty przygotowujesz jedzenie dla jarla i jego rodziny, prawda?

— No, tak, zgadza się. Od czasu do czasu Una mi pomaga. Wiem, chłopcze, że jesteś głodny, ale bardzo trudno uszczknąć choćby kęsek.

— Nie, nie to chciałem powiedzieć. — Reim zatrzymał wzrok na skórzanym woreczku, który Kumba nosiła na szyi. Wiedział, że trzyma tam nie tylko suszone zioła. Miała tam także skórę jadowitego węża, szpon orła i pazur wilka, i kilka kości zmarłego człowieka, które wykopywała z kurhanu przez trzy z rzędu czwartkowe noce, przed wschodem księżyca. — Nigdy nie pomyślałaś, że można zatruć jedzenie, Kumba?

Nie spodziewał się, że Kumba wybuchnie takim śmiechem. Zanosiła się tak, że o mało nie upadła na ławkę. Ileż to już razy w ciągu tego czasu, gdy była we dworze kuchenną, przychodzili do niej najmłodsi niewolnicy i proponowali coś takiego. Po chwili jednak usiadła spokojnie, ze złą miną.

— Jak myślisz, na kogo spadłaby cała wina, gdyby się coś takiego stało? Tylko na starą Kumbę. A poza tym chcę ci powiedzieć, że jarl i jego żona mają niewolnika, który próbuje potrawy, zanim oni sami odważą się jeść. Ludzie powiadają, że stary jarl został otruty. Nagle zrobił się siny na twarzy i upadł na podłogę w halli. Kuchenna krzyczała, że to na pewno orzech utkwił mu w gardle i rozpaczliwie prosiła o darowanie życia. Ale nikt nie chciał jej wierzyć. Ją i troje innych niewolników powieszono na wielkim drzewie na dziedzińcu. Wisieli tam, póki ich wrony nie rozdziobały.

Reim kopał ławkę i milczał. W końcu powiedział:

— Kumba, czy byłaś kiedy w osadzie handlowej?

— Oczywiście, że byłem. Za młodu. Jarl zawsze chciał mieć przy sobie ładne dzierżyny, he, he... Och, tak. Ileż tam ruchu i życia! Przyjeżdżają kupcy i rzemieślnicy, i przyprawiają statki z wielu krajów. Ale osada leży o kilka dni drogi stąd na południe.

— Chcę uciec i pójść tam. Może Tir i mnie uda się dostać na jakiś statek płynący do Irlandii.

Teraz Kumba zdenerwowała się naprawdę.

— Cicho bądź — szepnęła — bo nawet ściany mają uszy. Jarl ma swoich strażników w lesie, naokoło dworu. Wszędzie są punkty obserwacyjne. Takiego małego chłopca równie łatwo schwytać jak mysz w pułapkę. A kara będzie surowsza niż możesz sobie wyobrazić.

Kumba podeszła do paleniska i znowu zamieszała w garnkach

— Kasza gotowa — stwierdziła. — Wkrótce inne potrawy też dojdą. Chwyć za jedno ucho, Reim, to zestawimy garnek na podłogę. I pamiętaj — dodała — nie chcę więcej słyszeć podobnych głupstw.

Wieczorem dom niewolników szybko pogrążył się we śnie. Una rozgarnęła żarzące się

polana i odstawiła ciężki garnek na ziemię,! po czym otworzyła drzwi. Na dworze wiało przejmująco. Śnieg kłuł boleśnie w twarz, poryw wiatru szarpał koszulę, przenikając na wylot całe ciało. Napełniła naczynie śniegiem i szybko wśliznęła się z powrotem do domu. Garnek syczał, gdy wrzucała śnieg. Resztki kaszy przywarły do dna. Wyskrobie je jutro rano.

Una stała przez chwilę i patrzyła na śpiących ludzi. Ogień już wygasł, ale w odległym kącie widać było twarze dzieci. Młodsza z arabskich dziewcząt przytuliła się mocno do swojej siostry. Spała spokojnie, obejmując ramieniem drewnianą lalkę. Nieco dalej spało przytulone do siebie irlandzkie rodzeństwo. Ich włosy lśniły jak miedź w słabych odbłaskach ognia. Mały łobuziak Yrsy zwinął się jak kociak w swoim śpiworze z owczej skóry. Miał dopiero dwa lata i nie dręczyły go jeszcze żadne złe sny.

Wszystkie te dzieci są niewolnikami, myślała Una, traktowane są bardziej jak zwierzęta niż jak ludzie. Stanowią własność jarła i muszą od rana do wieczora ciężko pracować. Niektóre z nich zostały uprowadzone z rodzicielskich domów, mogły być sprzedawane dalej na targowisku i nie miały nikogo, kto by je ochronił.

Niesamowite, jakie zabawne rzeczy mogą czasem wymyślić te dzieci, pomyślała Una i uśmiechnęła się sama do siebie. Poprzedniego dnia podeszła do niej mała Muna i powiedziała:

— Teraz to naprawdę powinnaś mieć wózek, Una, żeby wozić na nim swój duży brzuch!

A Tir wybuchnęła śmiechem i dodała:

— Pamiętam jak kiedyś u nas w domu, w Irlandii, krowa miała bliźnięta. Olbrzymi brzuch prawie włączył się po trawie. A pod brzuchem musiała jeszcze dźwigać wielkie wymiona. Ty, Una, przynajmniej tego nie musisz!

Una objęła swój brzuch i poczuła ruchy dziecka tak delikatne, jakby mały ptaszek trzepotał skrzydełkami. Gdy pierwszy raz poczuła ten miękki, niezwykle ruch, ucieszyła się. Jej dziecko! Ale z czasem zaczęły ją nachodzić czarne myśli. Jej dziecko będzie niewolnikiem, tak samo jak ona i jak jej rodzice. Jej dziecko urodzi się po to, by pracować i męczyć się dla tych, którzy są wolni.

Ostatnio prześladował ją jeszcze inny strach. Może się przecież zdarzyć, że w ogóle nie będzie mogła zatrzymać swego dziecka. Zbiory były tego roku marne. Una widziała, jak szybko w spiżarni ubywa jedzenia. Gdy w okolicy panuje głód, nowo narodzone dzieci wynosi się do lasu i tam zostawia. Takie jest prawo życia. Jeśli urodzi się chłopiec, myślała, może uda się go uratować. Jarł chętnie zostawia chłopców, bo z nich wyrastają pożyteczni, silni niewolnicy. Ale dziewczynek się nie oszczędza... Gdybym tylko jakimś sposobem dostała się w okolice osady handlowej, myślała Una. Miała tam kuzynkę, Bergliot, która pochodziła z rodu niewolników, ale wyszła za mąż za wolnego chłopca. Droga do osady handlowej była jednak strzeżona. Dzień i noc trzymali tam straż drużynnicy jarła.

Una otuliła się szczelnie chustką i położyła się na łóżku w pobliżu paleniska. Przyzwyczaiła się już do tego, że musi się często budzić i podtrzymywać ogień, by głównie całkiem nie wygasł. Czuła to natychmiast, gdy w nocy robiło jej się zimno w plecy.

Zbliżał się czas składania bogom zimowej ofiary. W siedzibie jarła, nad dachami wszystkich budynków, w których były paleniska, unosił się dym. Niewolnice biegały tam i z powrotem między kuchnią i spiżarnią z wielkimi dzieżami i naczyniami pełnymi mąki. W jednym z kamiennych budynków mężczyźni przygotowywali miód pitny. W całym dworze pachniało świeżo pieczonym chlebem i syconym miodem.

Pewnego dnia Reim przemógł lęk, uchylił ciężkie dębowe drzwi i wślizgnął się do świątyni, gdzie miała być złożona bogom krwawa ofiara. Serce biło mu, jakby chciało się wyrwać z piersi. Białe światło sączące się przez otwór w dachu padało na kamienny ołtarz, a za ołtarzem, w półmroku, bieląca budząca grozę twarz. Wpatrywała się w chłopca jednym, złym

okiem.

Musi to być pogański bóg Odyn, przemknęło mu przez myśl, bóg, który wie wszystko, co się dzieje na całym świecie i który poświęcił jedno ze swoich oczu, by osiąść źródło wszechwiedzy. Reim dostrzegł w ciemności również inne upiorne twarze. Były wyciosane z drewnianych bali, które przez lata pokryły się czarną sadzą. Bogowie wikingów! Chłopiec poczuł, jakby go pochwyciły lodowate dłonie. Przerażony wybiegł z mrocznej świątyni i zatrzasnął za sobą drzwi.

Każdego dnia do dworu przybywali nowi goście, którzy mieli uczestniczyć w uroczystościach. Gdy w chlewie dla świń przyciskał oko do otworu w ścianie, mógł widzieć drogę z północy biegnącą przez pokryty śniegiem, sosnowy las. Raz po raz połyskiwały metalowe części uprzęży, pojawiały się kare, gniade i siwe konie galopujące po zamrożonej drodze, aż wzgórze dudniło, a z ciepłych końskich ciał buchała para. Niektórzy z gości jechali wierzchem, inni na dużych saniach, razem ze służbą i niewolnikami. Kolorowe ubrania rysowały się ostro na białym śniegu. Dzieci siedziały opatulone w wilczury i krzyczały radośnie, gdy konie w galopie zbiegały z ostatniego zbocza. Wyciągały wtedy ręce i potrząsały żelaznymi grzechotkami, które miały odstraszać i dzikie zwierzęta i złe moce.

We dworze panował szum i hałas. Digralde i Vidur łapali konie za uzdy, gdy tylko sanie znalazły się na dziedzińcu. Na stopniach przed wejściem do paradnej halli stał jarl z małżonką. Ubrani byli w szaty długie do ziemi; zwłaszcza piękne były błękitne jedwabne koszule, z mnóstwem srebrnych i złotych ozdób. Jarl wyciągał ramiona, jego dudniący głos niósł się ponad rżeniem i tętentem koni, ponad śmiechem i krzykami dorosłych i dzieci:

— Witajcie w dniu święta, krewniacy!

Gromada na wpół dorosłych chłopców wlokła się leniwie przez dziedziniec. Oni także byli gośćmi przybyłymi na uroczystości. Chodzili teraz i rozglądali się po dworze.

Reim wyszedł, by zamknąć na noc drzwi do chlewa na żelazną zasuwę i stał w wejściu, jakby trochę niepewny, co zrobić. W jakiś sposób przeczuwał, że stanie się coś okropnego. Miał ochotę umknąć, ale chłopcy już go zobaczyli.

— Patrzcie, mały niewolnik! Chodźcie, zabawimy się trochę!

Chłopcy popychali się nawzajem i chichotali. Nosili czerwone albo błękitne kurtki i płaszcze oblamowane futrem. Niektórzy mieli przypięte u pasa miecze i toporki. Najwyższy robił wrażenie przywódcy. Wyglądał dokładnie tak, jak ludzie w tym kraju wyobrażali sobie syna høvdinga: wysoki i silny, o ostrym, błękitnym spojrzeniu, a włosach tak gęstych i płowych jak grzywa bułanego konia. Wyjął nóż z pochwy u pasa i machał nim przed nosem Reima.

— Wyrzucasz gnój, niewolniku? I zaplatasz rzemienie? A może byśmy splekli parę rzemieni z niewolniczej skóry? To by było bardziej zabawne!

— Świetny pomysł, Narve — wołali śmiejąc się pozostali chłopcy.

Reim próbował wycofać się do chlewu. Świnie z kwikiem rozbiegły się na wszystkie strony.

— Uhu! — wrzeszczeli chłopcy. — Trudno stwierdzić, która świnia jest w tym chlewie najczarniejsza. Chodźcie, zabawimy się z tą, która stoi najbliżej!

Chwycili za rzemień, którym był przewiązany w pasie, i wywlekli z chlewu. Któryś chwycił go za włosy.

— Wygląda na to, że ten nie potrzebuje niewolniczego znaku. Z takim kolorem włosów trudno się schować, co, niewolniku? — Odgiął mu głowę do tyłu.

Wargi Reima poczęły drżeć.

— Nie jestem niewolnikiem — wykrztusił. — Pochodzę z Irlandii. Mój ojciec jest wolnym chłopem.

Narve zanosił się głośnym śmiechem. Reim czuł na twarzy jego oddech.

— Ty marny niegodziwczel! Zaraz ci pokażę, kto tu jest panem a kto niewolnikiem!

Reim poczuł przyprowadzające go o mdłości uderzenie w brzuch. Potem zaciśnięta pięść spadła z całą siłą na twarz. Roziskrzona słońca zatańczyły mu przed oczami. Upadł na ziemię i próbował osłaniać się rękami.

Przez palce widział pięści, które biły, i nogi, które kopały. Mocno, mocno, mocno! Wijąc się z bólu odwrócił twarz do glinianej podłogi.

Nagle jakby wielki cień przesłonił wejście. Rozległ się krzyk jednego z chłopców, po czym wszyscy uciekli, jakby przestraszeni przez jakiegoś potwora. Pobiegli co sił w nogach do wielkiej halli. Mimo oddalenia Reim miał przez chwilę wrażenie, że czuje ciepło, widzi światło i słyszy radosny śmiech w halli i migotliwej płomienie, tańczące na paleniskach.

Długo leżał bez ruchu. Serce tłukło szybko i mocno, a uderzenia odbijały się echem od twardej ziemi. Gdy próbował się podnieść, poczuł gwałtownie mdłości. Chciał wymiotować, ale żołądek był pusty.

Pobili mnie, bo jestem niewolnikiem, dudniło mu w myślach, bo jestem inny, bo nie należę...

Chwycił się za głowę. Z rany na czole i z nosa płynęła krew. Na śniegu wokół pełno było ciemnych plam. Gdy ruszył w dół, ku domowi dla niewolników, zobaczył olbrzymią postać Digraldeo, który jak cień postępował przed nim po ścieżce. W drzwiach pochylił głowę i zniknął w niskiej izbie. Reim poszedł za nim.

— Czy coś się stało? — zapytała Una, przerażona widokiem jego twarzy. Ale gdy milczał, powiedziała: — Zostawiłam dla ciebie trochę kaszy. Usiądź tu w kącie i zjedz.

Stary Klegge odwrócił się do ściany na swoim posłaniu.

— Fe, chłopcze, jak ty cuchniesz świniami! — Jego śmiech był jak skrzypienie suchego drewna. — Ale wszyscy mali niewolnicy cuchną świniami. Ze mną też tak było w młodości.

Księżyc wisiał nad górą, okrągły i złoty jak wielka misa świeżego masła.

— To dobry znak — powiedziała Kumba. — Księżyc w pełni w dzień ofiary wróży szczęście i urodzaj.

Stara niewolnica kiwała głową w przód i w tył, jej oczy lśniły poprzez kosmyki włosów zwisających nad czołem. Cicho nuciała ponurą, przejmującą pieśń, która aż tu dolatywała z odległej świątyni. Obrzędy ofiarne trwały cały dzień. Byli tam też i niewolnicy, potrzebni, by wypchać do świątyni przez wielkie dębowe odrzwia kozy i cielęta, a na koniec czarnego żrebca. Wszystkie zwierzęta ofiarne były zabijane na wielkim kamiennym ołtarzu. Teraz, gdy noc już zapadała, nietrudno było stwierdzić, że miód zrobił swoje. Co chwila pieśń była przerywana wybuchami śmiechu i hałasem.

Niewolnicy siedzieli na wpół drzemiąc, z głowami opartymi o kamienną ścianę. Tylko Kumba i irlandzkie dzieci nie spały. Dlaczego Una tak długo nie wraca? I gdzie się podziewa Digralde? Tir usiadła obok starej niewolnicy i wsłuchiwała się w prastare pieśni.

— Kumba, powiedz mi, dlaczego wy w tym kraju składacie bogom krwawe ofiary?

Kumba przyjrzała jej się z uwagą.

— Zdaje mi się, że postradałaś zmysły, dziewczyno, że pytasz o takie rzeczy. Nie składając ofiar narazilibyśmy się na gniew bogów. Straszna Góra za naszym dworem na pewno by się rozpadła, niebo zwałiłoby się na nasze głowy, a ziemia buchnęłaby jęzorami ognia. Bogowie muszą dostawać ofiary, rozumiesz? Krew i miód dają siłę. Dają ją wszystkiemu, co żyje na ziemi. I rosnącemu zbożu, i bydłom, i człowiekowi także. Jeśli nie jest tak samo w tym dziwnym kraju, z którego pochodzisz, to jak tam sobie ludzie dają radę?

Reim przysunął się bliżej.

— Ja byłem w świątyni — szepnął. — I widziałem posąg Odyna. On jest straszny, prawie jak sam diabeł.

Kumba pokiwała głową i zniżyła głos do szeptu:

— Odyn krąży nad łądami i nad brzegami mórz na swoim ośmionogim rumaku, imieniem Sleipnir. Dwa czarne kruki siedzi na jego ramieniu i przyglądają się światu bystrym wzrokiem. Odyn jest stary i mądry, ale groźny. To jest bóg wojowników. Jarl i jego wikingowie składają ofiary Odynowi.

— W świątyni widziałem posągi wielu innych bogów!

— O, tak! — Gdy Kumba się uśmiechała, jej oczy prawie całkiem ginęły w fałdach skóry. — Jest wielu bogów, których można prosić o opiekę. Jest Frey, który zsyła deszcz, gdy ziemia jest spragniona, i słoneczne ciepło, gdy ziarno zaczyna kiełkować. Jest jego siostra Freja, która pomaga mężczyznom i kobietom mieć dzieci, a bykom i krowom cielęta.

I jest Tor. Widziałeś kiedyś Tora, jak na swoich kozłach mknie przez burzliwe niebo? Widziałeś go, jak grzmi i strzela piorunami po grzbietach wzgórz? Unosi wtedy w górę młot i rzuca nim z rozmachem, aż się skry sypią. Tak, Tor to jest bóg, którego czci większość ludzi. Jest tak straszliwie silny, że każde zło, każdą złą istotę może zakląć w kamień. Tu wszędzie wokół, w tych wysokich górach żyje mnóstwo trolli i złych duchów. Gdybyśmy nie mieli Tora, całe to draństwo zalałoby nas w jednej chwili.

Tir przeniknął zimny dreszcz. Bała się gnomów i trolli. W tym kraju musiało ich być znacznie więcej niż w Irlandii.

— W czym jeszcze bogowie mogą pomóc, Kumba?

— Nie, no że też ty możesz pytać o takie rzeczy, dziewczyno! W bardzo różnych sprawach! Czyż nie mówiłam ci już, że wikingowie proszą o zwycięstwo w walkach, o powodzenie w swoich pirackich wyprawach? Ale pracowici chłopcy proszą o co innego, oni pragną pokoju i żeby rok był dobry.

Dobry rok i pokój. Te słowa słyszeli już dawniej. Reim zamknął oczy i oparł się o ścianę. Nagle wydało mu się, że są święta w domu, w Irlandii. Widział przed sobą wyraźnie twarz matki.

— Pospieszcie się — mówiła. — Umyjcie porządnie uszy i włóżcie nowe ubrania.

Rozczesywali starannie włosy i szorowali skórę, aż stała się ciepła i czerwona. Śmiali się wkładając nowe, piękne ubrania, bo wyglądali teraz całkiem inaczej. I tak wyglądali wszyscy sąsiedzi spotykani po drodze do małego klasztornej kościoła. Byli jakby trochę obcy, w nowych ubraniach, z uroczystymi minami. Ksiądz odpiął złote sprzączki księgi z cielęcej skóry i zaczął czytać ewangelię. Metaliczne światło odbijało się od jego ogolonej głowy i od białych kart księgi.

Z początku nie było trudno stać spokojnie ze złożonymi dłońmi, ale po pewnym czasie nogi poczynały okropnie boleć. Cienie na ścianach się wydłużały, a usta księdza przypominały młyn z bajki, który miele przez całą wieczność i nigdy nie przestaje. Wszystko, co mamrotał, było po łacinie, w obcym języku, którego nikt nie rozumiał. Młodsze siostry stroiły miny i machały warkoczami, żeby go rozśmieszyć. Wtedy matka robiła groźne miny i kładła palec na ustach. Ale w domu znowu odzyskiwała radosny świąteczny nastrój. Podnosiła kielich napelniony czymś mocnym i mówiła:

— Wznieśmy świąteczny toast! Za pokój i za dobry rok. Żebyśmy mieli urodzaj i żeby pokój panował w kraju...

Gdy Reim ocknął się z marzenia, zobaczył Unę stojącą w świetle paleniska. Wszyscy na jej widok wybuchnęli śmiechem.

— Ty, Una, na pewno urodzisz jakiegoś trolla — powiedziała Kumba, ocierając łzy ze śmiechu. — Więszego brzucha nikt chyba jeszcze nie widział.

— Dobrze, niech będzie troll — zaśmiała się Una przekornie i wyciągnęła duży skórzanego worka, który ukryła pod suknią. Gospodarze nareszcie tak się spili miodem, że udało jej się napęcznieć worek. Nikt nie mógł się uskarżać na zdobycz, jaką tym razem przyniosła. Rozwiązała rzemienie. Worek był pełen parującej, gorącej koniny.

Wspaniały zapach świeżego mięsa obudził śpiących. Przecierali oczy, by się przekonać, czy naprawdę widzą to, co Una przyniosła. Jeszcze większe podniecenie zapanowało, gdy nagle do izby wkroczył Digralde.

Uderzył głową w futrynę drzwi i zaklął szpetnie. Ale młodzi mężczyźni podbiegli i zdołali uratować wielką misę pokrytego pianą miodu, który Digralde dopiero co wyniósł z piwnicy.

Jedynym, który nie wyglądał na zadowolonego, był mnich.

— To jest jedzenie ofiarne — krzyczał i żegnał się. — Żadnemu chrześcijaninowi nie wolno jeść końskiego mięsa!

Siedział i długo patrzył na nich spode łba, ale gdy wszyscy już się nasycili, rzucił się na ostatni kawałek. I nie wyglądało też na to, że nie lubi miodu, bo po chwili zaczął podskakiwać i tańczyć z dziewczętami przed trzaskającym wesoło ogniem.

Izba falowała dziwnie, w górę i w dół. Reim siedział z miską miodu w dłoniach i śmiał się z małego synka Yrsy, który fikał koziołki na słomie. W odległym kącie widział starego Klegge, który dużym kościanym grzebieniem wyczesywał wszy z brody.

— Tu mam jedną, i tu jedną — mamrotał zadowolony starzec i chciał wstać, by pokazać innym, co złapał, ale zaraz upadł na posłanie. Miód czynił go szczęśliwym na kilka nędznych chwil w roku.

Wtedy Yrsa zawołała:

— Poprośmy teraz Freję o ślicznego chłopaczka dla Uny!

Stańli wokół ognia.

Kumba wyjęła swój woreczek z czarodziejskimi ziołami, wsypała nieco do garnka i zaczęła odprawiać tajemną ceremonię. Błękitne i czerwone języki ognia ogarniały kamienny garnek. Kumba mamrotała jakieś formułki, śpiewała i wymachiwała rękami w buroziłotawym dymie, unoszącym się ku dachowi:

*Wilczy pazur, orli szpon,
jasna noc, mroczny dzień
rosa w płomień, ogień w morze.
Karły, olbrzymy, trolle i zjawy,
Dajcie Unie pięknego syna.*

Oczy Kumby lśniły nad dymiącym garnkiem jak czarne gwiazdy. Poprosiła Unę, by pochyliła twarz nad tą czarodziejską mieszaniną, a potem znowu zaczęła mamrotać formułki, które wszyscy za nią półgłosem powtarzali. Twarz Uny błyszczała jak w gorączce. Padła na swoje posłanie, a po chwili spała już ciężkim snem. Inni także kolejno układali się do snu na podłodze, potykali się o siebie i zagrzebywali w słomie.

Reim musiał na chwilę wyjść na dwór, ale ledwie trzymał się na nogach. Gdy długim strumieniem oblewał kamienną ścianę, wydawało mu się, że księżyc chichocze głośno w niebieskich przestworzach.

Dopóki trwały uroczystości zimowej ofiary, Reim krył się w najdalszym kącie stajni. Stał i wyglądał przez otwór w ścianie, póki nie opuścili podwórza ostatni goście z końmi i saniami, i z całym tym gwarem i zamieszaniem.

— Ach, to tu się chowasz! — Reim poczuł rękę na ramieniu i porwał się z miejsca. — Nie bój się, chłopcze, nie miałem zamiaru cię przestraszyć! — Cień uśmiechu pojawił się w wodnistoniebieskich oczach Digraldego. — Nikt nie wie lepiej ode mnie, co to znaczy dostać od szczeniaków høvdinga. Zostałem niewolnikiem, gdy miałem zaledwie sześć lat. — Olbrzym zapatrzył się gdzieś w przestrzeń i mówił jakby sam do siebie: — Kiedy mnie męczy koszmarny sen, widzę małego chłopca ufnie chowającego swą rękę w bezpiecznej dłoni ojca. Idą obaj do dużego, pięknego dworu, aż do honorowego miejsca w halli. Wtedy bezpieczna

dłoń puszcza rękę chłopca, by wziąć coś, co podaje jarl. W dłoni ojca lśni srebrna moneta.

„Ojczy, dokąd idziesz? Ojczy, ojczy, odpowiedz mi!” Ale odwrócony plecami ojciec nie odpowiada, a drużownicy jarla łapią chłopca...

Digralde umilkł i zaczął czyścić zgrzeblęm dużego, gniadego żrebaka.

— No, stój spokojnie, nicponiu. Nie boisz się przecież? — przemawiał czule do zwierzęcia i głaskał je po karku.

Zima była długa. Gdy tylko szare dzienne światło przenikało przez wysuszony pęcherz, którym zasłonięty był otwór okienny, Reim wypelzał spod baraniej skóry i wkładał na siebie długą kurtkę. Spał zawsze w ubraniu. Dlatego, że słoma kłuła w plecy, lecz także dlatego, iż w kamiennym budynku było tak zimno, że widział własny oddech jak obłok unoszący się nad głową. Trzeba było czasu, by się przyzwyczaić do wychodzenia na śnieg i kąśliwy wiatr. Na nogach miał rany po odmrożeniach i musiał je owijać długimi szmatami: najpierw warstwa szmat, potem warstwa słomy i na to znowu szmaty. Gdy nareszcie wszystko było gotowe, nogi od kolan w dół wyglądały jak kukły.

Zima była długa. Wydawało się, że nigdy nie będzie mieć końca. W okolicznych zagrodach ludzie głodowali, a na drogach pojawiło się mnóstwo biedaków, którzy prowadzili z sobą dzieci i zebrali o jedzenie. Noce bywały straszne, często słyszało się przeciągłe wycie wilków, które stadami podchodziły do dworu.

We dworze jarla również zagościł głód. Reim odczuwał ból patrząc na bladą i wychudłą twarzyczkę Tir, gdy pochylała się nad miską skąpego jadła. Dziewczęta zawsze dostawały mniej. Co dziennie myślał, że powinien jej oddać część swojej porcji, ale każdego dnia zjadał wszystko, co dostawał, i długo jeszcze wyskrobywał miskę. Pewnego dnia zdarzyło się to, czego wszyscy się bali. Digralde przyszedł do pomieszczenia dla niewolników i zaczął pięścią walić w futrynę drzwi.

— Co ci jest? — zaciekawiał się Klegge. — Wyglądasz jakbyś ustrzelił niedźwiedzia i nic nie dostał za skórę.

— Schowaj swoje żarty na inną okazję — powiedział Digralde ponuro. — Dowiedziałem się właśnie, że ośmioro niewolników zostało sprzedanych za zboże innemu høvdingovi.

Zapadła cisza. Patrzyli na siebie bez słowa. Było ich trzydzieścioro i żyli razem od dawna. Bywało, że kłócili się i mówili sobie nawzajem przykre słowa, podbierali jeden drugiemu jedzenie i lepsze miejsce do spania, ale teraz nikt o tym nie pamiętał.

Reim stanął tuż obok Tir. Wyczuwał jej bezradność. Myśleli o tym samym: że mogą się już nigdy więcej nie zobaczyć. Mały synek Yrsy raczkował na podłodze i bawił się drewnianym konikiem. Matka chwyciła go na ręce i mocno przytuliła do siebie.

Høvding, który kupił niewolników za zboże, był człowiekiem niewielkiego wzrostu i miał duży brzuch. Nie wyglądało na to, by szczególnie cierpiał tej zimy. Siedział teraz i objadał się przepiórkami i pieczenią z renifera, którą niewolnice podawały na dużej, srebrnej tacy. Takie jedzenie było rzadkością na równinach, skąd pochodził.

Pochylony do przodu przyglądał się grupie niewolników.

— Gdzie jest ten twój olbrzym, krewniaku? Ten, który podnosił moje worki ze zbożem, jakby były wypełnione pierzem?

Jarl roześmiał się i wyciągnął w stronę gościa róg z miodem.

— Tego, o którym myślisz, nie sprzedam, nawet gdybyś mi za niego dawał cztery wspaniałe żrebaki. Zabieram go latem na wyprawę. — Przeszedł przez izbę i wyprowadził z grupy angielskiego mnicha. — To jest robotny niewolnik, który powinien ci odpowiadać. Może cię zagadać na śmierć opowiadaniem o swoim potężnym bogu, w którego wierzą ludzie na zachodzie, za morzem. Ale możesz go też umieścić razem ze swoimi błaznami!

Høvding rozkoszował się reniferowym udźcem i spoglądał na niewolnika dwoma

szparkami oczu. Tak, tak. Nie jest to zapewne zły zakup. Wybrał jeszcze czterech innych mężczyzn, którzy wyglądali na zdrowych i silnych. Jednym z nich był Leggjalde. Po czym zatrzymał wzrok na dwóch ciemnoskórych dziewczętach.

— To dwie ładne panny — powiedział oblizując wargi. — Wymyślimy coś, żeby miały co robić w moim dworze... — I nagle wskazał na Tir. — Tę hardą, rudowłosą dziewczynę także biorę.

Reim zobaczył, jak Tir się kurczy i robi się coraz mniejsza. W swojej połatanej koszuli. Ramiona poczęły jej drżeć. Ale wtedy odezwała się żona jarla:

— Dwie dziewczyny ci wystarczą, drogi krewniaku. Dziewczynkę o miedzianych włosach ja wybrałam dla siebie.

Høvding zacisnął wargi i otarł wierzchem dłoni tłuszcz z brody.

— Nigdy jeszcze nie miałem większych trudności z kupnem niewolników. Gdybyś nie była moją krewniaczką, Gudrun, wyniosłbym się stąd w jednej chwili, razem z moim zbożem. Dopiero byście się dowiedzieli, co to znaczy zaciskać pasa.

Chrząknął niezadowolony i wskazał na Yrsę. Ta jednak zaczęła krzyczeć jak bita kijami suka:

— Nie ruszę się nigdzie bez chłopca. On jest synem jarla!

— Milcz, niewolnico! — syknął jarl. A Orm Viking, który stał w pogotowiu, wymierzył jej cios w plecy.

Żona jarla zwróciła się do høvdinga ze słodko-kwaśnym uśmiechem.

— Niewolnicze szczenię możesz sobie także zabrać, drogi krewniaku.

— I żywić je przez dziesięć lat, zanim wyrosnie z niego normalny chłop — mruknął høvding. — Jeśli prawo ma być prawem, to za niewolnicę, która taszczy ze sobą dziecko, należy się pół ceny!

— Yrsa to zdolna niewolnica i wie więcej niż inne o robocie we dworze. — Żona jarla wyprostowała się. — Teraz, kiedy żona cię opuściła i wróciła do swoich, potrzebujesz we dworze kobiety!

Twarz høvdinga pociemniała, ale zaraz odrzucił w tył głowę i wybuchnął śmiechem. I nie bardzo wiadomo, co wywołało te gulgoczący śmiech — ostry język krewniaczki czy nadmiar miodu.

Znowu przepił do jarla. W końcu wyglądało na to, że obie strony są zadowolone.

— A teraz szybko, jazda stąd! — Orm Viking podcinał batem ostatnich niewolników, przeganiając ich przez podwórze. Sprzedani niewolnicy popakowali swoje rzeczy w wężelki drewnianą miskę, kilka łyżek, krzesiwo. Mały synek Yrsy chodził wkoło, obejmował i poklepywał wszystkich, aż uczepony matczynej spódnicy zniknął za drzwiami. Wielu dorosłym niewolnikom zaszkliły się oczy, gdy patrzyli w ślad za nim. Muna spokojnie podeszła do Tir. Spuściła wzrok.

— Pilnuj jej dla mnie. Na pewno się jeszcze zobaczymy.

Wcisnęła pod pachę Tir swoją drewnianą lalkę.

Wkrótce potem høvding zebrał swój orszak. Niewolnicy mieli iść na końcu, za ostatnimi wozami i końmi. Zostali powiązani rzemieniami.

To ja robiłem te rzemienie, myślał Reim. Stał i patrzył w ślad za orszakiem aż do chwili, gdy ostatni niewolnicy zniknęli w cieniu sosnowego boru.

Pewnego dnia, gdy mróz był trzaskający, Tir i Reim zostali wysłani po mech na pokarm dla bydła.

— Jeśli pójdziecie w stronę rzeki, to nie powinniście zabłądzić — powiedziała Kumba.

Szli jedną z wydeptanych ścieżek, które wyglądały jak wąskie, błękitne wstążki na świeżym śniegu. Tu i ówdzie widoczne były ślady nart, prowadzące przez las w stronę gór. Gdy dotarli do wąskiego mostku na rzece, zobaczyli po drugiej stronie pokrytą torfem małą

szopę na siano. Wyskubywali garściami przemarznięty mech i wiązali rzemieniami snopki. Pracowało im się bardzo dobrze. Rozmawiali i śmiali się. Tir opowiadała, że niedawno znowu dostrzegła syna jarla. Wojownicy wzięli go z sobą na plac i ćwiczyli w gonitwach na koniu i władaniu bronią.

— Mam nadzieję, że będzie się trzymał z daleka — sucho powiedział Reim. — Dostałem już co nieco od synów høvdingów...

Gdy zarzucili snopki na plecy, by ruszyć w powrotną drogę, sosny rzucały już długie cienie. Nad grzbietami gór zaczynał wiać wiatr od północy.

— Musimy się spieszyć — ponaglił Reim. Pociągnął za sobą Tir przez leśną gęstwinę. — Jestem pewien, że przyszliliśmy tędy.

Ale gdy szli i szli, a ścieżki wiodącej do dworu nie było widać, przestraszyli się oboje. Nie mieli innego wyjścia, jak tylko zawrócić do mostu i potem pójść w dół rzeki. Rzeka stanowiła szerokie, zielonkawe wgłębienie w białym morzu śniegu. Przy wodospadzie wisiały sople lodu, przypominające ostre dzioby ze szkła. Pod lodem szemrała i bulgotała woda, jak głęboki pomruk trolla.

Nagle z oddali dobiegło ich jakby wycie. Czy to wiatr tak zawodził, czy może odgłos wodospadu?

— To mogą być wilki — powiedziała Tir. W mroku widać było jej bladą twarz. Reim zdrzął. W wyobraźni zobaczył ostre zęby i czerwoną, żądną krwi paszczę dzikiego zwierza. Mocno chwycił rękę Tir.

Wycie rozległo się znowu. Powoli, jakby ze skargą. Niemal jak krzyk przerażenia. Może to któraś z owych złych istot, których nie umieją nazwać po imieniu, pomyślał Reim. Przeszył go zimny dreszcz. Jakiś troll chce ich zamknąć w kurhanie albo przemienić w kamień.

Stali niezdecydowanie i spoglądali jedno na drugie. Czuli strach pulsujący w dłoniach. Ale gdy głos znowu zaczął się skarżyć, ruszyli brnąc po śniegu w stronę, skąd dochodził. Tak krzyżeć mógł tylko człowiek!

Tir zawołała coś z ulgą, gdy wyszli nareszcie z leśnych zarośli. Już wiedziała, gdzie są. Przed nimi rozpościerała się polanka, którą nazywali pralnią, bo tu niewolnice prały ubrania w spienionym nurcie rzeki. Zimą brało się stąd wodę.

Tir miała wrażenie, że nad brzegiem coś się porusza. Rzuciła się ku skarpie, niosąc wciąż na plecach snopki mchu.

— Jest tu kto? — krzyczeli, a serca podchodziły im do gardeł.

— Dzięki niech będą Frei — jęknął ktoś na dole. To był głos Uny! Przewróciła się w śniegu, wiadra potoczyły się do rzeki. — Pomóżcie mi — płakała. — Ja muszę do domu.

Nie było czasu do stracenia. Wzięli Unę w środek, pomiędzy siebie, a ona wspierała się na nich ciężko i zataczała się w głębokim śniegu. Ręce miała sine z zimna, zagryzała wargi i stękała cicho, ściskając rękoma brzuch.

Przeszli koło mostu, który wznosił się łukiem nad rzeką, i prowadzili ją prosto do młyna. Stamtąd Reim popędził do Kumby.

— Musisz iść, Una leży we młynie bez przytomności!

Kumba wzięła garnek gotującej się wody i razem z dwoma innymi niewolnicami poszła do młyna. Przez cały czas wyrzekała głośno.

— Niemądra dziewczyna! Iść na dół do rzeki teraz, kiedy się niemal przewraca pod ciężarem własnego brzucha.

Gdy kobiety przyszły, Tir i Reim wymknęli się z pomieszczenia młyńskiego, ale zostali w małym przedsionku. Usiedli tam i przyłożyli uszy do ściany. Słyszeli, jak Una krzyczała i jak Kumba mamrotała swoje magiczne formułki. Wzywała norny kierujące losem każdego nowo narodzonego dziecka, wzywała Freję i innych bogów, którzy mogli być pomocni:

Kreślę runy. Runy urodzinowe.

Runy urodzinowe dla syna trolla...

Tir i Reim odmawiali Pater noster i inne łacińskie modlitwy, które pamiętali z kościoła w Irlandii. Nie wiedzieli, co znaczą te słowa, ale mieli nadzieję, że pomogą. Jedna z sąsiadek, tam w domu, umarła rodząc dziecko. Niech Bóg i wszyscy święci pomogą Unie...

Nagle usłyszeli kroki na zamrożonej ziemi, na zewnątrz. Wcisnęli się jak najgłębiej w kąć. Lęk ich wzmógł się, gdy w drzwiach dostrzegli postać nadzorca niewolników. W ręce trzymał kij.

— Co się tu dzieje? — wrzasnął. — Ani jednej niewolnicy nie ma na miejscu, gdy we dworze goście! — Uderzył najbliższej stojącą kobietę w plecy i zaklinał ją na Odyna, żeby poszła do halli.

Ale zaraz się zatrzymał. Pośrodku grupy kobiet zobaczył wykrzywioną bólem twarz Uny. Zaklął okropnie, ale pospiesznie się wycofał.

W chwilę potem dał się słyszeć jeszcze słaby, ale pewny krzyk nowego życia.

— Teraz się cieszę — szepnęła Tir i wytarła oczy, Reim przyłożył ucho do ściany.

— Tam w środku nikt się nie cieszy — stwierdził krótko. — Kumba przeklina wszystkie siły Walhalli, a Una płacze. Mówią, że to dziewczynka.

Z halli jarla przyniesiono wiadomość, że nowo narodzona dziewczynka ma być wyniesiona do lasu i zostawiona wilkom na pożarcie.

— Niewolnice mnożą się szybciej niż świny — mruczał jarl zły. — Różnica jest tylko taka, że świny szybko rosną. Dzieciaka niewolnicy trzeba żywić co najmniej dziesięć lat, zanim będzie z niego jakiś pożytek.

Oczy Digraldego pociemniały, kiedy o tym usłyszał. Wziął jednak dziecko na ręce.

— Będzie mieć na imię Astrid — mruknął, ale tak cicho, że słyszeli tylko najbliżsi. Wszyscy się zdziwili. Astrid to nie było imię dla niewolnicy. A ojciec zawiązał dziecko szczerze w owczą skórę i wyszedł w mroźną, zimową noc.

Niewolnicy siedzieli w milczeniu. Takie rzeczy przeżywali już i przedtem. Było normalne, że dzieci niewolników wynoszono do lasu, by tam umarły. Tylko Una szlochała rozpaczliwie na swoim posłaniu.

Około północy usłyszeli, że Digralde otrzepuje się przed wejściem ze śniegu.

— Cicho bądź, dziewczyno — burknął, gdy usłyszał skargi Uny — Jeśli nie skończysz ze swoimi płaczami, nigdy w tej izbie nie będzie spokoju!

Potem podszedł do niej i zaczął jej szeptać do ucha, że wziął małe zawiniątko z dzieckiem i poszedł na brzeg, do chatki Sigrid. Biedna kobieta, kiedy usłyszała, z czym przychodzi, zaczęła się gorzko żalać nad swoją nędzą. Jeśli weźmie jeszcze jedno dziecko, to przyjdzie im wszystkim umrzeć z głodu. Próbowwała go przekonać, że powinien patrzeć na sprawę rozsądnie, tak jak inni niewolnicy.

Jednak Digralde przemawiał do niej prośbą i groźbą. Jedzenie będzie jakoś zdobywał dla wszystkich, choć kary za kradzież były okrutne. Mężczyzna skazywany był na chłostę, a niewolnicy przyłapanej na gorącym uczynku obcinano ucho. Ale on i Una wszystko zniosą. — Daj małej Astrid szansę — prosił. — Daj jej szansę przeżycia choćby kilku dni...

W końcu Sigrid zaczęła się wahać. Stała pośrodku izby z krzyczącym zawiniątkiem w objęciach, ale zanim zdążyła coś postanowić, Digralde wyszedł z chaty.

W trzy dni później we dworze urodziła się inna dziewczynka. Była to córka jarla. Tym razem zapanował taki zgiełk, jak podczas zimowej ofiary. Panie z sąsiednich dworów w całej okolicy przybywały z darami i prezentami. Żona jarla była zadowolona, że Una dopiero co urodziła dziecko. Miała teraz piersi pełne mleka i mogła karmić jej małą córeczkę.

Wreszcie któregoś dnia zima się skończyła. Śnieg topniał na zboczach wzgórz, a powietrze było błękitne, przesycone słonecznym światłem. Podbiały wystawiały z gliniastej ziemi

swoje złote zmierzwione główki, a rzeka spływała z gór wzburzona, pokryta białą pianą i śpiewała: Wiosna przyszła!

W tym właśnie czasie flota wikińska przygotowywała się do drogi. Gdy tylko fiord uwolnił się od lodu, gdy ukazał się w całej krasie, lśniący i błękitny, spuszczone na wodę okręty. W dużych dworach i w siedzibach høvdingów były to dni pełne pracy. Niewolnicy przygotowywali skrzynie z chlebem, beczki z solonym mięsem i suszone ryby, a także stągwie ze świeżą wodą. Przez wiele dni ładowali te wszystkie rzeczy na pokłady szerokich, płaskich okrętów, pachnących świeżą smołą.

Nad wybrzeżem unosi się dym z kuźni. Przed rozżarzoną ogniskiem pracuje najlepszy w okolicy kowal z twarzą tak samo czarną jak podłoga, na której stoi. Ostrzy topory, miecze i dzidy, wykuwa groty do strzał. Ostrzy broń, która zostanie użyta do cięcia ludzkiego mięsa. To wiedzą wszyscy.

Tym razem miało wyruszyć dwanaście okrętów. Szkutnicy niezwykle dokładnie obejrzelili każdy z nich, i wewnątrz i na zewnątrz. Jarl zbudował także jeden całkiem nowy okręt. Jest w nim miejsce dla pięćdziesięciu wiosłarzy, a dziób został ozdobiony złotym skrzydłem. Jarl nadał okrętowi nazwę „Smok”. Zamierzał popłynąć nim na Orkady, gdzie miał krewnych, a stamtąd wziąć kurs na południe i plądrować wybrzeża Morza Irlandzkiego.

— Spójrzcie na te czarne kruki, krążące w górze — szeptała Kumba. — Wróżą one śmierć i nieszczęście wszystkim, których te okręty w lecie odwiedzą.

— Wielu nigdy nie wraca z takich wypraw — płakała Una i przytulała się do Digraldeggo. Ale on nie odpowiadał. Odwrócił się szybko i podążył za innymi na pokład.

Reim rozglądał się po polu, na którym wraz z innymi niewolnikami spulchniał ziemię. Nigdzie nie było widać krępej postaci Orma Vikinga, schował się więc w zaroślach jałowca, po czym wdrapał się na porośle krzakami wzgórze, skąd rozpościerał się widok na fiord.

Stanął na szczycie akurat w momencie, gdy wikińska flota ustawiała się w szyku. Słyszał okrzyki wiosłarzy i widział lśniące pióra wiosł, gdy okręty płynęły po wodach fiordu. Kobiety, dzieci i starcy zebrali się na brzegu. Wołali i machali rękami, dopóki na pokładach statków można było jeszcze dostrzec ludzi. Jakieś małe dziecko wołało wciąż: tato, tato!

W miejscu gdzie fiord rozszerza się ku morzu, do floty jarla dołączyły nowe okręty. Przyszły z zatok i sundów wzdłuż odnogi fiordu. I oto flota powoli stawała się poważną morską siłą. Na morzu wiało, więc drakkary podniosły żagle i popłynęły jak stado wielkich, czarnych ptaków.

Reim zaciągnął się głęboko wiosennym powietrzem. Na myśl o wyprawach wikingów przenikał go dreszcz. Ale aż dziwne jak szybko znikają wszelkie złe myśli, gdy słońce świeci, a ziemia pod stopami zdaje się być ciepła.

Gdy Reim ruszył w drogę powrotną, na południe od dworu zobaczył raptem jasnowłosego chłopaka biegnącego pod drzewami pokrytymi młodymi liśćmi. Chłopiec biegł szybko, zwinnie jak mała wiewiórka pomiędzy pniami i przyglądał się pilnie koronom drzew. Nagle zatrzymał się, chwilę stał bez ruchu, po czym napiął łuk i strzelił.

Strzała ze świstem poszybowała między gałęziami i liśćmi, prosto ku wierzchołkowi drzewa. Powietrze przeszył krzyk, załopotwały skrzydła i na ziemię spadł ptak. Błękitno-czarny i lśniący.

— Brawo! — krzyknął Reim. Przypomniały mu się szczęśliwe dni w Irlandii, gdy był wolny jak dzikie zwierzątko i mógł z Brianem biegać po lesie, gdzie mu się tylko podobało, i ćwiczyć się w strzelaniu, by zostać najlepszym łucznikiem świata. Całkiem zapomniał, że byłoby najlepiej, gdyby trzymał się z daleka, ukryty w leszczynowych zaroślach. Tymczasem biegł w stronę jasnowłosego chłopca i krzyczał podniecony:

— To był naprawdę niezły strzał!

Chłopiec odwrócił się powoli i zaczął oglądać Reima od stóp obutych w podarte łapcie,

do wynędzniałej twarzy pod ognisto-rudą grzywą.

— Ja trafiam zawsze — powiedział, a słowa były tak ostre, jak grot strzały, którą przed chwilą zabił ptaka. Skrzyżował ramiona i jedną stopę wsparł na ciele ptaka, który leżał na stoku z rozpostartymi skrzydłami.

— Pływam szybciej niż ryba, na moim żrebaku Fakse galopuję prędzej niż sam Odyn na Sleipnirze. A strzałą z łuku trafiam tak samo pewnie jak bogini łowów Skade. I potrafię ryć tajemne runy. To wszystko musi umieć syn jarla.

Reim stał w milczeniu i przysłuchiwał się potokowi słów. Taki pyszałek zasługuje, żeby mu naprawdę przyłożyć, przeszło mu przez myśl. Ale dobrze pamiętał, jak został potraktowany przez synów høvdingów. Stłumił więc w sobie złość i powiedział:

— Ja jestem Irlandczykiem i też znam sztukę napinania łuku! Chodź, pokażę ci!

Zanim syn jarla zdążył zaprotestować, Reim chwycił łuk. Ułożył strzałę między środkowym a wskazującym palcem i naciągnął cięciwę. — Widzisz ptaka tam, w górze? — Wskazał małą, czarną kropkę, szybującą wysoko w przestworzach.

Cięciwa łuku zagrała. Strzała poszybowała, coraz wyżej i wyżej, do celu. I trafiła. Wkrótce potem duży ptak spadł wprost pod nogi syna jarla.

Reim skakał w kółko z radości. A to się Una ucieszy! To wspaniale dołożyć do kaszy takiego tłustego ptaka. Ale nagle przycichł. Chyba zrobiłem coś złego, pomyślał. Niewolnik nie może pokazywać synowi jarla, jak się używa łuku i strzały... Reim wyciągnął strzałę z ciała ptaka i podał ją prawowitemu właścicielowi.

Wtedy zobaczył, że jasnowłosego chłopiec się uśmiecha! Wyglądał bardzo zabawnie, bo właśnie stracił dwa trzonowe zęby. Już nie sprawiał wrażenia zarozumiałego pyszałka. Był po prostu zwyczajnym chłopcem o żywych oczach i zmierzwionej czuprynie.

— Nie wiedziałem, że niewolnik może tak dobrze strzelać. — Kiwał głową z uznaniem — Może zrobimy zawody, tam w lesie, na polanie?

Reim całkiem zapomniał, że powinien wracać do swojej pracy, postępował krok w krok za niebieską kurtką po wydeptanych w mchu ścieżkach. W lesie cudownie pachniało wiosną. Na ziemi, pod pniami drzew, rozciągały się zielono-białe dywany zawilców.

Syn jarla rozgarniał gałęzie sosen i nie zatrzymał się, aż doszli do małej, zielonej polanki. Pośrodku rósł stary, powykrzywiany dąb o potężnym pniu i gałęziach niemal sięgających nieba. Tutaj strzelali do nacięcia w korze. Śmiali się i biegali, aż pot po nich spływał, zbierali strzały spod pnia dębu i znowu strzelali.

Nagle zaczęło kropić i deszcz zaszeleścił w młodej trawie.

— Chodź, schowamy się w mojej tajnej kryjówce — zawołał syn jarla i pociągnął Reima do wypróchniałego dębu. Wczołgali się do środka i leżeli tuż przy sobie wsłuchując się w szum deszczu.

— A tak przy okazji, mam na imię Sigurd — oznajmił syn jarla i podrapał się po nodze pogryzionej przez komary.

— Sigurd? Jakie dziwne imię!

— Zostałem tak nazwany na cześć Sigurda Fávnesbane. Tyś pewnie nigdy nie słyszał sagi o nim?

Sigurd wyglądał teraz bardzo tajemniczo, a po chwili wyjął jakiś przedmiot zza podszewki kurtki. Był to niewielki kawałek drewna, który sam wyrzeźbił. Przedstawiał smoka z rozwartą paszczą i był tak pięknie wykonany, że Reim nie zdziwiłby się, gdyby potwór w pewnej chwili zeskoczył w trawę i bluznął na nich płomieniami ognia.

— Był sobie raz smok, który strzegł wielkiego skarbu — zaczął Sigurd. — Smok nazywał się Fávne i nie było nikogo, kto by się odważył zbliżyć do plującego ogniem potwora. Nikogo oprócz dzielnego Sigurda. Udał się on do pewnego kowala, który wykuł mu miecz ostrzejszy niż jakakolwiek inna broń. Sigurd uniósł miecz wysoko nad głową i udał się w stronę jaskini, w której siedział smok. Wściekły potwór wysunął łeb, ziejąc ogniem i siarką.

Ale Sigurd nie bał się niczego, podbiegł do smoka i mieczem przebił jego cielsko na wylot. Potem mógł już odjechać z całym ogromnym skarbem.

— Ojciec chce, żebym i ja był taki — zakończył Sigurd. — Taki odważny jak pogromca smoka!

Reim poczuł się nieswojo. Okropna była ta historia o smoku, opowiedziana przez Sigurda. Milczał chwilę, próbował, czy ruszający się mleczny ząb jeszcze mocno siedzi i zastanawiał się, czy i on mógłby opowiedzieć Sigurdowi coś równie podniecającego. W końcu powiedział:

— Ten, po którym ja noszę imię, jest Irlandczykiem i nazywa się Patric. Mieszka teraz w pewnym miejscu, wysoko w chmurach. Wraz z aniołami walczy z diabłem i jego zastępami. Walczą tak, że kudły się sypią każdego dnia. Diabelskie zastępy są czarne i straszne i z potężnym wrzaskiem galopują na swoich bojowych rumakach. Ale niełatwo jest pokonać anioły, bo one mają skrzydła i w każdej chwili mogą odlecieć. A potem przybywa Bóg i razi diabelskie zastępy gromami tak, że wojownicy zła z obciętych głowami spadają z koni...

— Ten bóg musi być równie silny jak Odyn — orzekł Sigurd.

Deszcz ustał. Sigurd wyczołgał się z dziupli i przewiesił łuk przez ramię.

— Muszę już iść — powiedział prostując się. — Inne i ciekawsze sprawy czekają na mnie, niewolniku.

Ale gdy Reim tego dnia skończył wreszcie swoją brudną pracę, czuł się bardziej szczęśliwy niż kiedykolwiek od chwili, odkąd opuścił Irlandię.

Una wiedziała, co powinna robić, by swoją małą córeczkę utrzymać przy życiu. Pewnej nocy jednak sprawy poszły źle. Gdy wszyscy już spali, przeczołgała się niepostrzeżenie przez mokrą od rosy łąkę. Daleko, w zielonej przestrzeni, koniki polne grały na swoich skrzypczkach. Poza tym wszędzie panowała głęboka cisza. Księżyc świecił nad Straszną Górą, a drzewa rzuciły długie cienie. Strażnicy jak zwykle siedzieli przed spichrzem. Na wpół drzemali, ukrywając twarze za tarczami. Dzidy i miecze odłożyli na bok.

Nagle z brzozy zerwała się wrona, wrzasnęła ochryple, wymachując granatowoczarnymi skrzydłami. Strażnicy chwycili za miecze, a Una przywarła płasko do ziemi. Leżała tak bez ruchu, cichutko jak mysz, póki strażnicy znowu nie przysnęli. Ale nie straciła przytomności umysłu. Podniosła wysoko nad kolana długą spódnice i umocowała ją rzemiennym paskiem, po czym przemknęła ku tylnej ścianie spichrza, zbudowanej z solidnych bali, a teraz całkowicie ukrytej w cieniu. Zwinnie jak gronostaj wspięła się po wiązaniach węgła pod sam dach i wbijając mocno paznokcie w bierwiona, przesuwając się ku ciemnemu otworowi w ścianie, tuż pod okapem. Na szczęście miała bardzo silne ramiona. W końcu schwyciła belkę okalającą otwór i wsunęła się do wnętrza. Ale co to? Czyżby została odkryta? Żwir na dole zaskrzypiał pod czyimiś krokami. Na szczęście to tylko jeden ze strażników przeszedł na tyły budynku za swoją potrzebą. Przez chwilę słychać było szelest, po czym strażnik wrócił do swoich Una odetchnęła.

Była teraz na strychu i oczy powoli przyzwyczajały się do ciemności. Pod powałą wisiały rzędami szynki i połcie suszonego mięsa. Wzdłuż ścian stały skrzynie z mąką i dzieże z serem i masłem. Una wbiła palec w wilgotne masło i oblizowała. Nic na tym świecie nie było tak smakowite jak masło. Niewolnicy nie jedli go nigdy.

Musiała się spieszyć. Szybko wyjęła mały nóż, schowany za pazuchą, postąpiła parę kroków do przodu i wspięła się na palce by odciąć kawał suszonego mięsa. Szynki nie miała odwagi wziąć. Nagle zrobiło jej się gorąco z przerażenia. Poczula na łydkach coś miękkiego i kosmatego. Nieprzytomna ze strachu krzyknęła, potknęła się na czymś i upadła na podłogę, pociągając za sobą ciężką szynkę. Mała, przerażona, szara mysz przemknęła między skrzyniami z mąką i zniknęła w ciemnościach.

Una słyszała ciężkie, szybkie kroki na schodach i zaraz potem zobaczyła nad sobą

strażników. Patrzyła w złowrogą twarz Orma Vikinga, który trzymał pochodnię, a jego oczy połyskiwały w blasku światła jak czarne kamienie.

— O, to nie tylko małe myszy urządzają nocami wyprawy na ten strych — szydził i kopał Unę, by zmusić ją do wstania. Una czuła, że serce podchodzi jej do gardła; ze strachu nie mogła oddychać

Orm Viking chwycił ją za gęste, kędzierzawe włosy. Śmiał się ochryple i dyszał jadowitym szeptem prosto w jej twarz:

— Ciekawe jak też będziesz wyglądać bez twoich pięknych uszek, panienko. Niejedna niewolnica w tej okolicy straciła już na urodzie, bo naszła ją ochota na pańskie jedzenie!

Chwycił ją za ucho i ciął mieczem z całej siły. Una poczuła w głowie palący ból. Cienki, czerwony strumyczek spływał jej po szyi i w dół, na koszulę.

Wojownikom nudno tak noc w noc siedzieć na warcie i ziewać do księżycy. Nie przepuścili więc okazji do zabawy i długo wyśmiewali biedną dziewczynę. W końcu zrzucili ją ze schodów i pozwolili jej poczołgać się do domu.

Wkrótce po tych wydarzeniach Tir została wezwana do halli, gdzie przyprowadzono ją przed oblicze żony jarla.

Tir pamiętała słowa, jakie tutaj padły, gdy po raz pierwszy stała w halli... Z tej dziewczyny będę miała pożytek, gdy nadejdzie pora. Tir czuła nieprzyjemne ssanie w dołku. Czoło i dłonie pokrywał zimny pot.

Żona jarla leżała w łożu, na wysokich poduszkach, otulona miękkimi okryciami ze skór. Trzymała na ręku swoje dwa małe pieski i raz jednego, raz drugiego gładziła wolno po grzbiecie. Przy długim palenisku siedział jasnowłosy syn jarla i rzeźbił w kawałku drewna. Stara służąca miarowo poruszała kołyską. Dziecko w kołysce krzychało i wymachiwało rączkami.

— Musisz znaleźć nową mamkę — powiedziała żona jarla do służącej. — Una już się nie nadaje. Kiedy niewolnica traci ucho, traci też i pokarm, niestety! — Wtedy dostrzegła Tir. — Podejź bliżej — nakazała. Tir szła wolno. Głos pani brzmiał łagodnie:

— Co to takiego nosisz na szyi, dziewczyno?

— To jest krzyż. — Tir pokazała mały przedmiot, wyrzeźbiony z drewna przez ojca.

— Słyszałam o takich, co w to wierzą — powiedziała pani. — Jarl opowiadał mi o potężnych domach, w których mieszka ich bóg i gdzie gromadzą olbrzymie skarby. Chciałabym zobaczyć takie miejsce na własne oczy. Ale my, kobiety, rzadko wyruszamy w świat.

Tir wyjaśniła, że są klasztory dla kobiet i dla mężczyzn, w których modlą się i sławią Boga.

— Ale nie mogą przecież żyć tylko z tego, że sławią swojego dziwnego boga — zaśmiała się żona jarla.

— Mają ogrody. Uprawiają tam warzywa i owoce. Mają też stajnie, a w nich kozy, krowy i owce.

— Nigdy nie wyprawiają się na rabunek?

Tir zastanowiła się. Słyszała, jak ojciec opowiadał o chrześcijańskich mężach, chytrych i złych, którzy gromadzą dla siebie wielkie bogactwa. Ale ona sama знаła tylko pobożnego brata Cormaca i starego wiejskiego proboszcza. Dlatego odrzekła:

— Uczyliśmy się od naszych księży, że nikt nie powinien kraść ani zabijać, ani czynić innym żadnego zła. Ale na pewno nie wszyscy tak samo dokładnie wypełniają przykazania.

Żona jarla przyglądała jej się w zamyśleniu. Zaraz jednak wyprostowała się i zaśmiała.

— Teraz powinnaś się dowiedzieć, po co cię wezwałam. Podejź do kołyski i powiedz, jak ci się podoba moje maleństwo.

Tir podeszła i zaczęła się przyglądać niemowlęciu leżącemu wśród pokrytych jedwabiem poduszek i haftowanych kołderek. Było malutkie i rozwrzeszczane, i najbardziej ze

wszystkiej przypominało to najmniejsze prosię, którym opiekował się Reim

— Czyż nie jest śliczna? — powiedziała żona jarla pełnym czułości głosem. — Trzech moich starszych synów zginęło od miecza. Są teraz w królestwie Odyna. Mam tylko Sigurda i to maleństwo. Freja była łaskawa i zesłała mi dziewczynkę. Ona nie pójdzie na wojnę.

— Pani chce ci uczynić wielki zaszczyt — szepnęła stara służąca. — Zaraz zrozumiesz dlaczego. Spraw się dobrze, kiedy mała znowu zacznie krzyczeć.

Tir pochyliła się nad dzieckiem w kołysce. Wkrótce małe usteczka znowu otworzyły się do płaczu i Tir zobaczyła maleńki ząbek. Był nie większy niż ziarnko żyta.

Żona jarla zbliżyła się do nich.

— W tak wielkim dniu moja córka musi dostać podarunek. Ty będziesz jej podarunkiem z okazji pierwszego zęba!

Tir patrzyła na nią. Żywy człowiek jako prezent!

Służąca pochyliła się ku niej i nie przestawała szeptem opowiadać, że jutro Tir będzie mogła przenieść się do dużego domu i nie będzie już potrzebowała mieszkać w ciemnym kącie pomieszczenia dla niewolników. Będzie mogła wziąć gorącą kąpiel żeby pozbyć się wszy. I dostanie nowe ubranie...

Podarunek z okazji pierwszego zęba! Ze złości łzy popłynęły jej z oczu. Teraz była własnością tego małego, czerwonego, rozwrzeszczanego zawiniątka z kołyski. Poczula się jak cielę na targu. Odwróciła się od dziecka i poszła w stronę drzwi.

— Poczekaj — zawołała pani. — Odpięła coś od koszuli i podała Tir. Była to mała, pozłacana szpilka z irlandzkim wzorem.

— Pomyślałam, że może miałabyś na to ochotę... — Żona jarla wyglądała jakby trochę zażenowana. Lekki rumieniec pokrył jej twarz.

Nadeszło lato.

Łąki kwitły. Kołysały się z wiatrem kwiaty dzikiej marchwi, dmuchawce, margerytki i niebieskie dzwonki. Tir biegła po polance i zbierała dojrzałe poziomki razem z łądkami. Co chwilę wkładała jeden owoc do buzi małej dziewczynce, która siedziała w trawie i wyciągała do niej rączki.

Nastały teraz piękne dni. Una, Kumba i kilka innych niewolnic poszły z bydłem na pastwiska w góry. Miały tam spędzić całe lato, przygotowywać masło i sery na zimę. Tir musiała zostać w domu. Żona jarla szybko się zorientowała, że irlandzka niewolnica jest znakomitą piastunką jej dziecka.

— Więcej już nie dostaniesz — powiedziała Tir stanowczo, gdy mała Kjellang domagała się jeszcze poziomki. — Brzuch cię będzie bolał i tyle. Siedz spokojnie!

Dziewczynka przycichła. Tir wzięła ją na ręce i zaniósła do miejsca, gdzie stała Tora. Trzymała na powrozie łąciatą krowę i czekała, aż zwierzę będzie miało dość słodkiej koniczyny, rosnącej nad strumykiem.

— Chodź, wdrapiemy się na wzgórze!

Wbiegły zdyszane i spocone na szczyt, gdzie Reim pilnował stada owiec. Zagonił zwierzęta na porośle soczystą trawą pastwisko. Z jednej strony wzgórze kończyło się stromą ścianą, z drugiej Reim zbudował z solidnych palików płot, który zagradzał wyjście. Dopóki owce pasły się w zagrodzie, chłopiec mógł sobie leżeć w trawie. Gryzł jakieś źdźbło i patrzył w błękitne, letnie niebo, gdzie skowronek wyśpiewywał swoje tryle.

— Ty leniwa istoto — pokrzykiwały do siebie nawzajem Tora i Tir, przedrzeźniając dorosłych.

Tir ostrożnie posadziła dziecko w trawie, a Tora przywiązała krowę do pnia klonu.

— Będziemy się bawić w to samo co wczoraj?

Tir nie czekając na odpowiedź zaczęła zbierać szyszki i patyki. Tora pobiegła poszukać pięknego, miękkiego mchu. Nazbierała go całe naręczce i niosła ostrożnie na szczyt wzgórza.

— Ja chcę być jarlem, tak jak wczoraj — powiedział Reim.

— A ja høvdingiem — krzyknęła Tora.

Szyszki, które w zabawie były krowami, ustawili w równe szeregi. Były gładkie i lśniły rudawo w letnim słońcu.

— Tir będzie niewolnicą — drażnili się z nią — bo jest najmłodsza. Nie ma krów dla ciebie, Tir!

Tir ze złością zacisnęła pięści.

— O, wasze niedoczekanie! Nie będę się z wami bawić.

Kopnęła szyszkowe krowy, aż potoczyły się w dół po zboczu.

— W takim razie możesz być królem. Będiesz miała dziesięć krów więcej niż każde z nas!

Tir wróciła. Bawili się w króla, jarla i høvdinga, a żadne nie miało mniej niż trzydzieści krów. Stały one w malutkich oborach, zbudowanych z kamieni i patyków, pokrytych dachami z mchu. W pewnym momencie Tir wpadła na pomysł, by zamienić dziesięć poziomek na gałązkach za dziesięć lśniących krów. Jarl dał się namówić bez trudu, policzyli więc każdy swoje i zamienili się. Høvdving oblizywał się łakomie i też nietrudno było go przekonać. Poziomki były słodkie, ciemnoczerwone i miały smak lata.

W końcu Tir była znowu właścicielką całego stada, liczącego sto krów.

— Teraz jestem wielkim królem — śmiała się zadowolona. — A wy jesteście niewolnikami, którzy nie mają nawet jednej starej krowiej skóry!

Daleko w dole rozległo się wołanie. Krowę Tory trzeba było zaprowadzić do domu i wydoić. Tir wzięła na ręce małą, która zasnęła w miękkiej trawie.

— Kto to biegnie tam po zboczu? — zapytała Tora.

— Gdzie? — Tir rozglądała się, aż dostrzegła błękitną kurtkę, która zaraz zniknęła w lesie za wzgórzem.

— To musi być Sigurd. Myślisz, że siedział tu przez cały czas schowany i nas podglądał?

Tora wzruszyła ramionami.

— Nudno być synem jarla.

Dziewczynki zaczęły wolno schodzić ze wzgórza.

— Nie zasypiaj teraz, Reim — ostrzegała Tir. — Wkrótce wieczór!

Musiał spać długo, bo gdy się ocknął, przedwieczne słońce rzucało na łąkę długie promienie. Przeciągnął się rozkosznie i westchnął zadowolony. Zaraz jednak zerwał się na równe nogi i przetaił oczy. Czy to sen? Płot, który zbudował, był przewrócony, zwierzęta zniknęły. Nie było ani jednej owcy.

Reim poczuł kłujący ból w krzyżu. Gdzie ma ich szukać? Tyle tu było ścieżek prowadzących w różne strony. Niektóre szlaki wiodły ku wschodowi, do pobliskiej wsi, inne wiły się w górę, coraz wyżej, aż do pastwisk na halach. Najbardziej może prawdopodobne było, że owce poszły właśnie w górę, na zielone, soczyste pastwiska. Pobiegł między kępami wrzosu i czarnych jagód, serce waliło mu w piersi. Powinien iść na północ, przez las brzoźowy, i podejść do Strasznej Góry. Zatrzymywał się od czasu do czasu i wycierał rękawem spoconą twarz, po czym biegł dalej.

Nagle na ścieżce tuż przed nim pojawiła się jakaś postać. By! to rosły mężczyzna, ubrany w brązową kurtkę, w kapturze zasłaniającym prawie całą twarz. W ręce trzymał dzidę do polowania na niedźwiedzie.

Reim rzucił się w bok, ale mężczyzna stał na szeroko rozstawionych nogach i zagradzał drogę.

— Nie bądź taki wystraszony, chłopcze — mruknął. — Nie jestem włóczęgą, jeśli tego się boisz.

Mężczyzna zsunął kaptur na tył głowy i Reim zobaczył twarz o płowym zaroście i życzliwych oczach.

— Ale co taki mały chłopak, jak ty, robi sam w lesie tak późno wieczorem? W tych okolicach są i niedźwiedzie, i wilki, Nawet niewolnik ceni swoje życie. Najlepiej będzie, jeśli zawrócisz do domu, zanim na dobre się ściemni.

Reim nie spodziewał się tak przyjaznych słów od obcego. Niemał bezwiednie z jego ust popłynęły słowa, a ciałem wstrząsnął płacz. Strumienie słonych łez spływały mu na wargi, gdy opowiadał, co się stało.

Mężczyzna długo gładził brodę.

— Jeśli to wszystko, co powiadasz, jest prawdą, to chłop Brede może cię kawałek odprowadzić. Widziałem tu niedaleko, pod samym nawisem skalnym, samotne stadko owiec. Kilka jagniąt także było. Pomyślałem, że należą do gospodarstwa Ullin, i nie zajmowałem się tym więcej.

— To muszą być moje owce — zawołał Reim uradowany. Zszedł za chłopem wzdłuż potoku. Czuł się bezpiecznie, schowany za jego szerokimi plecami. Dzida na niedźwiedzie lśniła w półmroku. Chłopcu robiło się gorąco na myśl, że biegał tak po tym górskim pustkowiu, mając za całą broń jedynie zaostrzony na końcu kij. Słyszał w wieczornej ciszy jakieś szmery i szelesty. To pewnie małe zwierzątka wybrały się na nocne wędrówki. Gronostaj, a może kuna? Albo...? Brede stanął i nasłuchiwał. Od równiny na wschodzie niesło się przeciągle wycie.

— To wilki — powiedział krótko. — Ale są daleko stąd.

Reim pochylił się, podniósł spory kamień i zacisnął go w dłoni, szedł teraz jeszcze bliżej swego opiekuna, tuż za jego plecami i co chwila przerażony oglądał się za siebie, na ścieżkę.

Niebo na wschodzie poczęło blednąć i po chwili ukazał się księżyc. W nocnym świetle pastwiska wydawały się prawie białe. Na wprost nich wznosiła się pionowa ściana Strasznej Góry, której wierzchołek ginął w przepływających chmurach. To właśnie niedaleko stąd, u stóp góry, Brede widział stado owiec. Szedł teraz coraz szybciej i zdyszany Reim musiał za nim biec. Przedzierali się przez wrzosa i wysokie krzewy paproci. Brede rozglądał się na wszystkie strony. Raptem spostrzegł coś białego pośród traw. Podbiegł i krzyknął przerażony. W trawie leżało martwe jagnię. Biała wełna splamiona była krwią.

— Tu musiały działać potężne siły! — Brede zacisnął wargi. — Najmądrzejsze, co możemy zrobić, to odejść i nie wracać tu, nim nastanie dzień. Wtedy zawołam kilku chłopów do pomocy.

Reim kiwał głową w milczeniu. Rozumiał, że Brede ma rację, ale łzy znowu popłynęły mu z oczu. Zobaczył teraz resztę swojego stada, które stało stłoczone tuż pod skalnym nawisem. Przerażone jagnięta przywarły do matek.

Brede ruszył ku ścieżce, którą przyszli, gdy stało się coś nieoczekiwanego. Raptem usłyszeli głęboki pomruk i wielki, mroczny cień wysunął się z zarośli. Jagnięta zabeczały ze strachu. W chwilę później olbrzymi niedźwiedź chwycił kolejną zdobycz, Z owcą w paszczy ruszył przed siebie, prosto do miejsca, gdzie stali Reim i Brede.

— Ja cię tu zatrzymam, ty morderco owiec! — wrzasnął Reim i cisnął kamieniem, który trzymał w ręce. Kamień poszybował ze świstem i spadł prościutko na łeb wielkiego, kosmatego zwierza.

— Czyś ty rozum postradał, chłopcze!

Brede odwrócił się i chwycił dzidę. Bestia zwietrzyła teraz dwie istoty ukryte w cieniu zarośli i kolebiąc się ruszyła ku nim. Chrust i gałęzie trzaskały pod wielkim cielskiem. Reim pochylił się błyskawicznie, chwycił kamień i znowu cisnął, ale nie trafił. Kamień uderzył w skalną ścianę obok celu. Niedźwiedź stanął na tylnich łapach, prostując swoją potężną postać.

I teraz Reim zobaczył coś, co utkwilo mu w pamięci do końca życia. W tym samym

okamgnieniu, gdy wściekłe zwierzę miało się rzucić na zdobycz, Brede wbił koniec dzidy pod kątem w ziemię i błyskawicznie odskoczył w bok. Ciężkie cielsko zawisło na chwilę, kołysząc się na drzewcu dzidy, po czym z łoskotem grzmotnęło o ziemię. Potężny grot trafił prosto w serce. Brede osunął się na kolana.

— Zmuszać starego człowieka, by polował w ten sposób... — wychrypiał i otarł pot z czoła. Po czym burknął surowo: — To było nierozumne z twojej strony, chłopcze, rozżłościć w ten sposób pana naszych borów.

Reim z rozpaczą oglądał skutki niedźwiedziej grabieży. Wszędzie leżały poszarpane ciała owiec, a najwięcej jagniąt.

— Powinniśmy chyba ruszyć w drogę powrotną, do doliny — powiedział w końcu Brede. — To daleko, a moja żona Bergliot na pewno się już niepokoi. — Poglaskał brodę. — Ona myśli, że zostałem napadnięty przez niedźwiedzia!

Reim zebrał ocalałe owce i popędzał przed sobą po ścieżce małe, przerażone stadko. Niebo zrobiło się całkiem ciemne, ale daleko w dolinie, przed domami we wsi, paliły się pochodnie. Szli razem aż do wzgórza, gdzie drogi się rozchodziły. Stąd Brede musiał iść w stronę przełęczy, a potem w dół, do osady handlowej, gdzie miał swoją zagrodę.

— Żegnaj, chłopcze — mruknął. — Jutro wrócę tu z moimi synami i zabierzemy niedźwiedzia do domu. — Po czym dodał: — Skoro jesteś niewolnikiem we dworze jarla, to pozdrów Unę i jej brata Vidura. To są dalecy krewni mojej żony. Żal, że tacy wspaniali ludzie muszą się przez całe życie męczyć jako niewolnicy...

— Ja się boję — wyszeptał teraz Reim. — Boję się wrócić na dwór jarla.

Brede podrapał się w brodę.

Tak, życie małego niewolnika nie jest zbyt wiele warte, gdy stanie się coś takiego. Ale ty, chłopcze, nie możesz oczekiwać, że cię baty ominą, skoro zasypiasz przy owcach. Ja bym ci także przyłożył, gdybym był właścicielem. — Brede mówił teraz łagodniejszym głosem i lekko uszczypnął Reima w policzek. — Gdybym był w stanie ci pomóc, chłopcze, zrobiłbym to, bo ja sam obchodzę się dobrze z tymi dwoma starymi niewolnikami, których mam. Ale jestem tylko zwyczajnym chłopem i niewiele miałbym do powiedzenia wojownikom jarla. Sam zresztą myślę, żeby wyruszyć na zachód, do Islandii. Jestem już zmęczony ciągłymi niepokojami w kraju.

Reim przełknął ślinę. Weź mnie ze sobą, weź mnie ze sobą na Islandię, śpiewało w nim coś. Ale słowa utkwily w gardle. Tak naprawdę wiedział przecież, że to niemożliwe. Zamiast próby podziękował więc najpiękniej jak potrafił i ruszył wąską, wydeptaną przez konie ścieżką na zachód, ku dolinie. W ciemnościach nocy słyszał bicie własnego serca.

— Nie pójdę tam — powiedział głośno sam do siebie.

Zawrócił do opuszczonej szopy na siano. Wewnątrz znalazł kilka rzemieni, którymi powiązał owce, a sam zagrzebał się w słomie i zasnął.

Gdy następnego dnia, po tej okropnej nocy, stanął przed starą szopą, zrozumiał, że postąpił głupio. Teraz musieli już zauważyć, że go nie ma. Przez moment myślał, żeby uciec. Mógł rozwiązać owce, by same wróciły do doliny. Wkrótce do dworu dotrze wiadomość, że w górach znaleziono poszarpane, martwe zwierzęta. Ludzie powiedzą, że niedźwiedź porwał też pewnie małego niewolnika. Nie został po nim nigdzie nawet ślad.

Jednakże od razu pojawiły się wątpliwości. Czy dałby sobie radę sam, przez wiele dni? Do osady handlowej było nie dalej niż dzień marszu, a tam może udałoby mu się dostać na jakiś statek. Ale najpierw musi przedostać się przez strażę, które jarl wystawia na granicy swoich włości. A co z Tir? Nie sposób jej przecież zostawić...

Poszedł na próbę kawałek wąską, leśną ścieżką, gdzie rzadko pojawiali się ludzie. Daleko w dole widać było wieś. Na polach wokół dworu jarla niewolnice ścinały zboże. Żółte pola pławiły się w słońcu. Zdawało mu się, że przy zagrodzie dla koni widzi krzątającego się Vidura.

Reim zanurzył twarz w strumyku i pił spragniony. A gdy wstał, zobaczył, że na polance pod lasem pełno jest soczystych, czerwonych malin. Były tak dojrzałe, że same spadały z gałązek i wkrótce miał ich pełną garść. Mmm! Jakie pyszne maliny! Reim czuł słodycz w całym ciele, aż po końce palców.

Naraz drgnął. Coś zaszumiało za nim we wrzosach i na ścieżkę; wyskoczył wyrośnięty chłopak. Był to trochę niedorozwinięty, prawie już dorosły niewolnik imieniem Hosve.

— Och, to ty, Hosve — zawołał Reim z ulgą. — Aleś mnie przestraszył!

Oczy Hosve błysnęły złowrogo. W rękę trzymał nóż.

— Hosve! — krzyknął Reim. — Czego ty chcesz ode mnie?

— Idź ścieżką przed mną — powiedział Hosve. — I żeby ci nie przyszło do głowy uciekać, bo poczujesz w plecach to ostrze!

Poszli wolno w stronę doliny w piekącym, południowym słońcu.

— Oto on — powiedział Hosve do nadzorca niewolników. — I żebyś nie zapomniał dobrze wynagrodzić wiernego niewolnika.

Vidur podniósł się z posłania i podszedł do Reima. Zapalił tranową lampę:

— Pokaż plecy!

Reim leżał na brzuchu, żeby sucha, kłująca słoma nie dotykała ran. Piekło go tak, jakby mu przypalano skórę rozżarzonym żelazem. Zaciskał zęby, bo nie chciał, żeby Vidur widział, jak płacze.

Oczy Vidura pociemniały.

— To najokrutniejsze, co kiedykolwiek zrobiono dziecku — zawołał. — Zobaczcie, jak obeszli się z synem irlandzkiego gospodarza!

Hosve schował się w swoim ciemnym kącie. Tylko Lut podszedł na palcach do posłania Reima i patrzył oczyma bez wyrazu. Inni nawet się nie ruszyli. Klegge wyciągnął się na podłodze i ziewnął.

— Syn irlandzkiego gospodarza — skrzeczał. — Kiedy niewolnikowi zaczyna się здаwać, że jest wolnym człowiekiem... Stary Klegge był niewolnikiem więcej niż siedemdziesiąt zim. Moje plecy są tak wygarbowane, że gdy świszczący bat na nie spada, czuję tylko, jakby mnie łaskotało. Twarda skóra na starym psie. Nic jej nie zrobią kąsające pchły.

— Milcz, stary psie! — krzyknął Vidur. — Nie prosilem cię, żebyś otwierał gębę ze swoim szczekaniem!

Klegge ułożył się wygodnie na posłaniu. Wkrótce potem chrapał jak zwykle. Lut także znalazł sobie miejsce. Wszyscy byli zmęczeni pracą w polu.

Vidur posmarował plecy Reima tłuszczem. Mimo że bardzo uważał, Reim czuł, jakby języki ognia lizały jego ciało.

— Leż spokojnie, chłopcze — rzekł Vidur szorstko. Ale coś drgnęło w jego głosie, gdy dorzucił: — Bogowie muszą to nam, niewolnikom, wynagrodzić w innym domu...

Następowała już jesień, gdy niewolnice przyprowadziły bydło z letnich pastwisk do domu. Na podwórzu zapanował zgielek. Krowy ryczały, kobiety biegały jak w ukropie, przenosiły sery i masło do spichlerza.

Una była podniecona. Gdy tylko zakończyła robotę, wymknęła się na ścieżkę, prowadzącą w dół do chaty w lesie. Sigrid siedziała na wzgórzu, powyżej zagrody. Jej synowie biegali między drzewami i bawili się w wikingów. Walczyli na miecze zrobione z drewna i nie mogli się powstrzymać, by nie drażnić starszej siostry. Na ziemi, w wysokiej trawie, baraszkowało rozebrane małe dziecko. Chwytało pulchne paluszki u nóg i próbowało wkładać je do buzi. Słońce połyskiwało w złotopłowych włosach maleństwa.

— Astrid! — Una uniosła małą i przytuliła mocno do siebie. — Jak ona urosła, Sigrid! Niech cię Freja błogosławi za to, że tak się nią opiekowałaś, kiedy mnie nie było. Trzymaj. —

Rzuciła kilka skórzanych woreczków na podolek Sigrid. — Tu macie trochę sera i masła. Więcej nie mogłam ukraść.

— Myślę, że postradałaś rozum, dziewczyno. Chcesz stracić także drugie ucho!?

Una dotknęła ręką lewej strony głowy. Zbladła, ale nie powiedziała nic.

Trzej mali wikingowie przybiegli natychmiast, skoro tylko zobaczyli woreczki leżące na kolanach matki. Prośli i napierali się, żeby im dać spróbować.

— Ani słowa — powiedziała matka surowo. — Żywa dusza nie ma prawa wiedzieć, skąd dostajemy jedzenie. Inaczej źle będzie z nami wszystkimi.

Chłopcy poważnie kiwali głowami. Sigrid uśmiechała się patrząc na nich. Letnie słońce obsypało piegami ich nosy i zaróżowiło policzki.

— To lato jakoś przeszło — powiedziała. — Udawało im się od czasu do czasu schwytać w sidła ptaka albo zająca. Tora codziennie biegała nad zatokę, gdzie łowiła dorsze. Piekli je potem nad ogniem. W lesie pełno było soczystych jagód, zbierali też grzyby i jadalne korzenie. Zgromadzili duży zapas liści pokrzyw i dzikiej marchwi, które suszyli i chowali na zimę. Ale kto wie, jak długo będą w stanie radzić sobie w ten sposób? — Sigrid odpędzała od siebie ponure myśli. — A poza tym mam dla ciebie niezwykle nowiny — powiedziała. — Tora mi opowiadała. Ona ma zawsze oczy i uszy otwarte. Pewnego dnia do dworu przyszedł zza wzgórz jakiś obcy, kulawy człowiek. Przybył tu z jednym takim, co żeglował do Norwegii z Islandii, by kupić drewno budulcowe i inne potrzebne towary.

Obcy ludzie we dworze jarla nie należą do rzadkości. Jak rok długi ciągną różni kupcy, którzy handlują wszystkim, cieśle, co robią skrzynie i wozy, kowale, wykuwający ostrą broń albo piękne ozdoby, ale ten obcy różnił się od innych. Od razu poszedł w stronę domu dla niewolników i pytał o Digraldego. Gdy się dowiedział, że Digralde jest z jarlem na wikińskiej wyprawie, nie zdziwił się ani trochę. A teraz mieszka w pewnej zagrodzie, niedaleko miejsca, gdzie wylądował statek tego Islandczyka, i czeka, aż wikingowie wrócą do domu.

Niewolnicy zbierali na polu zboże, gdy Tir w pewnym momencie zawołała:

— Spójrzcie, okręty! Tam, daleko!

Reim zmrużył oczy i wypatrywał. Nad fiordem wiał wiatr. Nu wysokich falach pienily się białe grzywy. Tir miała rację. Daleko na horyzoncie ukazywały się stewy ciemnych, osmołowanych okrętów, kołysały się na falach, po czym ginęły w pianie i po chwili znowu prudy fale. Flota wojenna wracała z wyprawy.

— Na pewno wiozą mnóstwo kosztowności — wołała Tir. — I niewolników... — Nagle twarz jej się rozjaśniła. — Może ktoś będzie mógł opowiedzieć nowiny z Irlandii!

Inni także dostrzegli już okręty. Na dworskim dziedzińcu ludzie biegali w różne strony i pokazywali w stronę fiordu. Psy skowyczały podniecone.

— W taki dzień nikt pewnie nie patrzy, co robią niewolnicy — powiedział Reim. Pobiegli więc drogą na skróty przez las, a gdy dotarli do zatoki, zobaczyli, że zebrał się tam już tłum ludzi. Byli wśród innych Hosve i Lut, i stara Kumba. Nawet Klegge zdołał zwlec się ze wzgórza, z pomocą dwóch solidnych kijów, gnany ciekawością. Una stała sama, trochę z boku. Czekwała na Digraldego.

Dalej, w grupie drużynników jarla, Sigurd siedział na swoim małym, bułanym koniku. Dziś miał na sobie pas nabijany srebrem i złotą przepaskę na jasnych włosach. Śledził w napięciu nadciągającą flotę. Jego matka bawiła rozmową jakąś mozną panią z jednego z sąsiednich dworów. Obie nosiły śnieżnobiałe lniane koszule i sznurowane na piersiach suknie bez rękawów miały na sobie mnóstwo złotych ozdób. Dzieci także wystroił się w piękne, mieniające się kolorami ubrania.

Okrzyki radości wzbily się pod niebo, gdy okręty zbliżyły się na tyle, że stojący na brzegu mogli rozpoznać ludzi na pokładzie. Widziano już Arilda i Torgrima, i Sveina. A tam stał Sigtrygg. Skoro tylko rzucono deski trapu, dzieci wbiegły na pokład. Trzy małe dzie-

wczynki rzuciły się na szyję zarośniętemu wikingowi.

— Tato, tato, możemy zobaczyć, co przywiozłeś?

Nie musiały długo czekać. Wkrótce skrzynie zostały wyniesione na ląd. Nigdy nie widzieli tak wspaniałych skarbów! Skrzynie aż po brzegi wypełnione były złotem i srebrem, szlachetnymi kamieniami i kosztownymi tkaninami. Jedna upadła, gdy niesiono ją na ląd, złoto rozbłysło w słońcu, a dzieci skakały, tańczyły dookoła i zanosiły się śmiechem.

Z pokładu schodził mężczyzna niosący wielki, złoty krzyż, Święty znak chrześcijan! Ludzie usunęli się na boki w zdumieniu.

Una podbiegła do niego.

— Digralde!

— Jak dobrze znowu cię widzieć! — powiedział Digralde. Jego oczy rozjaśniał uśmiech. — Już niedługo będę wolnym człowiekiem, Una. Wolnym. Słyszysz?

Podniósł Unę i krzyż wysoko w górę, a ludzie wokół nich wybuchnęli śmiechem.

Ale co się stało ze „Smokiem”? Gdzie jest okręt jarla? Kobiety dopytywały się i tłoczyły.

Wikingowie potrząsali głowami. Nie wiadomo. W drodze powrotnej zaskoczył ich sztorm i wtedy okręty się rozdzieliły. Ale „Smok” powinien się wkrótce pojawić. Tak potężny okręt nie da się pokonać byle sztormowi.

Żona jarla zbladła słysząc te nowiny. Dosiadła swego konia i szybko odjechała zabierając syna.

— Patrz, tam idą niewolnicy — szepnęła Tir. — A jacy bladzi! Wszyscy wyglądają na chorych. Spójrz, ile dzieci! Te najmniejsze nie mają pewnie więcej niż pięć, sześć zim. Zostaną zaprowadzone na targ i tam sprzedane.

— Czy ktoś z was jest Irlandczykiem? — krzyknął Reim w stronę niewolników.

— Tak, ja! — Mały chłopiec rozglądał się z nadzieją, gdy usłyszał, że ktoś tu się posługuje jego ojczystą mową.

— Wiesz może coś o naszych rodzicach? — Reim i Tir powiedzieli, jak się nazywa klasztor w ich stronach, i wymienili imiona rodziców.

Chłopiec potrząsnął głową.

— Nie wiem nawet, co się stało z moimi własnymi rodzicami i rodzeństwem — powiedział i wybuchnął płaczem.

Wkrótce wraz z resztą niewolników zniknął w lesie, gdzie liście poczynały się już barwić żółcią i czerwienią późnego lata.

Wieczorem w domu niewolników wszyscy stłoczyli się wokół Digraldego. A on opowiedział im swoją historię.

To dopiero jest życie, myślał Digralde, stojąc wysoko na rufie okrętu i patrząc na lśniąca w słońcu taflę morza. Wielki żagiel łopotał na wietrze, a piana bryzgała na pokład. Całym ciałem czuł, że żyje. Nadeszło wreszcie lato, do którego długo tęsknił. Wikińskie lato!

Na okręcie, którym płynął, było ponad stu mężczyzn. Młodzi chłopcy, wyruszający na swoją pierwszą wyprawę, kręcili się tu i tam, pełni oczekiwań. Liczyli po 12—15 zim i przeważnie byli synami bogatych chłopów i høvdingów. Niektórzy mieli kosztowne kolczugi i lśniące hełmy. Przywódcą w grupie był Narve, silnie zbudowany chłopak, niemal o głowę wyższy od pozostałych.

Wszyscy byli zdania, że prawdziwy syn høvdinga powinien wyglądać właśnie tak jak Narve. Jego wzrok przypominał przenikliwe spojrzenie węża, a złote włosy spadały aż na ramiona. Był najsilniejszy i najbardziej wytrzymały. Chłopcy darzyli go podziwem, graniczącym z uwielbieniem, zwłaszcza że nad górną wargą posypał mu się już złoty meszek. Digralde jednak zauważył, że gdy morze zaczynało silnie falować, Narve chował się za okrętowy namiot. Tam przechylał się przez burtę i oddawał rybom wszystko, co miał w żołądku.

Digralde uczestniczył w wielu wydarzeniach tego lata. Wsie i całe miasta w płomieniach, krzyki przerażenia starych mężczyzn, kobiet i dzieci. Ludzie więzieni i mordowani, młode, silne kobiety i mężczyźni uprowadzani do niewoli.

Wikingowie jednak, gdy zebrali się wieczorem, nie rozmawiali o takich sprawach. Weselili się, liczyli złote i srebrne monety zebrane w skrzyniach i stroili się w ciężkie bransolety z pozłacanego metalu. Coraz głośniej przechwalali się swoimi wyczynami! Rozmawiali o Frankonii i Fryzji, o innych pięknych królestwach na zachodnim szlaku. O wspaniałych budowlach, smakowitych potrawach i napitkach i o pięknych kobietach, z którymi się zabawiali. Kiedy byli zadowoleni i podpici, klepali Digraldego po plecach mówiąc, że gdyby nie był niewolnikiem, uczyniliby go wodzem. Był przecież o głowę wyższy od każdego z nich i wyglądał przerażająco, gdy z bojowym toporem wzniesionym nad głową ruszał do ataku.

Digralde jednak trzymał się z boku. Gdy unosił topór do ciosu, czuł, że ramię mu omdlewa. Sam nie rozumiał dlaczego. Czyżby był tchórzem?

Atakuj, Digralde, dźwięczało mu wciąż w uszach. Musisz dokonać wielkiego czynu tego lata! Jeden jedyny bohaterski czyn i będziesz wolnym człowiekiem!

Po rozbojach na Morzu Irlandzkim flota wikińska wzięła kurs na południowy wschód. Wkrótce ujrzeni skały u wybrzeży kraju Franków.

— Boginie losu nas wspomagają — powiedział jarl. — Nie łatwo jest w tej mgłę dostrzec z łądu nasze okręty. — Stał na rufie „Smoka” i po chwili zawołał: — Zbliżamy się do łądu! Widzę mury miasta. Przygotować się! Wyjąć broń! Pokażcie, że w waszych żyłach płynie wikińska krew!

Digralde wstał i zapiął pas. Nie nosił miecza, jak ludzie wolni, nie miał też kolczugi. Jego bronią był ostry topór i duży łuk. Miał na sobie kubrak z grubej, rudobrazowej wołowej skóry, która mogła stanowić niezłą ochronę nawet przed ostrymi strzałami.

Wikingowie powiosłowali w stronę łądu, po czym zatrzymali okręty pod osłoną wysokiego brzegu. Jeden po drugim okręty wśliznęły się bezszelestnie do ciemnej zatoki. Wkrótce potem wikingowie wyroili się jak chmura opancerzonych owadów. Cicho, jak najciszej, przemknęli ku murom. Za pomocą haków i lin poczęli się na nie wspinać. Stąd mieli widok na frankońskie miasto, śpiące jeszcze w szarym świetle świtu. Grupy domostw skupiały się wzdłuż wąskich fos, otoczone stajniami i spichlerzami. Poza murami, na miejskim pastwisku leżało kilka czarnobiałych krów i odpoczywało w trawie. W mieście, oprócz sennych kur grzebiących w ziemi na ogrodzonych podwórkach, nie widać było śladu życia.

Digralde zamknął na chwilę oczy. W oddali, za dużą grupą drzew, lśnił w świetle poranka krzyż na szczycie spiczastej wieży, strzelającej wprost w niebo.

Nim Digralde wyruszył na wyprawę, nauczył się wystarczająco dużo, by wiedzieć, że taki krzyż oznacza bogactwo. Rozejrzał się pospiesznie wokół, czy ktoś jeszcze odkrył to samo, co on.

Nagle w szeregach przed nim zapanował popłoch. Jeden z wojowników jarla spadł z muru ze strzałą w piersi. Zaraz potem inna strzała przeszła powietrze i wbiła się w ramię człowieka, który stał obok Digraldego. Atak nastąpił tak nieoczekiwanie, że ludzie wpadli w panikę. Niektórzy zeskakiwali z murów i uciekali w stronę okrętów. Kilku dwunastolatków zaczęło płakać ze strachu. Syn høvdinga o orlim spojrzeniu i złotych włosach dostał strzałą prosto w zadek i kwiczał jak zarzynane prosię. Zeskoczył w zarośla pod murami i umykał co tchu, by jak najprędzej znaleźć się w bezpiecznym miejscu.

— Na oko Odyna! Teraz widzę, skąd wieje ten zimny wiatr!

Jeden z wikingów przeczołgał się pod występem muru i pokazywał wzniesienie pośrodku miasta. Tam umocnili się obrońcy pod osłoną na wpół rozwalonego domu, uzbrojeni w łuki i kamienie. Stało się jasne, że miasto było już tego lata odwiedzane przez wikingów albo innych napastników, bo teraz wszyscy, którzy mogli utrzymać się na nogach, byli znako-

micie przygotowani do obrony. Strzały spadały na wikingów jak grad. Słysząc było przekleństwo i prośby do bogów.

— Pierwszy raz taki stary wiking jak ja musi brać ogon pod siebie i zwiewać — zgrzytał zębami Bjørn Viking. — I to z powodu jakiś parszywych frankońskich mieszczan. Wydaje się, jakby sam Odyn uczył ich posługiwać się łukiem i strzałami! Jeśli nie chcemy skończyć w Walhalli prędzej niż nam pisane, to wiejmy jak najszybciej do naszych okrętów.

Digralde był jak zamroczony. Podczas gdy inni wycofywali się w popłochu, on czołgał się na brzuchu wzdłuż muru i w miejscu, gdzie ściana była najniższa, przeskoczył na drugą stronę. Błyskawicznie pomknął w dół przez zarośla wąską ścieżką, prowadzący ku budynkowi z krzyżem na dachu. Przez cały czas ścisnął w dłoniach topór.

Gdy znalazł się naprzeciw kościelnego muru, położył się płasko na brzuchu i począł pełzać, ukryty w cieniu wielkiej lipy. Ze strachu całe jego ciało oblewał pot. Wokół kościoła panowała cisza, ale na szczycie wzniesienia ukazała się właśnie grupa ludzi uzbrojonych w kamienne młoty i drągi. Digralde nie miał czasu do stracenia. Musiał działać jak najszybciej.

Pobiegł przez plac do wejścia i szarpnął z całej siły ciężkie, dębowe drzwi. Wewnątrz ogarnęły go ciemności. Tylko na końcu długiego pomieszczenia lśniło słabe światło, sączące się przez otwór w dachu.

Nagle stanął przed nim wysoki mężczyzna. Miał na sobie długą do ziemi, brązową szatę, a na piersiach nosił metalowy krzyż. Obok niego stał mały, na biało ubrany chłopczyk, który trzymał w dłoniach zapaloną świecę. Miał szeroko otwarte, przerażone oczy.

Digralde na moment stracił pewność siebie. Ubrany na brązowo mężczyzna był wysoki i silny, trzeba by na pewno czasu, żeby go pokonać w walce. Digralde zamachnął się więc błyskawicznie toporem i zadał stojącemu śmiertelny cios w kark. Mężczyzna osunął się na podłogę z głuchym łoskotem. Ale chłopiec w białym ubraniu wciąż stał wyprostowany i zagradzał drogę z uniesioną w górę świecą. Jakby skamieniał z przerażenia.

Digralde czuł, jak narasta w nim złość. Słyszał zbliżających się ludzi i porwał go strach o własne życie. Ponownie uniósł ostrze. Uderzył. Biała postać upadła bez życia na podłogę. Światło zgasło z cichym syknięciem.

Przekroczył oba leżące na podłodze ciała i pobiegł w stronę ołtarza. Stała tam pozłacana szkatułka i puchar ze srebra. Ale w górze, nad ołtarzem, pysznił się ciężki, złoty krzyż zdobiony niezwykłymi, iskrzącymi się kamieniami. Na krzyżu wisiała nieruchoma postać z rozpostartymi ramionami i wzrokiem utkwionym prosto w twarzy Digraldego. Chwiejny cień przesunął się po ścianie. Wojownik uczył niepokój. A może ten bóg, o którym tyle słyszał, żyje naprawdę, skoro ludzie stawiają mu takie wielkie domy i dają tyle kosztowności?

Ale nie miał czasu na rozmyślanie. Na zewnątrz słysząc było tupot wielu stóp. Digralde szarpnął krucyfiks z całej siły i zerwał go ze ściany. W tej samej chwili od wschodniej strony wpadli do kościoła mieszkańcy miasta. Zaczęli przeraźliwie krzyczeć, gdy zobaczyli martwe postacie na podłodze.

Digralde wymknął się przez boczne, niskie drzwi i na klęczkach przedzierał się przez gęste zarośla przy wschodniej ścianie kościoła. Miał za sobą ze dwudziestu ludzi. Strzały i kamienie gwizdały w powietrzu. Jeden kamień trafił go w ramię, aż się zwinął z bólu. Pozbierał się jednak szybko, przyciskając do piersi cenną zdobycz. Biegł przez zarośla łożyny, wzdłuż niskiego muru, w dół, w stronę morza. Okręty wikińskie były już gotowe do odwrotu. Wioślarze siedzieli na swoich miejscach.

Digralde wskoczył na pokład „Smoka” i ruszył wprost do namiotu, gdzie siedział jarl i trząsał się z wściekłości. Musieli uchodzić z miasta. Jedyne łup stanowiło parę drobnych monet, które znaleźli w jednym z domów. Był to najgorszy dzień, jaki jarl pamiętał.

— Zabieraj się stąd, niewolniku — syknął, gdy Digralde stanął przed nim. Gotów był chlapać piwem z rogu, który trzymał w dłoni, prosto w twarz natręta.

Ale wtedy Digralde wyciągnął spod kubraka krucyfiks. W pomieszczeniu pojaśniało. Światło załamywało się w złotym ornamencie i błyszczących szlachetnych kamieniach. Ludzie cofnęli się, a jarl siedział i patrzył, jakby w jednej chwili stracił mowę. Raptem przechylił się do tyłu i wybuchnął gromkim śmiechem. Przez wszystkie te lata, kiedy pływał po morzach i plądrował obce kraje jako wiking, nie przeżył czegoś takiego.

— Wy, co stoicie tutaj wokół mnie, i których do tej pory miałem za największych śmiałków w całym kraju, uciekliście w popłochu z podkulonymi ogonami na widok kilku miejskich cepów. Patrzcie teraz na tego niewolnika! Spójrzcie! Poszedł i zdobył takie bogactwo. Więcej krwi wikińskiej płynie w tym niewolniku niż w wielu z was, których nazywam moimi ludźmi. Podejdź bliżej, Digralde. Myślałem, że jesteś tchórzliwym psem, Ale teraz chcę, żeby wszyscy, którzy są tu obecni, byli świadkami, że uczynię cię wolnym natychmiast, gdy tylko wrócimy do domu i będę mógł przedstawić twoją sprawę na tingu!

W namiocie zapanował zgłęb i poruszenie. Jarl podał mu róg i prosił, by wypił, a wszyscy mężowie wiwatowali na cześć wyzwolonego niewolnika. Nareszcie jarl odzyskał humor.

Wolny, myślał Digralde, gdy długo w noc przewracał się no posłaniu. Wolny! To było nieznanne uczucie. Teraz tęsknił do powrotu na północ. Do Uny. Przeżyli oboje wiele złego. Nie wiedział, co się stało z małą dziewczynką, której był ojcem. Mógł tylko mieć nadzieję, że wszystko jest dobrze. Może będzie mógł teraz rozpocząć nowe życie? Może łowiąc przepiórki i sokoły zdoła zarobić dość pieniędzy, by wykupić Unę z niewoli? Mogliby sobie zbudować niewielką zagrodę i tam wychowywać swoją małą córeczkę.

W chwili gdy to pomyślał, z ciemności wyłoniła się inna dziecięca twarz. Chłopiec mógł mieć jakieś siedem, osiem lat i stał ze świecą w dłoni. Poważne oczy robiły się coraz większe i większe w drobnej twarzy.

Digralde kręcił się i wiercił na posłaniu zlany potem. Dziecięca buzia jakby wrosła weń i nie chciała go opuścić.

— Torze, zmiłuj się! — jęczał. — Uwolnij mnie od tej zmory, usuń koszmarne sny!

— Leż spokojnie, psie — burczeli śpiący obok niego. — Nie przerywaj nam snu tylko dlatego, że zostałeś wolnym człowiekiem!

Naciągali owcze skóry na głowy i znowu zapadali w sen, a morze szumiało i okręty żeglowały ku nowym celom.

Drogą wolność sobie kupilem, myślał Digralde. I uczynił coś, czego nie robił od dnia, gdy jako sześciolatek chłopiec został sprzedany w niewolę. Odwrócił się na bok i zapłakał.

Na drugi dzień po powrocie wikińskiej floty do domu, stromą ścieżką prowadzącą do zatoczki, w której się prało, szły niewolnice. Tir niosła tłumok z odzieżą większy niż ona sama. Musiała podpierać się kijem, żeby utrzymać równowagę. Za nią Kumba z Uną niosły kocioł z parującą wodą. Na dole, przy strumyku, ustawiły wszystko na ziemi.

— Fe, jak to śmierdzi — powiedziała Kumba i zatkała sobie nos. Weszła do wody i dopiero tam rozwiązała rzemienie pierwszego worka, wypełnionego ubraniami aż sztywnymi od zaschniętego brudu. Wyrzuciła całą zawartość na kamienie — kurtki, spodnie, płaszcze. Wszystko tej samej, szarobrunatnej barwy.

Jedna z dziewcząt położyła ręce na biodrach i powiedziała szyderczo:

Tak, tutaj mamy naszych walecznych wikingów! Mogą się do woli przechwalać swoimi bohaterskimi czynami, ale nie ma na całym świecie niczego tak żalosego jak widok wikinga w brudnych gaciach.

Kumba roześmiała się z drwiną w głosie:

— A teraz właśnie panowie siedzą w halli, żłopią miód i biją się pięściami w piersi. Ale marnie by wyglądali dzielni wikingowie, gdyby nie mieli nas, niewolnic, które pierzemy wszystkie ich brudy. Tylko my jedne nie siedzimy z otwartymi gębami i nie wsłuchujemy się

w to, co oni mają do opowiedzenia!

Niewolnice wybuchnęły śmiechem, a ich głosy mieszały się z szumem wodospadu.

Una zaczęła tłuc kijanką jakąś sztukę ubrania tak, że echo odpowiadało w górach po obu stronach doliny.

— Tak to się robi, dziewczyno — powiedziała do Tir.

Tir wzięła bluzę sztywną od brudu i ziemi. Zdawało jej się że na tkaninie widać ślady krwi. Długo musiała się męczyć i tłuc z całej siły, nim bluza stała się na tyle czysta, że widać było, jakiego jest koloru. Była to piękna bluza z materiału przetykanego złotą nicią. Pewno ją zdarli z jakiegoś zabitego człowieka. Dziewczynkę przeniknął dreszcz.

Lodowata woda lśniła zielonkawo w słabym, jesiennym słońcu. Tu i ówdzie złotobrzowe rybki przemykały między kamieniami i ginęły za piaszczystymi łachami. Tir przeszła do brodu i wzięła się za lnianą odzież. Upranie tego było wprost niemożliwe. Dziewczynka tłukła i tłukła kijanką, aż w końcu straciła czucie w zlodowaciałych rękach i nogach. Una musiała jej pomóc.

W końcu długi rząd czerwonych, niebieskich i zielonych kurtek i białych lnianych portek powiewał na wietrze.

— Spójrzcie, Håvard Viking złapał w końcu wiatr w żagle — śmiały się dziewczęta, gdy spodnie Håvarda pochwylił wiatr i pognał je ku morzu.

Łatwiej szło się pod górę bez ciężkich tłumoków. Od strony halli słychać było śmiech i gwar. Zebrał się cały liczny ród jarła, wszyscy czekali na powrót „Smoka”. Wokół dworu jednak wojownicy trzymali straż. Pogłoski o bajecznych zdobyczach, jakie flota wiozła do domu, już się rozeszły po okolicy.

Jakiś stary, zgarbiony człowiek szedł powoli ku domowi niewolników.

— Czy to nie jest ten obcy, który przyjechał z kupcem z Islandii? — zapytała jedna z dziewcząt.

— Tak, to on — powiedziała Tir. — Ciekawam, czego chce...

Trzy dni później syn jarła siedział nad brzegiem na koniu i wpatrywał się w morze. Trwał na posterunku, dopóki słońce nie schowało się za wzgórzami na zachodzie.

— Sigurd!

Syn jarła odwrócił się z uśmiechem.

— To ty, Reim?

Zeskoczył z konia i przywiązał Faksego do drzewa. Po czym włożył rękę pod kurtkę i wyjął mały przedmiot, który tam chował.

Oczy Reima rozbliły się z ciekawości. Na dłoni Sigurda leżał mały okręcik z pozłocistymi głowami potworów i tarczami po bokach.

— To jest „Smok” — powiedział Sigurd z dumą. — Nauczyłem się robić takie okręty od stolarza, który zimą mieszkał u nas we dworze. Matka dała małą jedwabną szmatkę na żagiel. I poprosiłem kowala, by przybił gwoździemi tarcze...

— To nadzwyczaj piękny okręt — powiedział Reim.

W pewnym miejscu, pod nawisem skalnym, morze utworzyło niewielką zaporę. Chłopcy leżąc na brzuchach dmuchali w żagle i mieszały patykami wodę, by wywołać fale. Okręcik z głowami potworów co najmniej sto razy przepląnął zbiornik, od zatoki do zatoki. Złoty żagiel odbijał się w lustrze wody.

— Teraz wyruszmy na wyprawę! — Sigurd dmuchał w żagle, wydymając policzki. — Naprzód! Grabić złoto i srebrne skarby! — krzyczał, wywijając nad głową małym toporkiem. — Do obcych brzegów! Naprzód, łowić młodych niewolników! — Ale w tej samej chwili, gdy wypowiedział te słowa, przygryzł wargi. — Wymyślimy coś innego — powiedział pośpiesznie.

— Na przykład co?

Głos Sigurda zabrzmiał tajemniczo:

— Moglibyśmy połączyć krew i zawrzeć braterstwo krwi!

— Połączyć krew? — Reim zadrżał.

— Tak, popatrz, ja nakłuję sobie palec i ty zrobisz to samo. Gdy zmieszamy naszą krew, zostaniemy przyjaciółmi na śmierć i życie! — Sigurd wyjął nóż i podał go Reimowi. — Ty pierwszy!

Ostre żelazo na miękkiej skórze. Reim myślał o tym z niechęcią. Ale nie było wyjścia, zamknął oczy i nacisnął nóż. Mała kropelka krwi potoczyła się wzdłuż serdecznego palca.

— Pospiesz się — krzyknął podniecony — bo krew spłynie na ziemię.

Sigurd zacisnął zęby i postarał się, by jego twarz przybrała kamienny wyraz, jaki miawały twarze wikingów ojca. Nakłuł skórę ostrym nożem i wycisnął z palca kroplę krwi.

Reim patrzył Sigurdowi w oczy, błyszczące nad piegowatym nosem. Powoli złączyli serdeczne palce.

— Nigdy nie zdradzę — powiedział Sigurd.

— Nigdy nie zdradzę.

Wypadło to tak uroczyście, że obu ich przeniknął dreszcz.

Słońce na dobre schowało się za wzgórzami i zrobiło się zimno. Sigurd schował nóż w pochwie u pasa i wstał. Wskoczył na małego bułanka, a Reim siadł za jego plecami. Popędzili galopem przez las, aż do rozwidlenia dróg. Tam Reim zeskoczył.

Gdy się zegnali, Sigurd zamyślił się.

— Szczerze mówiąc, nie jestem pewien, czy dobrze zrobiłem, że połączyłem krew z niewolnikiem — powiedział. — Mam nadzieję, że bogowie nas nie widzieli...

Reim się roześmiał.

— Twoi bogowie już dawno śpią po całym dniu walki na placu przed Walhallą...

Reim pobiegł w podskokach do domu niewolników. Przy palenisku siedział tam obcy mężczyzna...

— Czego chcesz ode mnie? — pytał Digralde podejrzliwie.

W skulonej postaci, która przycupnęła na ławie, nie było ani odrobiny dumy czy wyniosłości. Stary siedział okutany w brunatny płaszcz z surowego lnianego płótna, jakie zazwyczaj nosili ubodzy chłopcy, i trzymał na kolanach ręce zgrubiałe i popękane po wielu latach pracy w ziemi. Digralde patrzył na pochylony kark i rzadkie białe włosy, wijące się nad uszami. Czekał, ale był niecierpliwy.

— Czego chcesz ode mnie, stary człowieku? — powtórzył.

Obcy podniósł twarz i Digralde spojrzał w oczy, które miały taki kolor, jak morze w mglisty letni dzień. Zdjął go strach. Jak przez mgłę zobaczył w tych oczach małego chłopca, trzymającego dużą, bezpieczną dłoń swego ojca. Szli ścieżkami wśród stromych wzgórz, do dworu, weszli do pięknej halli i podeszli do siedzącego na honorowym miejscu jarla. Tam ciepła dłoń go opuściła i chłopiec zobaczył błysk srebrnej monety.

— Dokąd idziesz? — Ale ojciec odwrócił się i odszedł. — Ojciec, odpowiedz mi!

Odwrócony plecami ojciec nie odpowiadał jednak. Stawał się coraz mniejszy i mniejszy, jakby odpływał, aż całkiem zniknął. Jak w dziwnym, złym śnie.

Potem Digralde długo nosił w sercu nienawiść do ojca. Do ojca o mocnym karku i silnych ramionach, któremu ufał, a który odszedł od niego bez słowa.

Digralde nie wiedział, co począć. Teraz siedział przed nim strzęp człowieka. Był, a jednocześnie nie był tym ojcem, którego pamiętał.

Stary wstał i chwiejnym krokiem podszedł do syna.

— Minęło więcej niż piętnaście lat, gdy widzieliśmy się po raz ostatni, synu. Gdyby nie twoje jasne, kędzierzawe włosy, nigdy bym cię nie poznał...

— No oczywiście, dorosłem, stałem się duży i odważny — wycedził przez zęby

Digralde. — Niezwykłą siłę zdobyłem przenosząc dzień po dniu ciężkie kamienne bloki. Kopalem ziemię gołymi rękami i ciągnąłem naładowane wozy, których nawet konie nie mogły ruszyć z miejsca. W ciągu piętnastu lat pracowałem więcej niż zwierzę.

Ojciec ciężko opadł na ławę.

— Spróbuj mnie zrozumieć, synu. Posłuchaj, co stary człowiek ma ci do powiedzenia. Nikt nie jest bardziej nieszczęśliwy ode mnie. Kiedyś byłem zasobnym gospodarzem, miałem młodą i ładną żonę. Gospodarstwo na zachodzie trzykrotnie przechodziło z ojca na syna. Pola mieliśmy niewielkie, ale ziemia była dobra, łatwa do uprawy.

Każdego ranka wstawałem wraz z paniem koguta, orałem ziemię i siałem, zbierałem pokarm dla krów, żąłem zboże i przechowywałem je. Wieczorami moje ręce były ciężkie jak kamienie, ale mimo to myśli były spokojne. Mieliśmy pięcioro zdrowych dzieci i jakoś dla wszystkich starczyło pożywienia. Ty byłeś najstarszym synem, większym i silniejszym od innych.

Wtedy przyszło na nas nieszczęście. Okoliczne wsie dotknął nieurodzaj. My sami mieliśmy tyle, że jakoś byśmy sobie dali radę przez zimę. Ale w lasach grasowały bandy złodziei. Którejś nocy napadli na naszą zagrodę. Usłyszałem stąpanie koni i wybiegłem z domu. To byli złodzieje zboża! Byłoby szaleństwem walczyć z takimi ludźmi. W świetle księżyca widziałem, jak wynoszą ze spichlerza worki ze zbożem i ładują je na konie. I tak dziękowałem boginiom losu, że uszliśmy z życiem. W izbie żona i dzieci spały spokojnie.

A we wsi paliło się wiele domów. Cała dolina stała w płomieniach.

No i nastał głód. To był dla całej okolicy straszny rok. Nikt nie miał jedzenia pod dostatkiem. Łupaliśmy korę z drzew, gotowaliśmy jedzenie z korzeni i liści. Pożyczyłem kilka beczek ziarna i zadłużyłem się u pewnego bogatego gospodarza. Najpierw musiałem oddać ziemię, którą mój ojciec zagospodarował, w końcu został mi już tylko dom, gdzie mieszkaliśmy. Nie spałem po całych nocach. To było zbyt bolesne słuchać jak wy, dzieci, płaczecie i prosicie o jedzenie. Dwoje najmłodszych zmarło, nim zima się skończyła. Tylko sam Odyn wie, ile przecierpiałem!

W końcu wziąłem cię za rękę i wyprowadziłem z domu. Serce mi krwawiło tego dnia, ale nie miałem wyjścia. Ty byłeś duży i silny, mogłeś uratować pozostałe przy życiu rodzeństwo.

I wróciłem do domu ze srebrną monetą w dłoni. Srebro zostało wymienione na zboże. Sprzedałem cię tak, jak chłop sprzedaje na targu młodego wołka. Ale ty uratowałaś nam życie na jakiś czas. Wciąż myślałem, że jak tylko ten najgorszy czas minie, zdołam wykupić cię z niewoli.

Udało mi się wyprosić miejsce na statku pewnego høvdinga, który wyruszał do Islandii. Miałem tam kuzynów i liczyłem, że mi pomogą, ale boginie losu doświadczyły mnie okrutnie. Moja dobra żona i dwoje dzieci zmarło z wycieńczenia, nim przebyliśmy morze. Ja sam byłem tak chory, że na początku moi kuzyni nie mieli ze mnie żadnego pożytku. Ale pomagali mi najlepiej jak mogli. Zbudowałem sobie w nowym kraju niewielką zagrodę, co zabrało parę lat życia. Wciąż, tam na tej wyspie na zachodzie, myślałem tylko o jednym: że muszę mojego syna wykupić z niewoli.

Stary objął głowę rękami:

— Spróbuj mnie zrozumieć, synu!

Digralde odparł oschle:

— Przybywasz za późno, ojcze! Twój syn niewolnik sam znalazł sobie drogę do wolności. — Ojciec patrzył na syna zdziwiony. Digralde mówił dalej: — Kiedy jarl powróci, ogłosi na tingu wszystkim ludziom, że jestem wolnym człowiekiem. — Usiadł na ławie obok starego. — Teraz jeszcze wiąże mnie z domem niewolników pewna dziewczyna, którą chciałbym wziąć za żonę, jeśli tylko zdołam ją także wykupić z niewoli. — Pociągnął Unę ku sobie na ławę i odgarnął jej włosy. — Zobacz, co musi wycierpieć niewolnica, która stara się utrzymać

przy życiu swoje dziecko! — Stary odwrócił się przerażony. Digralde pochylił się ku ojcu. Głos jego brzmiał łagodniej: — My dwoje damy sobie jakoś radę, ale nasza mała córeczka, Astrid... Oddaliśmy ją na wychowanie do pewnej ubogiej wdowy. Jeśli chcesz uczynić coś dobrego dla mnie, ojcze, to za swoje srebro kup miejsce na statku dla Sigrid i jej dzieci. I zatroszcz się, żeby małej Astrid było dobrze na Islandii...

Po upływie siedmiu dni i nocy do fiordu wpłynął okręt z połamanymi stewami. Był to „Smok”.

Sztorm zagnał go aż do wybrzeży Svealandii, tam załoga musiała stoczyć walkę ze szwedzkimi wikingami i prawie wszyscy ludzie z pokładu „Smoka” zginęli pod ciosami mieczy.

— Mój mąż nie żyje! — Żona jarla wyciągała ramiona ku niebu. — Przeklęte niech będą boginie losu w taki dzień!

— Jarl nie żyje — powiedziała Kumba, a jej oczy zabłyśły jak złote bryłki bursztynu. — Nareszcie go trafiłam. Trafiłam go moimi czarami i tajemniczymi zaklęciami.

Ale oczy Digraldego posmutniały, pociemniały i spuścił głowę. Nadal był niewolnikiem i miał nim pozostać. Jarl nie żyje i nie będzie mógł ogłosić jego sprawy na tingu.

Dni, które nadeszły, były bardzo pracowite. Nigdy nie widzieli tylu starań i zamieszania z powodu śmierci jednego człowieka. W całym dworze pachniało jak przed zimowymi godami, choć to była dopiero jesień. Kobiety piekły i gotowały, mężczyźni przygotowywali miód. Niewolnicy trudzili się od rana do wieczora i rzadko mieli okazję zdrzemnąć się trochę. Ale ci, którzy zajęci byli przygotowywaniem jedzenia, mieli przynajmniej ten pożytek, że od czasu do czasu mogli zjeść jakiś kąsek. Una co wieczór kładła się spać syta i zadowolona.

— Nigdy nie bywa nam tak dobrze jak wtedy, gdy ktoś umrze — wzdychała.

Stary Klegge przesiadywał w piwnicy, gdzie mężczyźni sycili miód. Z dnia na dzień stawał się coraz weselszy, tańczył na chwiejnych nogach i śpiewał wesołe piosenki. W końcu żona jarla przepędziła go stamtąd i kazała mu pilnować ciasta w dużej kuchni. Ale i tam czuł się znakomicie w towarzystwie dziewcząt, z którymi żartował i szczypał je w policzki.

Na miejsce spoczynku jarla wybrano wysoko położoną polanę z widokiem na fiord. Żona jarla sprowadziła jeszcze dwunastu niewolników z sąsiednich dworów. Łącznie dwudziestu dwóch mężczyzn kopało i kopało, przygotowując miejsce przez całe trzy dni.

— Co za grób! I to tylko dla jednego człowieka! — mówiła Tir. — Możesz to pojąć, Reim?

Ale przyszedł czas, że pojęli. Następnego dnia, gdy grób był już gotów, usłyszeli rytmiczne okrzyki i stękania mężczyzn, ciągnących coś bardzo ciężkiego. Służba i niewolnice, rzemieślnicy zatrudnieni we dworze i dzieci — wszyscy wybiegli z domów. Reim przysłonił oczy od słońca. Niewolnicy wyciągali „Smoka” na brzeg. Okręt wyglądał teraz jak wielki chory morski ptak, który próbuje zerwać się do lotu. Wolniutko, niemal niedostrzegalnie posuwał się naprzód, gdy niewolnicy przeciągali kil po toczących się drewnianych balach.

Jednostajne pokrzykiwania niewolników brzmiały ponad fiordem jak ponura, przygnębiająca pieśń żałobna.

Pod wieczór całkiem zachrypli, ale doprowadzili okręt na miejsce przyszłego kurhanu.

Teraz kobiety i dzieci zaczęły znosić różne rzeczy na pokład. Niesiono skrzynie i szkatuły, beczki pełne jedzenia, garnki do gotowania i różna do pieczenia mięsa. Ciągniono ciężkie wozy i sanie. Aż do zachodu słońca płynął nieprzerwany strumień ludzi — od dworu do grobu i z powrotem. Na podwórzu słychać było ryki i beczenie, gdy zabijano woły i owce, które także złożono do grobu. Późnym wieczorem rozległo się przejmujące rżenie młodego konia, który padł na ziemię pod ciosem siekiery.

Księżyc już wschodził nad szczytami wzgórz, gdy od dworu ruszyła procesja ze zmarłym. Jarl był ubrany w purpurowy płaszcz, miał przy sobie miecz i tarczę, jak przystało

wielkiemu wojownikowi. Teraz wyprawiał się w długą drogę do Odyna w Walhalli. Płaczki zawodziły i wyciągały ramiona w górę, ku światłu, które powoli wylaniało się znad wierzchołków drzew i barwiło krajobraz srebrem.

Mężczyźni rzucali ziemię, tworząc powoli wielki nasyp. Reim odsunął się na bok. Czuł w całym ciele zmęczenie jak wielki ciężar. Gdyby teraz stąd odszedł, mógłby się zapewne na chwilę położyć i zasnąć, i nikt by nie zauważył, że go nie ma. Poszedł więc ścieżką prowadzącą na łąkę koło starego dębu.

Wtem usłyszał dziwny dźwięk, jakby płacz, i rzucił się do ucieczki. Ale zaraz zobaczył w mroku, że pod drzewem siedzi chłopiec. Jasną głowę oparł na kolanach, a całym jego ciałem wstrząsał szloch. Sirgud! Syn jarla, który całe dni ćwiczył się we władaniu mieczem i dzidą. Syn jarla, który wybierał się na wyprawę przyszłego lata. Siedział tu samotny i łkał! Reim zbliżył się i położył mu ręce na ramiona. Sigurd zerwał się z miejsca, uniósł mokrą od łez twarz, po czym znowu zakrył oczy dłońmi.

— Rozumiem, że jest ci smutno. Twój ojciec nie żyje.

Sigurd podniósł głowę. Mówił cichym głosem, prawie szeptem:

— To chodzi o Fakse! Dlaczego mi go zabrali? Bawiliśmy się razem codziennie. A teraz Fakse jest martwy i leży w zimnej ziemi... — Płacz przeszedł w bolesny szloch.

Reim usiadł tuż obok Sigurda. Uczuł, że ogarnia go dobre ciepło. Siedzą oto tutaj obok siebie — niewolnik i syn jarla. Obaj mają niewiele ponad jedenaście zim i obu dręczą smutne myśli. Reim przypomniał sobie małą stajnię w zagrodzie ojca, w Irlandii. Stella, pomyślał, dobry, kochany konik. Już jej pewnie nigdy nie zobaczą.

Sigurd wytarł nos wierzchem dłoni.

— Kiedy wrócę z wikińskiej wyprawy, Reim, i będę dorosły, to uwolnię ciebie i twoją siostrę. — Zaśmiał się krótko i jakoś dziwnie. — Wiesz, Reim, teraz to ja jestem jarlem. Władam sześcioma dużymi dworami i mam ponad trzydziestu niewolników. Wszyscy czekają, kiedy będę duży i wyruszę na wyprawę. Ale mam ochotę jedynie rzeźbić w drewnie różne figurki. — Uśmiechnął się krzywo.

— Ojciec popełnił błąd, nadając mi imię na cześć Sigurda, pogromcy smoka.

Sigurd rozłożył burkę i chłopcy oparli się o gruby pień dębu. Reim nie był pewien, czy może wierzyć w to, co Sigurd powiedział na temat zwrócenia mu wolności, ale zaczął marzyć, że jest w Irlandii i bawi się na polu. Z oddali dolatywała przeciągła, smutna pieśń żałobna, coraz cichsza i cichsza, aż w końcu całkiem zamarła.

Digralde chodził pogrążony w ponurych myślach. W takich chwilach nikt się nie odważył go zaczepiać. Wszyscy obchodzili go z daleka, żeby się tylko nie narazić na wybuch złości. Ale nagle się ożywił. Zawołał Vidura i Unę.

— Jarl nie żyje — mówił szeptem. — Teraz mamy prawdopodobnie jedyną szansę w życiu. Pogłoski o bogatych łupach z zachodnich krajów już się rozeszły po okolicy. Bogactwo zawsze wywołuje niepokój. Jeśli dobrze rozumiemy, możemy się w każdej chwili spodziewać napadu. A kiedy panowie się biją, zazwyczaj nie odwracają głów, by patrzeć, dokąd biegna niewolnicy.

Jedynym żywym stworzeniem, które słyszało, o czym rozmawiali tego wieczora, był Reim. Leżał z głośno bijącym sercem i starał się zrozumieć każde słowo. Następnego dnia ostrożnie, żeby nikt nie widział, podszedł do Digraldego.

— Mógłbyś nas zabrać w tę podróż, o której mówiłeś, Digralde?

Digralde patrzył na chłopca przerażony. Po chwili chwycił go i zaczął potrząsać tak, że głowa Reima podskakiwała na karku jak piłka.

— Kto jeszcze o tym wie? Odpowiadaj!

— Niiikt — wyjąkał Reim, próbując się uwolnić.

— To, coś usłyszał, nie było przeznaczone dla twoich uszu — syknął Digralde ze złością. — Nie możemy zabierać dzieci w tak niebezpieczną podróż.

Musiał jednak zobaczyć, jak nadzieja w jednej chwili zgasła w twarzy Reima, bo po chwili poczochnął mu przyjaźnie grzywkę i powiedział:

— No dobrze, chłopcze. Nie mogę ci zabronić, żebyś szedł ze mną. Ale musisz trzymać język za zębami i nikomu ani słowa o tym, co powiedziałem — postraszył i spojrzął na niego groźnie.

Wszyscy, którzy wiedzieli o planach, musieli być czujni jak jastrzębie. Gdyby zauważyli, że coś się rusza w lesie, w pobliżu dworu, mieli natychmiast podnosić alarm. Przygotowywali jedzenie — trochę chleba, mąki i suszonego mięsa. Tir w największej tajemnicy przekradała się do domu niewolników i tam spędzała noc.

Czekali i mieli nadzieję. Co noc księżyc oświetlał uspione zabudowania i trzymających straż wikingów. Morze lśniło jak wielka, srebrna tarcza. Od czasu do czasu odgłosy dochodzące z ciemnego lasu przerywały ciszę. Czy to jakiś zwiadowca na czatach? Nie. To tylko wiewiórka śmigająca między pniami drzew albo ptak trzepoczący w gałęziach. Ale nawet cienia człowieka.

Po kilku dniach ludzie jarla zaczęli oddychać spokojniej. Zmniejszono strażę. Warty wymieniali się nawzajem przy biesiadnym stole w halli. Było się tam czym pocieszyć, tyle jedzenia i picia... Chłopiec, który teraz został jarlem, siedział na honorowym miejscu wraz z matką i podejmował godnie każdego, kto ugiął przed nim kolana. Wszyscy widzieli, że ten dumny, jasnowłosy chłopiec godny jest miana høvdinga. I z czasem przywiąże zapewne do siebie wielu ludzi. Srogich wikingów łatwo pozyskać złotem.

Digralde planował, że będzie starał się dostać na jakiś statek, płynący późną jesienią do Islandii. Gospodarz Brede, który wybierał się na Islandię, był dalekim krewnym Uny. Gdyby wystąpili jako jego niewolnicy, mogliby się wraz z nim zabrać. Był to bardzo śmiały pomysł, ale Digralde uczeplił się go jak tonący brzytwy.

Byleby tylko nie było za późno!

W powietrzu czuło się już lodowate podmuchy. Jeszcze jedna zima w niewoli, z drużynnikami jarla — to było nie do wytrzymania.

Digralde, Tir i Reim spoglądali jak ostatnie liście, unoszone wiatrem, wirują nad ziemią. Gałęzie drzew sterczały ku niebu nagie i przygnębiające. Nagle Digralde się pochylił.

— Na co patrzysz, Digralde?

Olbrzym bez słowa chwycił ramię Tir i pokazał. Na gliniastej ziemi leżała po nocnym przymrozku cieniutka warstwa lodu. Jednak widzieli wyraźnie, że w jednym miejscu coś się poruszało pod przezroczystą pokrywą. Coś błysnęło delikatnymi kolorami lata.

Digralde nacisnął cienki lód, który załamał się z dźwięcznym chrupnięciem. Spod lodu wyleciał motyl. Najpierw machał ciężko skrzydełkami, potem wzbil się wysoko w zimnym, jesiennym powietrzu.

— I tak musi umrzeć — powiedziała Tir. — Może nawet już dzisiaj wieczorem.

— Tak — powiedział Digralde w zamyśleniu, patrząc w ślad za przezroczystymi skrzydełkami, póki nie rozpląnęły się w oddali. — Ale umrze wolny.

Spuścił głowę i poszedł w stronę domu, a Tir i Reim wiedzieli, że tej nocy będzie czuł po raz ostatni.

III

— Digralde — szepnął Reim. — Nic nie słyszysz? — Olbrzym mamrotał coś przez sen i wymachiwał rękami tak, że słoma leciała na wszystkie strony.

— Kto się waży budzić utrudzonego niewolnika, który chce spać — burczał. — Cicho ma być, bo tak przyłożę, że pokaże wam się taki sam księżyc, jak ten, co świeci na dworze!

— Digralde — powtórzył Reim i pociągnął go za brodę. — Słysząc jakieś hałasy na dworze!

Digralde skoczył jak ukąszony przez węża. Wyciągnął szmaty zatykające otwór w ścianie i zaczął wypatrywać. Sosnowy las stał mroczny i nieprzenikniony pod smutnym, nocnym niebem. Ale czy to napięte zmysły wprowadzają go w błąd, czy naprawdę słyszy szcęk broni?

W tym momencie chmury przesunęły się na niebie i odsłoniły księżyc. Wtedy Digralde zobaczył. Długim szeregiem mężczyźni, jak czarne wilki, przemykali ku siedzibie jarla. Byli uzbrojeni w miecze i tarcze, i w ostre topory. Z tyłu, w zaroślach, błyskały ostrza długich dzid. Tam czekali konni.

— Na boga nawalnic, masz rację — odetchnął Digralde. — Budź pozostałych. Musimy być gotowi.

Było ich razem pięcioro. Wyjęli swoje wcześniej przygotowane tobołki i ubrali się bez słowa. Nie zabrało to dużo czasu.

Reim pochylił się nad Kumbą. Poczuli, że jej twarz była mokra.

— Stara Kumba będzie za wami tęsknić — powiedziała. — Ale teraz musicie ruszać.

Z kąta, gdzie leżał Klegge, odezwał się zachrypły głos:

— Głupi ludzie, uciekają od jednego pana do drugiego.

Niewolnicy, pochylając głowy w drzwiach, wyszli na dwór, w czarną noc. Strażników nigdzie nie było widać.

Ktoś zaczął dąć w róg.

Illugowie atakują! Niewolnicy padają na ziemię i chronią się w zaroślach leszczyny. Przez krótką chwilę oglądają potyczki na placu. Pierwsze strzały trafiają ludzi trzymających straż na dziedzińcu. Wkrótce wojownicy jarla, obudzeni nagle, wybiegają ze swoich pomieszczeń, wdrapują się na dach halli i sieką napastników deszczem ostrych strzał. Jednocześnie rozlega się stukot końskich kopyt. Jeźdźcy z rodu Illugów wypadają z ciemnego lasu. Otaczają cały dziedziniec. Z wysokich wierzchołków drzew i gęstych zarośli wciąż lecą strzały i dzidy, ze świstem przeszywają powietrze.

Ludzie jarla, którzy umocnili się na dachu halli, mają teraz pełne ręce roboty z gaszeniem strzał zapalających, które spadają w ciemności jak gwiazdy. Ogień wybuchł na wysuszonym torfowym dachu domu dla wojowników, a zaraz potem stanął w płomieniach spichlerz, gdzie przechowywano żywność. Czerwone jęzory objęły cały dach. Płomień oświetlał ciemne ściany halli.

— Teraz musimy ruszać — szepnął Digralde. — Powinniśmy iść w stronę przystani. Póki Illugowie nie dostaną się do dworu, ta droga będzie wolna. Chodźmy — nakazał i zaczął bezszelestnie jak leśne zwierzę przemykać się po mokrej ziemi. Inni poszli za jego przykładem.

Reim patrzył na ciemne postacie, które pospiesznie oddalały się od domu dla niewolników. Wiedział, że on też musi uciekać razem z nimi. Ale coś go powstrzymywało. Biegam bardzo szybko, myślał, zaraz ich dogonię. Poza tym dobrze znał drogę. Chodził na przystań z Digraldem. Przewoźnik był wyzwoleniec jarla.

Cicho jak mysz leżał w swojej kryjówce i śledził zaciętą walkę. Ludzie i konie padali na ziemię, przygniatając się nawzajem. Dzikie krzyki i straszne przekleństwa mieszały się z

jękami rannych. Od palących się domów dochodziły syki i trzaski. Przez jakiś czas istniało niebezpieczeństwo, że iskry poszybują nad las, ale szczęściem wiatr się odwrócił.

Ludzie jarla bili się dzielnie. Powoli walki ustawały. Illugowie zrozumieli widać, że za pierwszym szturmem dworu jarla nie zdobędą. Wzięli kilku rannych jako jeńców i wycofali się w zarośla. Zapadła cisza. Na dziedzińcu, w bladym, srebrzystym świetle księżycy, leżały trupy ludzi i koni.

— Sigurd jest bezpieczny — powiedział Reim półgłosem. — Przyjaciele na śmierć i życie! Teraz mogę dogonić moich.

Biegł przez las, aż dotarł do umocnienia, gdzie ludzie jarla mieli swój punkt obserwacyjny. Serce biło mu mocno. Wtedy, kiedy szli tędy z Digraldem, tutaj właśnie zostali zaatakowani, a jeden ze strażników szedł za nimi, żeby sprawdzić, czy naprawdę idą tylko do przystani. Dziś nie miał powodu, żeby się bać ludzi jarla. Widział przed chwilą ich martwe ciała za murami. Leżeli tam jeden na drugim, ze strzałami w plecach.

Jak dzikie zwierzątko przeskakiwał korzenie i kamienie. Przed nim na ścieżce było ciemno i cicho. Ani śladu tamtych. Wściekły był sam na siebie, że tak głupio został w tyle. Dookoła tylko ciemna noc, a on był sam...

W wysokich sosnach świszczął i szumiał wiatr. — Boisz się? — szeptało coś w gałęziach.

— Tak, boję się — odpowiadało jego tłukące się w piersiach serce. — Las roi się od trolli i złych duchów. Mogą mnie wodzić po błędnych ścieżkach albo zamknąć w górze...

— Ciii, nie mów tak — szumiał wiatr.

Nad koronami drzew lśniło zielonkawe światło, ale tu w lesie ciemności były nieprzeniknione. W oddali słyszał słaby szum. To rzeka. Ścieżka biegła wzdłuż rzeki, aż do małej zatoki, na zachód od granicy lasu. Póki księżyc chował się za chmurami, Reim musiał po omacku przedzierać się do przodu. Widział zarysy wysokich gór na zachód od ścieżki i wiedział, że jest na dobrej drodze.

Nagle przeciągłe wycie rozległo się w pograżonym w ciemnościach lesie. Reim poczuł, że krew krzepnie mu w żyłach. Czy to psy ze dworu gonią zbiegłych niewolników, czy też może wilki? Księżyc wyjrzał znowu zza powłoki chmur i jasno oświetlił dróżkę. Mógł teraz biec szybciej. Gałęzie zastępowały mu drogę i chłostały po twarzy. Znalazł się w kotlinie porosłej kępami wysokich, żółkłych paproci. Księżyc schował się za chmury i w tej samej chwili znowu rozległo się wycie. Tym razem bliżej. Stał i trwał w bezruchu, dopóki księżyc znów się nie pokazał. Wtedy popędził co tchu w piersi jasno oświetloną ścieżką, wijącą się pomiędzy drzewami. Przeskakiwał kamienie i sterczące gałęzie, przewracał się co chwila na śliskim mchu, ale podrywał się natychmiast i biegł znowu, a pot spływał mu strumieniami po twarzy.

Teraz wycie rozległo się tuż obok. Z wielu gardeł naraz.

— Tam są, tam — odezwał się przerażony, piskliwy głos w głowie chłopca. — Tam!

W jasnej księżycowej poświacie zobaczył trzy, a nawet cztery podobne do wilków bestie, patrzące prosto na niego żółtymi, złymi oczami. Ale najbardziej przeraziły go jakieś przemykające się w zaroślach postaci. To nie zwierzęta. To ludzie! Było jasne, że to pościg. Nie wiedział tylko czy to ludzie jarla, czy Illugowie, czy jeszcze ktoś inny. Każdemu opłacało się schwytać niewolnika.

Krew gwałtownie pulsowała w skroniach. Z trudem powstrzymywał płacz. Miał ochotę rzucić się na ścieżkę i niech się dzieje co chce. Cała ta bezrozumna ucieczka, w której został całkiem sam! Ale wrócić nie mógł. Skulił się z zimna na wspomnienie batów, jakie spadły na jego plecy, gdy zgubił owce w górach.

Księżyc znowu się schował i Reim biegł na oślep przez podmokłe mchy i zarośla. Zdało mu się, że czuje na karku oddech dzikiego zwierza. W końcu dotarł do rzeki. Rzucił się

na kolana. Zimna woda dodała mu sił. Przepłynął na drugi brzeg i znalazł kryjówkę pod zwaloną sosną, której wierzchołek zanurzony był w wodzie. Trwał tam bez ruchu bojąc się nawet oddychać. Podobne do wilków psy biegały po brzegu, wyły i węszyły w miejscu, gdzie trop urwał się w wodzie. Po chwili ukazali się ludzie. Kręcili się w kółko, szukali i klęli paskudnie, że zdobycz umknęła.

Szukali długo, ale w końcu poszli sobie. Może mieli zamiar zacząć się w krzakach nad brzegiem rzeki? Reim nie wiedział. Dopiero teraz poczuł, jak lodowato zimna była woda. Mimo to jednak siedział w swojej kryjówce, dopóki nie rozwidniło się trochę, a poranne mgły uniosły się nad wodą. Czuł, że jeśli teraz nie wyjdzie z wody, zamrze na śmierć. Całe ciało miał sztywne i sine.

Chwycił mocno pień sosny i wisząc pod nim począł się posuwać do brzegu. Tam padł na kamienistą ziemię i leżał bez sił, dopóki słońce nie ukazało się nad wierzchołkami wzgórz. Wtedy wsparł się na łokciach i ściągnął z siebie przemoczone ubranie. Teraz, gdy poranne mgły powoli się rozpraszały, zobaczył rozległą, zieloną równinę, a na niej stado śpiących jeszcze owiec. Musiał przeciąć równinę od tej strony, gdzie mieszkali Illugowie. — Ale wciąż jestem wolny — powiedział głośno sam do siebie. Słabe promienie jesiennego słońca ogrzewały go jak dobrzy przyjaciele. Czołgając się po łące dotarł do stada owiec i wsunął się pomiędzy ich ciepłe ciała. Tam zapadł w głęboki sen i nie obudził się nawet wówczas, gdy czyjeś silne ramiona podniosły go z ziemi i zabrały stamtąd.

Kiedy się obudził, zobaczył nad sobą dwie pary zaciekawionych oczu. Po jednej stronie łóżka stał barczysty, niewysoki mężczyzna ze zmierzwioną brodą, po drugiej pochylona kobieta z warkoczami koloru słomy.

— Nie bój się — powiedziała. Miała jasnoblękitne oczy i uśmiechała się. — Nic ci nie zrobimy. Masz. — Podała mu miseczkę z czymś ciepłym i słodkim. — Wypij trochę koziego mleka. To doda ci sił.

Reim przyłożył wargi do brzegu miski i pił wielkimi haustami.

— Ty mały biedaku — powiedział mężczyzna. — Byłeś na wpół zamrożony, kiedy cię rankiem znalazłem nad rzeką. Spałeś cały dzień. Straszne rzeczy musiały się dziać w dolinie dzisiejszej nocy. Widzieliśmy płomienie strzelające ponad lasem, a jeszcze i teraz pełno dymu w powietrzu. Czy to dwór jada Håkona się palił? Dobrze, dobrze, rozumiemy, że jesteś zbiegłym niewolnikiem.

Reim usiadł przerażony.

— Tu nie masz się czego bać — powtórzyła kobieta, próbując go uspokoić. — Trafieś w dobre ręce. Bo chociaż sami jesteśmy niewolnikami u Illugów, to przecież jest ludzkim obowiązkiem pomagać tym, którzy są w potrzebie. Mamy na szczęście własną zagrodę, ale długo nie będziemy cię mogli ukrywać.

Reim rozejrzał się wokół. Trudno było tę małą, nędzną chałupinę nazywać zagrodą. Był to raczej rodzaj ziemianki z torfu i kamieni, z pozapadanym, porośłym mchem dachem. Siedział na jedynej w tym pomieszczeniu pryczy. Obok chodziła mała koza obskubując mech ze ścian.

Nagle zamarł. Był przekonany, że słyszy dobiegający z kąta słaby głos. Leżała tam kupa starych okryć i owczych skór. Ale teraz widział wyraźnie, że wszystko to się porusza i że spod okryć wysuwa się niewielka głowa. Po chwili wygrzebał się stamtąd jakiś starzec o żółtej twarzy pomarszczonej jak rzepa, która przeleżała w ziemi całą zimę. Reim zeskoczył z pryczy. Skąd miał wiedzieć, czy w takim domu jak ten nie ma jakichś nieziemskich stworów?

— Przestraszyłem cię? — zaskrzeczał stary. Parskał i chichotał cichutko, co przypominało szemranie małego strumyka.

— Masz przed sobą człowieka, który jest bez mała tak samo stary jak sam Odyn. Starzy ludzie pamiętają dużo. Zbliź się tylko, ty...

Reim podszedł bliżej. Stary próbował usiąść. Kobieta podsunęła mu pod plecy grubą owczą skórę i usadziła na tyle prosto, że głowa sterczała spod gałganów.

— Tak, tak, pradziadku — powiedziała. — Zaraz dostaniesz coś ciepłego do zjedzenia, biedny połamańcu.

Stary uśmiechnął się bezzębными dziąsłami.

— Do tej izby rzadko zagląдают dzieci. Kiedy widzę takiego małego chłopaka jak ty, przypominają mi się moje pierwsze lata w niewoli. Powiadają, że moi rodzice byli wolnymi chłopami, ale ja ani rusz nie mogę sobie przypomnieć ich twarzy. Miałem cztery, może pięć zim, kiedy zostałem porwany z naszej zagrody i wzięty do niewoli. Była jedna stara, dobra niewolnica, która mnie wtedy wychowywała.

I całe swoje życie przeżyłem w tym kraju jako niewolnik. Moja żona też była niewolnicą tu, we dworze Illuga Einarssona. I trzynastoro naszych dzieci było niewolnikami i wszystkie wnuki i prawnuki. Rodzili się i umierali jako niewolnicy. Bogowie tak widać chcieli.

Reim czuł, że się rozplacze i odwrócił się. Tak będzie i z nim, i z Tir także, jeśli nie uda im się uciec z tego kraju.

— Ale radziłem sobie całkiem dobrze — mamrotał stary. — Jeśli nikomu nie przyjdzie do głowy, żeby nas zabić, możemy dożyć wielu lat, trudząc się jako niewolnicy, kiedy wielcy panowie ruszają na wyprawę. Miałem w ciągu mojego życia dwunastu panów. Wszyscy stracili głowy od miecza, gdzieś w obcych krajach. Ja musiałem ciężko pracować i żyć jak niewolnik, ale moja głowa siedziała bezpiecznie na karku, to mi się udało. A teraz nadaję się już tylko do tego, by przepowiadać pogodę, kiedy mnie łamie w kościach. Ale przez blisko sto lat mogłem patrzeć, jak białe zawilce zakwitają wiosną w lesie.

Reim przełknął ślinę.

— Skoro spałem tak długo, jak powiadacie, to muszę jak najszybciej ruszać w drogę.

Kobieta podała mu ubranie, które wysuszyła przy palenisku, i wskazała przez otwarte drzwi.

— Stąd widać przystań. Niech cię boginie losu wspomagają, mój chłopcze. — I dodała tak cichutko, że Reim ledwo dosłyszał: — Mały niewolnik, który sam chodzi po okolicy, ma niewielkie szanse.

Słońce chyliło się ku zachodowi, gdy Reim zbiegał krętą ścieżką do przystani. Był bosy, a kurtka zwisała w strzępach. Nietrudno było się domyślić, że jest niewolnikiem, ale mimo to miał nadzieję, że wszystko pójdzie dobrze. Przy brzegu zatoki leżała na wodzie niewielka łódź wiosłowa, która przewoziła ludzi. Odetchnął. To oznaczało, że przewoźnik jest w domu.

Mały, zbudowany z bali domek stał nad samą wodą. W drzwiach chłopiec zobaczył wysoką postać przewoźnika. Poczuł, że radość wprost rozsada mu piersi. Teraz był uratowany. Po drugiej stronie sundu leżała osada handlowa, a tam powinien z łatwością znaleźć zagrodę Bredego. Ostatni odcinek drogi do domku przewoźnika przebiegł lekko jak zając.

— Muszę się dostać do osady! — krzyknął zdyszany. — Bądź tak dobry i przewieź mnie. Jeśli chcesz, możesz to wziąć jako zapłatę — wyjął spod kurtki żelazny krzyżyk, który nosił na szyi.

Naraz Reim zrozumiał, że stało się coś złego. Przewoźnik próbował mu dawać znaki, żeby sobie poszedł.

— Nie powinienes być tu przychodzić — szeptał machając rękami.

Ale było za późno. W drzwiach ukazali się dwaj mężczyźni. Reim zamarł. To oni szli za nim dziś w nocy. W domu psy ujadły i szczyrzyły kły.

— Możemy za darmo odstawić cię do osady... — Jeden z mężczyzn śmiał się nieprzyjemnie i przyłożył nóż do żeber Reima. — Obłowiliśmy się nieźle dzisiejszej nocy, ale jeszcze jedna mała przepiórka w siódlach nie zawadzi.

Reim wytrzeszczył oczy. W głębi szopy na łodzi zobaczył trzech wojowników jarla. Stali w samych koszulach i nogawicach, ze związanymi do tyłu rękami. Nie wyglądali już tak dumnie jak dawniej. Jeden z pojmanych miał rudą, kozią bródkę i szurcze oczka. Reim starał się unikać jego wzroku. Orm Viking!

— Wyłazić, wy trzej! Bo podpalimy nogi — komenderowali Illugowie.

Po czym wypuścili psy na przewoźnika i poradzili mu, żeby się dobrze zastanowił, zanim odmówi przewiezienia ich do osady.

Reim wyobrażał sobie, że taka osada kupiecka jest dużo większa, poczuł się niemal zawiedziony. Nie było tu żadnych większych, kamiennych budowli, a tylko niskie drewniane budynki, pokryte dachami z torfu. Między domami było kilka brudnych, zabłoconych uliczek, na których wały się zeschnięte, żółte, jesienne liście.

Ale Kumba miała rację, gdy mówiła, że jest mnóstwo zgiełku i ruchu wokół placu targowego.

Na wąskich uliczkach było pełno ludzi. Jacyś kupcy sprzedawali garnki i kamienne naczynia, inni śnieżnobiały puch, którym bogaci ludzie wypełniają poduszki i kołdry. Na widocznym miejscu stał sokolnik i pokazywał lśniące, czarne ptaki, które trzymał na ręce odzianej w skórzaną rękawicę. Handlarze odzieżę wyciągali ze swoich przepastnych skrzyń stopy ubrań i różnobarwnych tkanin. Ponad dachem dużej kuźni unosił się ku niebu gęsty, szary dym. Wewnątrz, na palenisku, żarzył się ogień i rozlegały się ogłuszające uderzenia młota. Wszędzie widać było mnóstwo zwierząt. Po uliczkach biegały gdaczące kury i chrząkające świny. Czasami jakiś wielki pan przejechał ulicami na koniu w lśniącej uprzęży. Dzieci jeździły na małych, łaciatych konikach i śmiały się wesoło do tych wszystkich niezwykłych rzeczy, które tu widziały.

Nie opodal zabudowań kupców jakieś kobiety rozstawiły skórzane namioty. Gotowały tam napoje z ziół dla przemarzniętych podróżnych.

— Jesteśmy volvy, czarownice — wołały. — Możemy wam powróżyć! My wiemy wszystko o przyszłości i wszystko, co się dzieje na świecie!

Miały ze sobą niedużego, grubego mężczyznę o świdrujących oczkach. Sprzedawał różne amulety przynoszące szczęście, które można nosić na szyi albo na ręce jako bransoletkę. Wymachiwał przed oczami przechodniów małym młoteczkiem ze srebra.

— Patrzenie! To jest potężny młot Tora — zachęcał. — Uchroni was przed reumatyzmem i przed ospą, przed dzikimi zwierzętami i przed trollami, przed karłami i zmorami!

Jakiś stary, pokrzywiony reumatyzmem chłop przystanął i kupił.

Sprzedawca mrugnął do niego porozumiewawczo i spod fałd kurtki wyciągnął mały, błyszczący krzyżyk. Rozejrzał się pospiesznie dokoła.

— Powinieneś, dla pewności, nabyć także i to, stary przyjacielu — szeptał przekonująco. — Twoje przygięte plecy zrobią się proste, jeśli będziesz nosił wiele magicznych przedmiotów. A w zachodnich krajach to jest teraz modne. Powiadają, że daje zdrowie i długie życie...

Stary wysupłał jeszcze jedną srebrną monetę z woreczka, zapłacił i powłókł się dalej.

Nu targu sprzedawano również niewolników.

Reim stał obok Karla Jarlshovde z rodu Illugów. Serce biło mu boleśnie i mocno. Dookoła było wiele kobiet, dzieci i dorosłych Mężczyzn, przeważnie powiązanych rzemieniami. Kupcy tłumnie przechadzali się, oglądali niewolników i pertraktowali ze sprzedającymi.

Najwięcej chętnych było do kupowania młodych, silnych chłopców. Niektórzy jednak interesowali się także dziewczętami, bo były tańsze.

— Otwórz usta! — powiedział wysoki mężczyzna, który zatrzymał się obok Reima. Miał bujną, szpakowatą brodę, a oczy prawie niewidoczne spod krzaczastych brwi.

Reim nie odważyłby się nie wykonać polecenia. Otworzył usta jak mógł najszerzej i

spoglądał w stronę bladego jesiennego słońca, świecącego nad targowiskiem niewolników.

Kupiec mruczał pod nosem:

— Ten młody człowiek potrafiłby zapewne ukąsić, mimo że akurat gubi zęby!

— Nie szukasz chyba podwórzowego psa — roześmiał się Karl Jarlshovde.

Mężczyzna oglądał Reima od stóp do głów.

— Ciężkiej robocie pewnie nie poradzi, taki chudy i słaby — rzekł na koniec. — Siły w tych mięśniach nie ma żadnej — Zacisnął dłoń na ramieniu Reima.

— Wyrośnie na dużego i silnego, krewniaku. Nie możesz osądzać podrostka, co ma dopiero sześć zim!

Chłop wybuchnął gromkim śmiechem.

— Nieżył z ciebie handlarz, Karl Jarlshovde. Nie chcesz mi chyba wmówić, że ten chłopak jeszcze pije mleko matki. Widać przecież wyraźnie, że musi mieć co najmniej ze dwanaście zim. Nieprawda, chłopcze? — I dał Reimowi potężną sójkę w bok.

Reim przytaknął skwapliwie, ale zaraz zrozumiał, że postąpił głupio, bo Karl kopnął go w łydkę tak, że przejmujący ból przeszył całe ciało. Chłop burczał:

— Nie będziesz ty miał ze mnie kupca, krewniaku. Muszę się rozejrzeć za jakimiś silnymi końmi do roboty, a nie tylko do jedzenia.

Podszedł do wysokiego, jasnowłosego chłopca, który stał obok bogatego chłopca z południa i zaczął go oglądać.

— Ten tutaj to całkiem inna sprawa — krzyknął do swego krewniaka.

Jasnowłosy chłopiec płakał. Tulił do siebie starą kobietę, ale teraz musiał pójść za chłopem, który go kupił.

— Niech wszyscy bogowie z Walhalli cię błogosławią — wołała w ślad za nim matka.

Reim spojrział ostrożnie na Karla z rodu Illugów. Był wyraźnie w złym humorze i Reim wiedział, o czym myśli. Z kupcami na targu było marnie, a poza tym krewniak miał rację — chłopiec był słaby i blady, a żebra sterczały mu pod skórą.

— Ile chcesz za tego chłopaka?

Reim zamarł. Znał ten głos. Stał przed nim rosły mężczyzna w brązowym, owczym kożuchu z kapturem. Reim mało nie krzyknął z radości, gdy odkrył, kto to jest. Ale mężczyzna mrugnął do niego prawie niedostrzegalnie i Reim spuścił wzrok jakby nigdy nic.

— Sztukę topionego srebra. Wyrośnie z czasem na dużego i silnego chłopca.

— Sztukę srebra! — Mężczyzna w kożuchu niemal wypluł te słowa Karlowi w twarz. — Nie dam więcej niż kilka øre za takiego chudego biedaka. Nie wiadomo czy chociaż ten rok przeżyje. Potrzebuję niewolnika, który by mi zboże młócił w zimie, i nie chcę go dłużej niż do wiosny. Nie próbuj wyłudzić ode mnie srebra. Masz tu swoje dwa øre. A nie zgodzisz się teraz, to później też go nie sprzedasz.

Karl wściekły pokręcił głową. To był zły dzień, ale w końcu przybił rękę mężczyzny; handel został dokonany.

Gdy minęli duże drzewa na skraju placu targowego, Reim nie mógł się już dłużej opanować. Wydał z siebie przeciągły okrzyk radości. Najchętniej rzuciłby się Bredemu na szyję, ale nie miał odwagi. Był przecież teraz jego niewolnikiem.

Brede śmiał się i drapał po głowie.

— To były ostatnie monety, jakie miałem. Możemy powiedzieć, że to był rozbój, a nie handel! Ale teraz nie mamy ani chwili czasu. Nasz statek już czeka gotowy, musimy się stąd zabierać.

Mimo to stanął i obejrzał się.

— Co to za zamieszanie tam, na placu targowym? — zastanawiał się. — Zdaje mi się, że wyraźnie słyszę szczekanie, które obaj dobrze znamy.

Reim wyjrzał spoza kupy liści. Jakiś høvding z północy szarpał niewolnika, który nie chciał za nim iść.

— Zapłaciłem za ciebie dwie sztuki srebra, ty psie — wrzeszczał. — Nogi masz dostatecznie silne, żeby iść! Ruszaj zaraz!

Niewolnik krzyczał. Wyzwiska i przekleństwa płynęły z jego ust.

— Jestem najbardziej zaufanym człowiekiem jarla Håkona — wył. — Nie waż się podnosić na mnie ręki!

— Zaraz się odważę — burknął høvding i smagnął niewolnika batem po plecach. — Nauczysz się trzymać jęzor za zębami, kozia brodo, a jak nie, to twoje życie będzie miało smutny koniec!

Gdy się szczęście do kogoś uśmiechnie, odwraca się ono do innych plecami, myślał Reim. I niezależnie od tego, czy rządzą nami święci, czy boginie losu, życie jest bardzo dziwne...

— Mówiłem, żeby nie ciągnąć za sobą dzieci w pełną niebezpieczeństw drogę — burczał Digralde, gdy Reim wrócił. Dotychczas wszystko szło tak, jak Digralde oczekiwał. Gospodyni Bergliot życzliwie przyjęła swoich krewniaków, a Brede był nawet zadowolony, że będzie miał takiego siłacza jak Digralde do pomocy w pierwszym, najtrudniejszym okresie w nowym kraju. Jego plany psuł tylko ten mały, irlandzki włóczęga, który gdzieś się nocą podział. W ostatniej chwili Brede wpadł na pomysł, by pójść na targowisko i tam szukać zagubionego żrebaka, jak powiedział. Vidur prześmiewał się i poszturchiwał Reima.

— Ty musisz zawsze chodzić własnymi drogami?

Una uściskała chłopca tak, że prawie utonął w jej ciepłych objęciach, ale Tir była wściekła. Jej oczy miały skry.

— Ty głupcze! — krzyczała. — Gdybyś przyszedł dzień wcześniej, bylibyśmy już daleko na morzu. Jak możesz tak głupio postępować!

Reim zrobił się czerwony, ale w końcu musiał się uśmiechnąć. Teraz ją poznawał. Nikt nie potrafił być tak wściekły jak jego siostra. Zaciska wtedy pięści i przypomina syczącego kota. Ale na szczęście tym razem szybko schowała pazurki.

— Wymarześ także nieźle — powiedziała i zarzuciła mu na ramiona swój połatany płaszcz.

Przedziwne zbiorowisko ludzi zeszło się w małej, niskiej izbie gospodarza Bredego. Silni, dobrze zbudowani mężczyźni w brązowych swetrach z owczej wełny, o starannie przyściętych włosach i brodach to byli chłopci z okolicznych wsi. Kobiety nosiły czepki na głowach i długie wełniane suknie, jak nakazywał obyczaj. Najmniejsze dzieci siedziały na kolanach u rodziców, a większe marudziły i czepiały się matczynych spódnic. Kilkoro na wpół dorosłych chłopców i dziewcząt przekomarzało się ze sobą. Pośród tej gromady siedzieli niewolnicy z włosami i brodami w nieładzie i w połatanych ubraniach. Trzymali się trochę na uboczu i milczeli. Byli przyzwyczajeni milczeć, gdy wolni ludzie mówią.

Na wspólną wyprawę miały wyruszyć cztery statki. Jeden należał do gospodyni Aud. Była wdową i miała siedmiu synów. Od dawna nosiła się z myślą o tym, by popłynąć na zachód, za morze, i tam poszukać nowego kraju. Ostatnio składała ofiary bogom, a wyrocznia powiedziała jej, że teraz właśnie jest dobry rok, by wybrać się w drogę. Nagle jednak przyszła wiadomość, że jej najstarszy syn poległ w czasie wyprawy do kraju Franków. Musiała więc odłożyć swój wyjazd do następnego nowiu księżycy. Chciała wzniesić ku czci zmarłego kurhan w kraju, w którym jej przodkowie żyli od niepamiętnych czasów.

Teraz była już dość późna pora jak na taką wyprawę, ale skoro postanowili, musieli ruszyć. Przez całe lato chłopci przygotowywali się do długiej drogi. Skrzynie z ubraniami i pościelą były gotowe, a także skórzane worki ze zbożem i wielkie beczki z solonym i świeżym jedzeniem — przez wiele dni trwało szlachtowanie, pieczenie, gotowanie.

— Były różne przeszkody i kłopoty — westchnęła gospodyni Bergliot. — Ale w końcu jesteśmy gotowi do drogi, mężu, czyż nie...?

Brede podrapał się w brodę. Podeszedł do drzwi i spojrzął na fiord. Morze było ciemnoszare i miało tę samą barwę co niebo. Daleko, aż po horyzont, białąły grzywy fal.

— Obawiam się, że pogoda nie jest odpowiednia — powiedział krótko.

— Mamy wiatr od lądu — odrzekł Toroly. — Jeśli szczęścił będzie nam sprzyjało, po kilku dniach podróży wylądujemy w Islandii. Wiatr wieje we właściwym kierunku.

Brede nie odpowiedział. Stał i z uwagą przyglądał się morzu. Trzeci mężczyzna, który dotychczas siedział w kącie, wstał i podeszedł do drzwi.

— Uważam, że Toroly ma rację — powiedział. — Skoro mamy jechać, to musimy zdobyć się na odwagę teraz. Nie rozumiem, Brede, czego się lękasz. Tutaj nadchodzą niespokojne czasy, zanosi się na długą wojnę między Illugami i rodem jarla. Znowu będzie tak, jak już bywało, że nasze obejścia będą polem walk obu rodów. Czy stracimy życie tu, w zagrodzie, czy na morzu, chyba wszystko jedno. Osobiście wolę zimną śmierć w morzu, niż piec się w płomieniach, he, he, he...

Bergliot przytaknęła zadowolona.

— A więc postanowione — powiedziała. — Boginie losu były nam dotychczas przychylnie. Nie możemy oczekiwać, że zawsze tak będzie. W nocy przeniesiemy skrzynie i toboły na brzeg. Bydło możemy wprowadzić na pokład w ostatniej chwili. — Podała Reimowi kubek naparu z ziół. — Jeśli to prawda co mówisz, że leżałeś wczorajszej nocy w lodowatej wodzie, powinieneś to wypić.

Reim skrzywił nos, ale zdecydowany wyraz twarzy gospodyni zmusił go do posłuszeństwa. Wypił więc duszkiem palący płyn,

— Mały uciekinier powinien chyba spać tutaj, w izbie — powiedział Brede. — Pozostali niewolnicy muszą się jak najszybciej schować w chlewie. Innej rady nie widzę. Wielu jest takich, co dzisiejszej nocy będą tropić niewolników.

Tropić niewolników, tropić niewolników...

Słowa dźwięczały w ciężkiej jak ołów głowie Reima. Padł na pryczę. Zdawało mu się, że płynie przez izbę, powoli, w sen. A potem uniósł się z obłokami w powietrze, płynął ponad lasem, i wzgórzami, do miejsca, które dopiero co opuścił...

Pierwsze, blade promienie słońca ukazały się właśnie nad torfowymi dachami budynków w siedzibie jarla. Dziedzinię przed hallą nosił ślady nocnej walki. Kilka ludzkich i końskich ciał leżało na zamrożonej ziemi. Wszędzie wały się połamane dzidy i strzały, a jakiś bezpieczny szyszak wpadł do kałuży przed domem niewolników. W miejscu gdzie stał spichlerz, dymił jeszcze stos zwęglonych bierwion. Pod popiołem wciąż tlił się ogień. Śmierć i nieszczęście wzięły dwór we władanie.

Gospodyni, blada i zmęczona, siedziała obok syna na honorowym miejscu. Tu doniesiono jej, że dwunastu ludzi jarla padło w walce, a trzech dostali się do niewoli, wśród nich prawdopodobnie Orm Viking. Biedaczka skarżyła się cicho:

— O bogowie, że też musiałam doczekać takiego dnia! Wciąż tylko wojna i najazdy. Jeszcze nie tak dawno czterej moi mali synowie bawili się tutaj, we dworze, dzisiaj trzech z nich nie żyje. Dwaj padli na wikińskiej wyprawie, najstarszego zabili Illugowie. — Ukryła twarz w dłoniach. Zaraz się jednak wyprostowała. Oczy płonęły ogniem. — Pamiętaj, Sigurd, że musisz pomścić najstarszego brata! — Zwołaj niewolników! — nakazała jednemu z drużyny. — Czas uprzątnąć to pole bitwy, które mamy przed drzwiami!

Wojownik wrócił jednak podniecony i z trudem wyjąkał:

— Niewolnicy uciekli, pani! Zostali tylko najstarsi i kilku niedorozwiniętych wyrostków...

— Gdzie jest Digralde?

— Uciekł, pani.

— A Una, Vidur?

— Oni także, pani.

— To Reim pewnie także zniknął, i Tir — powiedział Sigurd tak cicho, że ledwo go było słyszeć. — Pomyśleć, gdybym ja też...

Twarz gospodyni pociemniała. Jak miała sobie radzić bez niewolników? To przecież oni zajmowali się wszystkim we dworze — przygotowywali jedzenie, przerabiali mleko na masło i sery, rąbali drzewo, uprawiali ziemię...

— To niewolnicza hołota! — krzyczała z wściekłością. — Czy im tu było źle? Czyż nie dostawali od jarła jedzenia i ubrania? Nikt nie służy wiernie swemu panu w naszych czasach!

Siedziała, patrząc przed siebie, aż do halli wszedł Sigtrygg Viking i zameldował, że przynosi dobre nowiny. Nadeszła mianowicie wiadomość, że krewniak jarła, høvding z południa, spieszy z pomocą na czele kilkuset dobrze uzbrojonych wojowników. Krążą także pogłoski, że król chce chronić młodego jarła przed napadami sąsiadów.

Wojownicy wydali zwycięski okrzyk, gdy to usłyszeli. Zebrali się wszyscy w halli. Sigtrygg Viking stał pośrodku i mówił. Wyszli z tego napadu nie najgorzej, jego zdaniem. Co prawda kilku ludzi padło, ale kosztowności napastnicy nie zdobyli i siedziba jarła jest w dalszym ciągu bezpieczna. Czy zatem warto się przejmować, że kilku nędznych niewolników uciekło? Następnego lata czekają ich nowe wyprawy. Po złoto i srebro, i po nowych niewolników. Po młodą, świeżą krew! Póki mają szybkie okręty i ostre miecze...

Wstał skald i zaczął śpiewać pieśń pochwalną na cześć zmarłego jarła. Był dzielny w walce i bardzo bogaty. Taki sam będzie też jego syn, młody Sigurd, który latem wyruszy na śmiałą wikińską wyprawę.

Mężczyźni napełniali puchary miodem i przepijali do siebie, Ucztowali cały dzień i wieczór. I przy sączącym się przez otwór w dachu świetle księżycy opowiadali wspaniałe historie o długich wyprawach, w których uczestniczyli, i o stosach lśniącego złota, jakie zdołają przysłać lata. Prześcigali się w próbach rozweselenia młodego jarła.

Ale Sigurd siedział cichy i poważny. Myśli jego błądziły gdzie indziej. Odpyływały stąd na srebrnych promieniach księżycowego światła i szybowały wysoko, wysoko ponad dachami dworu.

Dopiero gdy do halli wszedł mały sztukmistrz, którego pies skakał przez obręcz i pokazywał różne inne sztuczki, twarz chłopca się ożywiła.

— Jeszcze, jeszcze — wołał zachwycony i śmiał się do owczarka. I wydał pierwszy rozkaz jako jarl: — Zadbajcie, by ten człowiek otrzymał bransoletę ze złota, a pies kawał soczystego mięsa!

Gdy nad wzgórzami na wschodzie zaczynało świtać, cztery statki z osadnikami były już daleko na wodach fiordu. Z lewej strony wznosiła się Straszna Góra, zielonobłękitna w świetle poranka ośnieżonym wierzchołkiem mierzyła prosto w niebo.

Mężczyźni pracowali rytmicznie, wiosła miarowo uderzały w wodę. Tir i Reim, i inne dzieci starały się uspokoić spłoszone zwierzęta, przemawiały do nich i głaskały przyjaźnie. Na pokładzie było pięć jałówek i jeden byczek, kilka kóz i owiec, które beczwały niespokojnie. Żrebak Gråfot stał przywiązany do masztu. Było to miłe i mądre zwierzę, cierpliwie skubało wiązkę siana. Już dawniej pływał na statku i może dlatego dobrze znosił podróż.

— Kiedy dopłyniemy? — marudziły dzieci. Chłop imieniem Asbjørn stał przy wiosle sterowym. Znał wybrzeże i okoliczne wody jak własną kieszeń.

— Jeśli bogowie nam pomogą, będziemy w Islandii za jakieś dziesięć, dwanaście dni — odpowiadał. — Ale gdyby wiatr się zmienił, możemy płynąć nawet i miesiąc. Czyha na nas po drodze wiele niebezpieczeństw. Może gdzieś tu na wodnych szlakach czają się wikingowie albo inni rozbójnicy. A gdy szczęśliwie uda nam się opuścić wody przybrzeżne, czekać nas będzie inny, wielki przeciwnik, którego będziemy musieli pokonać: sam ocean.

Dzieci przechylały się przez reling i szeroko otwartymi oczami przyglądały się grupom

małych wysepek, które mijali. Tysiące wzniesień i szkieł leżało jakby rozrzuconych po szarej powierzchni wody — niektóre porośnięte lasem, na innych tylko nagie skały i kamienie. Wciąż nasłuchiwały, czy z jakiej góry nie rozlegnie się okrzyk wzywający do ataku i na statek nie spadnie deszcz strzał. Ale jedyne krzyki pochodziły od mew, krążących wokół masztu. Żadnych obcych statków nie było widać, choć to właśnie na tych wodach najwięcej było morskich rozbójników.

Statek minął ostatnie skupiska nagich wysp i to oznaczało, że pierwsze poważne przeszkody mają za sobą. Krzyk radości wzbił się w niebo, gdy żagle wciągnięto na maszty. Statki pręły teraz fale ze zdwojoną siłą.

— Przed nami wielkie morze — krzyczał Asbjørn przy rudlu. Bryzgi piany zalewały pokład, a sternik mimo grubej, samodziałowej kurtki był przemoczony do suchej nitki. — Przy tej prędkości dopłyniemy do Islandii szybciej niż ktokolwiek przed nami!

Statek kołysał się gwałtownie z boku na bok, a wokół siebie mieli tylko szare morze i szare niebo. Asbjørn marszczył czoło — przez mgłę dostrzegł jeszcze słońce, ale gdyby zgęstniała, nie mieliby żadnego punktu orientacyjnego, w którą stronę żeglować. A wtedy bardzo łatwo zejść z kursu.

— Niech bóg morza Njord ma nas w swojej opiece! — wołał Brede, starając się przekrzyczeć wiatr. Trzymał się kurczowo rzemienia przybitego do burty, a wiatr szarpał jego kędzierzawą brodę.

Tir, Reim i inne dzieci schroniły się w namiocie. Kobiety rozpały tam ogień w płaskim, żelaznym naczyniu i ogrzały trochę pomieszczenie, a teraz piekły nad ogniem kawałki mięsa.

— Jedzcie, dzieci — powiedziała z uśmiechem Bergliot. — Ala gryźcie długo każdy, kęs, bo nie wiadomo ile czasu przyjdzie nam spędzić na morzu.

Tir nie miała ochoty na jedzenie. Czowała, jakby fale unosiły jej żołądek, w górę i w dół, w górę i w dół. Przytuliła głowę do ciepłego brzucha owcy i leżała cicho pojękując. Ale niełatwo było zachować spokój. Wiadra i skrzynie, garnki i miski przewracały się i tłukły o siebie z łoskotem. Reim postanowił nauczyć inne dzieci liter, które poznał w klasztornej szkole. Ale szybko musiał przestać. Statkiem rzuciło tak gwałtownie, że nóż, którym wycinał litery w kawałku drewna, wbił sobie w palec i krwawił porządnie.

— Małe koguty nie powinny się bawić ostrym żelazem — powiedział Brede. Znalazł jakiś gałganek i przewiązał skaleczenie

W kącie namiotu siedział Digralde tak pewnie, jakby trzymał się wkopanego w ziemię kamienia. Opowiadał, jak to pięknie będzie w nowym kraju. Było tam pod dostatkiem świetnych pastwisk i miejsca także dość dla wszystkich. Z pewnością uda się zbudować dom, zanim jesienne sztormy zaczną się na dobre. Teraz będzie mógł wykorzystywać swoje siły i na pewno mu ich wystarczy.

Una cieszyła się, że znowu zobaczy swoją małą córeczkę, a wdowa Aud opowiadała, jaki to dwór zbuduje dla siebie i dla swoich synów.

Pod wieczór Vidur, który stał przy sterze, zawołał:

— Pogoda się poprawia!

Reim wyczołgał się z namiotu i wyszedł na pokład. Uch, ale wiało! Woda z bulgotem rozbijała się o burty, a w morskiej głębi chlupotało coś i burzyło się strasznie. Ale w górze niebo iskrzyło się gwiazdami.

Nieco dalej z boku stała Tir.

Spostrzegł nagle, że gdy tak stoi przy burcie, podobna jest trochę do matki. Ależ wyrosła w ciągu ostatniego lata! Już właściwie nie była dziewczynką.

Zobaczywszy go, Tir podeszła bliżej na niepewnych nogach, ze zwichrzonymi włosami.

— Uhu, zbliża się morski potwór!

— Tfu, nawet nie wymieniał jego imienia tu, na morzu. — Reim obejrzał się z lękiem. Ale zaraz się roześmiał. — Jeszcze nie słyszałem o potworach, co chorują na morską chorobę i leżą po całych dniach, trzymając się za brzuch.

Siostra pociągnęła go za kosmyk włosów nad czołem.

— Obrzydliwie lubisz się drażnić, Reim.

— Reim — skrzywił się chłopiec. — Teraz musisz zapomnieć to imię...

— Zapomnieć twoje niewolnicze imię? To się chyba nigdy nie uda. Jesteśmy wciąż tak samo niewolnikami, choć służymy innemu panu.

Wtedy on szepnął jej do ucha:

— Możemy chyba mieć nadzieję na odzyskanie wolności. Może kiedyś, gdy dotrzemy do Islandii...

Tir śmiała się radośnie, choć trochę niepewnie.

— Wiesz, Patric... — Imię brata brzmiało jakoś niezwykle.

— Tak, Sunniva.

— Czy widzisz to samo, co ja?

Uniósł głowę i patrzył w roziskrzone, nocne niebo. Wtedy zrozumiał, co miała na myśli. Tam, pośród miliardów gwiazd, błyszczał Wielki Wóz, który dawniej służył im jako drogowskaz, gdy odeszli zbyt daleko od domu. W Irlandii świecił on zwykle nad ich obejściem. Teraz lśnił i migotał niespokojnie w tę wietrzną noc. Jak znak z bardzo daleka.

— Dziwne, żeśmy go nie widzieli wcześniej. Przez cały ten czas, gdy byliśmy niewolnikami w Norwegii.

— Tak, to dziwne.

— Sunniva, czy wierzysz, że pewnego dnia...

Nie dokończył zdania. Wiedział, że siostra potrząśnie głową i powie mniej więcej to samo, co babcia Gaelion zwykła była mówić:

— Ty mały głuptasie, nikt przecież nie wie, jaki będzie jego los...

II. UCIECZKA Z WIKIŃSKIEJ NIEWOLI

I

Tir otuliła się szczelniej owczą skórą. Drżała z zimna. W małej grocie było ciasno, a ona starała się być niewidoczna. Serce biło w piersi mocno i boleśnie. Kiedyż tamci wreszcie przyjdą? — myślała. Kiedy przyjdzie Reim? Ręce i nogi zdrętwiały jej od siedzenia w niewygodnej pozycji i wyczekiwania. Księżyc powoli wznosił się na niebo znad wierzchołków wzgórz. Spoglądał na dziewczynę zimnym bladym obliczem, nim go przesłoniły przepływające obłoki. Dobrze czy źle wróży na dzisiejszą noc? — zastanawiała się Tir.

Już po raz drugi siedziała tak w napięciu i wyczekiwała. Pierwszy raz było to w niskim, lodowato zimnym domu niewolników w Norwegii, ojczyźnie wikingów. Wtedy udało im się zbiec i przepłynąć przez rozległe morze do Islandii. Teraz mieli podjąć dłuższą i bardziej niebezpieczną podróż. Przy brzegu, nie dalej niż sto kroków od miejsca, w którym była ukryta dziewczynka, stały trzy statki z podniesionymi żaglami. Miały wziąć kurs na południe od wysp Morza Zachodniego, wprost na Irlandię.

Tyle się naczekali od tamtego lata, kiedy zostali przez wikingów uprowadzeni z ojczystego kraju. Jeszcze teraz, gdy zamykała oczy, widziała czerwone jęzory ognia liżące dach klasztoru w jej rodzinnej wsi. Słyszała krzyki dorosłych i dzieci, próbujących ująć pogoni, widziała wstrętne, podobne do smoków statki, wpływające do zatoki. Niemal wieczność minęła od czasu, gdy po raz ostatni słyszała swój ojczysty język i wieki temu miała na imię Sunniva, a jej brat Patric i biegali po polach w ojczystej Irlandii.

Ludzie na brzegu kończyli ładowanie beczek i worków na statki. Na jednym z nich siedział samotny wartownik. Oparty o maszt śpiewał smutną, monotonną pieśń, która działała na Tir usypiająco.

Podparła głowę rękami, a przed oczyma przesuwały się obrazy z pierwszego okresu w tym obcym kraju, daleko na północy.

Owego jesiennego dnia, gdy opuszczali Norwegię, chmury mknęły po niebie, a szare morze pokrywała wzburzona piana. Pierwszy szedł przez wody fiordu potężny, podobny do smoka, statek należący do Aud. Za nim podążały jeszcze trzy inne pod pełnymi żaglami.

— Jak myślisz, jak tam będzie w tym nowym kraju? — pytała Tir. — Wierzysz, co ludzie mówią, że tam ogień i woda wybuchają wprost z ziemi, a coś ciągle bulgocze i kipi w wielkich kotłach, gdzie czarownice warzą swój napój?

— Aha — kiwnął głową Reim. — Oczywiście. Nigdzie w żadnym miejscu na świecie nie ma tyłu trolli i stworów, co na Islandii. Wszyscy tak mówią.

— Nawet Brede?

— Tak, on również.

Podczas podróży dużo o tym rozmawiali. Z przejścia aż mrówki chodziły im po plecach. Zmierzali oto do nowego i nieznanego kraju, który leżał gdzieś tam za morzem, na zachodzie. Zostawiali za sobą Norwegię, kraj wikingów. Przez cały rok harowali jako niewolnicy u potężnego jarla, ale w końcu udało im się zbiec i przystali do gospodarza Brede i jego żony Bergliot. Byli to zwykli chłopci, dlatego też traktowali niewolników prawie tak samo jak członków swojej rodziny. Porzucili właśnie ubogą ziemię w Norwegii i, uchodząc przed niepokojami w ojczyźnie, wyruszyli do Islandii, by tam zbudować sobie nową zagrodę. Na

pokładzie statku znajdował się także Asbjørn, sąsiad Bredego. Żeglował już przedtem do Islandii, a wody przybrzeżne znał jak własną kieszeń. Asbjørn zabrał ze sobą bydło, niewolników i sprzęty. Brede i Bergliot natomiast mieli niewolników i trzech swoich synów. Najmłodszy z nich, Ravn, nieposłuszny i rozhukany, bardzo lubił udawać dorosłego mężczyznę. Przechylał się przez reling, gdy fale zalewały pokład, albo wspinał się na wierzchołek masztu.

Tir źle znosiła podróż morską, ale nie skarżyła się.

— Muszę się uszczypnąć w rękę, aby uwierzyć — mówiła. — naprawdę udało nam się wydostać z tego zimnego domu dla niewolników, nie muszę już tak ciężko pracować w młynie, nie będziemy się bać okrutnych wojowników jarla, okładających kijami plecy biednych niewolników za byle co. Teraz, w nowym kraju, wszystko będzie lepsze.

Ale Reim odwrócił głowę.

— Nie powinnaś zapominać, że nadal jesteśmy niewolnikami. I że z Islandii do ojczyzny daleka droga.

Podróż przedłużała się i wielu zaczynało żałować, że wyprawili się w długą i pełną niebezpieczeństw drogę o tak późnej porze. Pośrodku wielkiego oceanu zerwał się północno-zachodni wiatr. Sztorm przewalał się po niebie, a szkwał siekł białe, spienione grzywy fal. Statki, rozrzucone teraz daleko jeden od drugiego, tańczyły jak łupiny orzechów po wzburzonym morzu. Niski namiot z grubego płótna domowej roboty, rozpięty wokół masztu, niewiele dawał schronienia. Pełno tam zresztą było różnych rzeczy: skórzanych worków i skrzyń, kamiennych naczyń i dużych żelaznych garnków. W czymś na kształt szopy, skleconej w miejscu, gdzie pokład się obniżał, stały zabiedzone zwierzęta, pobekując i rycząc niespokojnie. Tak żeglowali przez wiele nocy i dni, a wiatr nie słabł. Dopiero po trzydziestu dobach na morzu coś się odmieniło.

Asbjørn, z oszronionymi włosami i brodą, walczył na mostku ze sterem. Oblizywał sól z warg i spluwał.

— Całą wieczność już krążymy w tej przekłętej zawierusze, a nie widzieliśmy nawet najmniejszej skałki, wystającej z morza. Boję się, że płyniemy prosto do trolli w Utgardzie!

— To wszystko wygląda beznadziejnie — zgodził się Brede. Wiatr zagłuszał jego słowa. — Jedzenie się kończy i woda do picia także.

Wtedy Tir dostrzegła, że wysoko nad nimi krąży jakiś ptak. Widziała go wyraźnie przez otwór w namiocie. Ptak miał bardzo dziwną barwę: w matowym świetle poranka jego skrzydła połyskiwały błękitem. Dziewczynka zastanawiała się, czy powinna obudzić Reima, który drzemał oddychając ciężko, z twarzą ukrytą głęboko w owczej skórze. Leżała jednak i ze zdziwieniem przyglądała się ptakowi. Coś jej przypominał, jakąś baśń, którą słyszała w domu, w Irlandii... było coś takiego o ptaku, lecącym na silnych skrzydłach przez wielkie, szerokie morze...

Nagle usłyszała krzyk:

— Ziemia na horyzoncie!

Zerwała się na równe nogi. Naciągnęła owczą skórę na głowę i wyczołgała się z namiotu. Uch! Ale wiało! Fale waliły o burty statku, a piana wzbijała się wysoko w powietrze. Spojrzała w górę, ku wierzchołkowi masztu. Teraz krążyło tam wiele ptaków. Wznosiły się i opadały w powietrzu.

— Ziemia na horyzoncie! — wołali już wszyscy na statku. — Ziemia na horyzoncie!

Dzieci i dorośli tłoczyli się przy dziobie, gdzie rozpryskujące się fale spadały na pokład jak siekący deszcz. Daleko, daleko, tam gdzie morze i niebo łączą się w jedno, majaczył wąziutki strzęp ładu. Ukazywał się za każdym razem, gdy statek wznosił się, by przeciąć grzbiet kolejnej fali.

— Na Odyna, co to za hałasy!

Przez szum wichru i fal przedzierał się dudniący głos. Z namiotu wytoczył się olbrzym, przypominający raczej niedźwiedzia niż człowieka. Włosy miał splątane i wymachiwał wielkimi pięściami.

— Co to za hałasy, pytam? Jeszcze nie zdążyłem się dobrze wyciągnąć pod owczą skórą, a podnosicie taki harmider jakby was gonił sam bóg morza! — Popatrzył zaczerwienionymi oczyma na stojących dokoła ludzi. — Una! — wrzasnął. — Gdzie jest Una?

Młoda, krępa kobieta pospieszyła do namiotu. Wiatr szarpał nią, ale zdołała jakoś przejść po kołyszącym się pokładzie. Włosy wysuwały jej się spod czepka i powiewały wokół głowy. Gdy dotarła nareszcie do olbrzyma, musiała się chwycić jego kurtki, by utrzymać się na nogach.

— Digralde — powiedziała. — Tam widać ląd, do którego tak tęskniliśmy. — Wskazała na północny zachód. — Tam czeka nasza mała córeczka! W tym kraju, jeśli wszystko pójdzie dobrze, zbudujemy sobie dom!

Kiwnęła głową i uśmiechnęła się do młodego chłopca, stojącego obok. Był to Vidur, jej brat.

Digralde przecierał oczy i patrzył. Wreszcie otworzył usta i wrzasnął przeraźliwie z radości, a jego głos niósł się daleko ponad wodę.

— Na wszystkie koty Frei — krzyczał. — Czyż nie macie oczu w głowie, dobrzy ludzie? Czy nie widzicie, że zbliżamy się do Islandii? — Chwycił w pół małą postać kobiecą i uniósł ją wysoko. — Teraz zaczyna się życie, Una! Właśnie teraz się zaczyna!

— Puść mnie! — wrywała się Una, zawieszona między niebem a pokładem. — Puść mnie, bo w przeciwnym razie moje życie może się teraz skończyć!

W tym momencie nadeszła olbrzymia fala, która rzuciła ich na tył statku. Leżeli na pokładzie i wymachiwali rękami. Kobiety pociągnęły za sobą dzieci i z powrotem wczołgały się do namiotu. Brede złapał swego syna za ucho.

— Powinieneś mieć więcej rozumu, Ravn, i nie tkwić wciąż beczynnym na pokładzie, kiedy tak dmucha! Znajdź no jakiś czerpak, chłopcze! Teraz wszyscy muszą się wziąć do roboty.

Mężczyźni z największym wysiłkiem posuwali się ku dziobowi statku, ozdobionego głową smoka. Była ohydna, z rozwartą paszczą i pustymi oczodołami.

— Ooo! Hej! — Poderwali się wszyscy i ciągnęli za łeb. Nadeszła nowa fala, która przelała się przez reling i o mało nie zmyła ich z pokładu. Smok nie chciał się poddać. Zdawało się, że napina kark i z całych sił stawia opór. Brede opowiadał potem, że gdy nareszcie udało im się odłamaną głowę smoka rzucić na pokład, z rozwartej paszczy wydobył się jakby głuchy pomruk.

— Tak będzie lepiej — przytakiwała gospodyni Bergliot. — Nigdy za dużo ostrożności. One tam na pewno stoją. Stoją na tych szarych wzgórzach i obserwują jak się zbliżamy. Od tysiący lat duchy ziemi żyły na Islandii, w górach i w kamieniach. Boją się teraz, że odbierzemy im ziemię. Nie możemy ich jeszcze straszyć rozwartymi paszczami potworów.

Podeszli do lądu tak blisko, że strome skały, jak ściany, przesłaniały im widok. Najmniejsza dziewczynka, córka niewolników, przytuliła się do Tir, kurczowo obejmując ją w pasie.

— Boję się — szlochała. — Cały świat skacze w górę i w dół.

Tir zamykała oczy za każdym razem, gdy dziób zniknął pod nowymi masami spienionej wody. W każdej chwili oczekiwała, że statek zostanie rozdarty przez podwodne skały, których tu, przy brzegu, musiało być mnóstwo.

Potężna fala chlusnęła na nich, tym razem od tyłu. Brede zaklął szpetnie. Jedna z beczek napełnionych ziarnem zniknęła w masach wody i spłynęła za burtę. Rzucił się na ratunek, ale musiał zostać i trzymać się mocno, by i jego nie pochłonęła głębia. Przemoczony

do suchej nitki, z krwawiącą raną na czole, stanął znowu na nogi.

— Zwinąć żagle! — rozkazał. — Zbliżamy się do lądu!

Teraz w ruch poszły wiosła.

Przy sterze stał Asbjørn. Wziął kurs na małą zatoczkę, do której z łoskotem wpadały spienione masy wody. Gdy morze cofało się z szumem, dno zatoki było prawie suche, najeżone kamieniami, ostrymi jak kły dzikiego zwierza. Asbjørn przełożył ster i przy pełnej szybkości dosłownie wpadł do zatoki.

I wtedy stało się nieszczęście. Kolejna fala rzuciła statkiem i poczuli jak wstrząsa nim potężne uderzenie. Drażki podtrzymujące pokładowy namiot połamały się. Sote zarżał donośnie i stanął dęba, unosząc przednie nogi wysoko w górę. Digralde musiał wyteńczyć wszystkie siły, by go powstrzymać. Oślepieni bryzgającą pianą i ogłuszeni hukiem fal ludzie z trudem trzymali się na nogach.

— Rozerwało kadłub! — zawołał Asbjørn. — Statek nabiera wody!

Tir i Reim, przerażeni, trzymali się kurczowo jedno drugiego.

— Święty Patryku i wszyscy święci, ratujcie nas!

Zaraz potem wpadli do lodowato zimnej, ciemnej wody u wybrzeży nowego, nieznanego kraju. Mała niewolnica nie przestawała krzyczeć, morze gotowało się z hukiem, a wiatr wył wokół nich.

Potem stało się coś, czemu nigdy nie przestali się dziwić. Nieoczekiwanie statek został zmyty z podwodnej skały i na grzbiecie wielkiej fali wniesiony w głąb zatoki. Gdy dziób zarył w piasku, ludzie zeskoczyli z pokładu i zaczęli ciągnąć ze wszystkich sił. Szarpali i ciągnęli za każdym razem, gdy kolejna fala z łoskotem podmywała kil. Kiedy nareszcie statek stanął bezpiecznie, można było sprowadzić na ląd zwierzęta. Było to straszliwie męczące zajęcie. Zanurzali się w lodowatej wodzie po pas i wynosili ciężkie stworzenia na brzeg. Dopiero teraz odkryli, że cztery owce zdechły, a wiele skórzanych worków i skrzyń z dobytkiem przepadło we wzburzonych masach wody.

— Dzięki niech będą Frei, żeśmy na koniec wylądowali — wyszeptła żona Asbjørna. Przygarnęła do siebie małą niewolnicę, która nieustannie płakała. Dziewczynka uderzyła się boleśnie, gdy statek wpadł na skałę, i przy upadku wybiła sobie kilka mlecznych zębów. Dygotała z zimna w przemoczonym ubraniu.

Tir odgarnęła parę mokrych kosmyków z czoła. W śnieżnej zadymce, która się tymczasem rozpętała na lądzie, niewiele widziała tego nowego kraju. Nagie skały dokoła, a na zachód od zatoki spieniona woda wpadała do morza. Islandia... Kraj Lodu... Nazwa bardzo dobrze pasowała do tego krajobrazu. Zimno i niegościnnie. Jak w krainie trolli, gdzie nie ma śladu żywej ludzkiej istoty.

Asbjørn wskazał na szczyt wzgórza, gdzie majaczył w śniegu jakiś mały budynek. Musiała to być szopa na siano albo szałas pasterzy.

Poza tym, jak okiem sięgnąć, krajobraz był martwy. Śnieg wirował nad ziemią i pokrywał wszystko marznącą, szarobiałą kołdrą, pod którą ginęły ślady ludzi i koni.

Mała grupa przybyszów ruszyła w górę zbocza. Kilka worków ze zbożem i jakieś tobołki z odzieżą umieszczono na grzbiecie Sotego. Resztę trzeba było dźwigać na plecach. Reim i Tir szli na końcu, poganiając przed sobą gromadkę owiec i kóz.

Na pokładzie statku nie było wiele miejsca, ale w tej szopie, która przypominała raczej małe schowanko, zbudowane z kamieni i torfu, było go jeszcze mniej. Dzieci znalazły wkrótce jakiś kąt i ułożyły się przytulone do zwierząt, by się choć trochę ogrzać. Mokre kurtki i okrycia powieszono na belkach pod dachem.

Digralde wstał i zapiął pas.

— Został nam już tylko jeden suszony udziec barani — powiedział. — A to skąpo jak dla Digraldego.

Owinął się dużą skórą, poszukał w worku u powały jakichś narzędzi i wyszedł w zawieję, razem z Vidurem i Asbjørnem Nim wieczór się skończył, wrócili do szopy, przemarznięci mi kość, w sztywnych od lodu ubraniach, ale z wielkim tłumokiem, który nieśli między sobą. Tłumok był pełen srebrnych, lśniących ryb.

— Każdy, kto już był na Islandii, wie, że wystarczy sak zanurzyć w morzu — powiedział Asbjørn. — Jest tu jedzenia dla całego królewskiego dworu i jeszcze trochę. Ależ tam wieje na przybrzeżnych skałach!

Po kilku dniach nieprzerwanej śnieżycy pogoda nieco zelżała. Brede zabrał synów i poszedł na brzeg obejrzeć statek. Kadłub przecinała głęboka wyrwa; trzeba będzie zapewne sporo czasu, żeby ją załatać.

Codziennie mężczyźni łowili ryby albo zastawiali sidła na ptaki, których w tym kraju były, jak się zdawało, nieprzebrane ilości. Pewnego wieczora późno wrócili z łowów, ale przynieśli dwie nieduże foki, które położyli na śniegu przed szopą. Teraz na długo wystarczy jedzenia. Weszli jednak do szopy z ponurymi twarzami. Bez słowa zdjęli peleryny i okrycia ze skór i siedli w milczeniu na ławie.

— Jakiś to dziwny sposób przychodzenia do domu — powiedziała Bergliot. — Jakbyście wszyscy stracili mowę!

— Nie zawsze łatwo jest gadać — odparł Brede cicho. — Jeszcze trzy okręty wyruszyły z Norwegii razem z nami. Teraz wiemy, co się stało z jednym z nich.

W pomieszczeniu zaległa cisza. Nawet najmłodsze dzieci, które bawiły się na podłodze, usiadły, by słyszeć, co Brede będzie opowiadał.

— Łowiliśmy foki na tych najdalej w morze wysuniętych szkiełach, mniej więcej w tym miejscu, gdzie nasz okręt o mało się nie rozbił na ostrych skałach, gdy dopływaliśmy do Islandii. Właśnie ustrzeliliśmy drugą sztukę, gdy Vidur zawołał, że coś pływa w morzu. Coś mnie wtedy tknęło. Na wodzie unosiła się brązowa kurtka. Zbliżyliśmy się do stromej skały i zobaczyliśmy, że na brzegu po drugiej stronie leżą kawałki rozbitych skrzyń, wyrzuconych przez morze na ląd.

A potem ujrzelśmy statek. Tkwi z dziobem uniesionym ku górze, dosłownie leży na stromej skale. Wygląda to tak, jakby sam bóg morza wyciągnął potężną dłoń i wepchnął kadłub w głębie. Wszyscy, którzy byli na pokładzie, spoczywają teraz głęboko, w podwodnym królestwie Njorda.

— Taki to koniec spotkał wielu naszych krewniaków — powiedziała wolno Bergliot. Ciężko opuściła ręce na kolana. Od brzegu niósł się łoskot spienionych fal, jak pogłos dalekiego sztormu.

— Tam, na przełęczy, widzę jakiegoś jeźdźca! — Ravn począł wołać i krzyczeć, biegnąc przed wejściem do szopy.

Człowiek na koniu skręcił i zaczął się do nich zbliżać. Otulony był samodziałową peleryną takiego samego szarego koloru, jak grzywa jego konia. Wyglądało, jakby koń i człowiek byli jedną postacią.

Z niedowierzaniem kręcił głową, słuchając o ich podróży. Niewielu wyrusza w drogę o tej porze roku. Szybko się jednak zorientował, kim są, i powiedział im, że Aud wylądowała szczęśliwie. Zdążyła już sobie wybrać ziemię i teraz niewolnicy kończą budowę domu.

— Czy to daleko stąd? — zapytał Brede.

— Nie bardzo. Jeśli wyruszysz statkiem o świcie, to przybędziesz na miejsce w porze, gdy słońce stoi pośrodku nieba.

Asbjørn zapytał o swoich krewnych. Islandczyk przytaknął, znał nazwiska wielu z nich. Gdyby Asbjørn chciał, przybysz gotów był pożyczyć mu kilka koni i pojechać z nim do wsi, gdzie osiedlili się krewniacy.

W jakiś czas potem Islandczyk wrócił, prowadząc sześć małych, długowłosych koni.

Asbjørn i jego ludzie zebrali swój dobytek i ruszyli w drogę. Najmłodszej niewolnicy pozwolono jechać na koniu samego gospodarza. Siedziała tyłem, oparta o jego plecy, i machała do Tir i Reima, dopóki mogli się nawzajem widzieć.

W kilka dni potem statek był znów przysposobiony do żeglugi, Brede i Bergliot troszczyli się, by cały dobytek przenieść na pokład, a gdy wszystko było gotowe, statek przy pomyślnym wietrze wziął kurs na zachód. Słońce świeciło na zimnym, bladozielonym, zimowym niebie. Tir stała przy relingu i przyglądała się lądowi. Z porannej mgły, jeden za drugim, wyłaniały się wierzchołki gór. Widziała też spienione rzeki, wpadające do morza, błękitne grzbiety wzgórz i oszronione, nieduże drzewa w zagajnikach. A ponad tym wszystkim lśniąca lodowce, o ostrych, poszarpanych grzbietach, spoczywające na wierzchołkach gór.

Teraz, mimo wszystko, Islandia była piękna.

Gdy statek pod żaglami zbliżył się do lądu, Aud wyszła na dziedziniec. Posłała niewolników, by pomogli znieść dobytek na brzeg. Sama zaś pospieszyła na spotkanie Bredego. Ujęła obie jego dłonie.

— Witaj, Brede, mój krewniaku. Bogom niech będą dzięki, że ty i twoi szczęśliwie przebyliście morze. Nie wszystkim, którzy wyruszyli z nami z Norwegii, było to dane...

— Niestety, nie wszystkim — powiedział Brede cicho.

W zamyśleniu patrzył przed siebie. Znajdowali się w przestronnej dolinie, otoczonej niewysokimi górami. Środek doliny przecinała szeroka rzeka, niosąca wielkie masy wody. Zagrody leżały z dala jedna od drugiej, oddzielone od siebie rozległymi pastwiskami, po których chodziły stada kóz i owiec, wyskubując trawę spod śnieżnej pokrywy. Wszędzie też widziało się te małe, włochate koniki, których w tym kraju było, zdaje się, wyjątkowo dużo.

Aud przywiozła z sobą sosnowe bale na budowę domu, przygotowane jeszcze przed wyjazdem z Norwegii. Gdy nareszcie znaleźli się na Islandii, wystarczyło złożyć je razem. Niewolnicy zrobili to bardzo szybko i teraz nowiutki dom w zagrodzie Aud widać było z daleka.

Brede pochylał głowę w drzwiach, wszedł do środka i usiadł na ławie. Aud zaprosiła krewniaka, by wypił toast za szczęśliwy przyjazd.

— Widzisz teraz, jak wygląda moja nowa halla. Dym nie uczernił jeszcze ścian. Aż dziw bierze, kiedy się wspomni zagrodę w Norwegii. Tam było w izbie całkiem czarno. Sześć pokoleń naszego rodu przeżyło swoje życie pod jej niskim dachem. Ale ja sama chciałabym spróbować czegoś nowego dla siebie i dla moich synów.

Brede się roześmiał.

— Tak, nikt nie mógłby powiedzieć, że brak ci odwagi.

Aud położyła dłoń na ramieniu krewniaka.

— Radzę ci, byś zajął dla siebie pola niedaleko, na północ stąd. Są tam dobre pastwiska, dotychczas niczyje.

Brede skinął głową.

— Zdaje się, że i w tym kraju zaczyna być ciasno. Muszę pomyśleć o moich synach. Najstarsi są już na tyle dorośli, że wcale bym się nie dziwił, gdyby chcieli wziąć sobie żony tu, na Islandii, i zbudować własne zagrody.

Oczy Aud załśniły.

— A ten twój najmłodszy żrebak?

— Ravn to miły chłopak — roześmiał się Brede — ale to niestety większy urwis niż biedny ojciec by sobie życzył.

— No, tak — uśmiechnęła się Aud. — Tylko że nie pamiętasz pewnie, jaki ty byłeś w jego wieku. Więcej siedziałeś na drzewach niż na ziemi.

Aud znowu podała krewniakowi napełniony róg, gdy na dziedzińcu rozległy się okrzyki i wesołe śmiechy. Gospodyni wyjrzała przez otwór okienny.

Jeden z koni, który z wielkim tłumokiem na grzbiecie wchodził po zboczach wzgórz, stanął i nie chciał iść dalej. Zapierał się wszystkimi nogami, ludzie ciągnęli i szarpali za uzdę, ale koń tylko wymachiwał ogonem i rżał.

W pewnej chwili podszedł do nich jakiś masywnie zbudowany mężczyzna.

— Nie chcesz uznawać końskich zwyczajów, to ja cię nauczę ludzkich — powiedział i zaklął. I zanim koń podniósł głowę, żeby wydać z siebie kolejne, wściekłe rżenie, mężczyzna chwycił jego zad i uniósł w górę. Wtedy zwierzę ruszyło przed siebie, jak rażone gromem. Wszyscy zebrani na dziedzińcu bili się po udach i zaśmiewali z uciechy.

— Dostyc dziwne towarzystwo wieszysz za sobą — powiedziała Aud. — Takich chłopów będzie się tu długo pamiętać. — Spojrzała krewniakowi w oczy. — Od dawna wiem, Brede, że masz na swoim statku zbiegłych niewolników.

Brede ściągnął brwi.

— Nie jestem jarłowi winien zbyt wielkiej wdzięczności — powiedział. — Latami jego wikingowie grabili nasze wybrzeża. Nieraz on sam odwiedzał moją małą zagrodę w Norwegii. Dlaczego więc miałbym odmawiać, gdy niektórzy z jego niewolników chcieli się zabrać na mój statek? A poza tym jarl nie żyje.

— Mimo wszystko zakpiłeś sobie z rodu jarła, Brede. A musisz wiedzieć, że między Norwegią i Islandią odległość jest mniejsza, niż się wydaje.

— Możliwe — odparł Brede. — Ale Una i jej brat Vidur są krewnymi mojej żony. Zawsze chciałem im pomóc w odzyskaniu wolności.

— Ale ten olbrzym, Digralde? Chodzą słuchy, że był z jarłem na wyprawie i że to okrutny grabieżca i wiking.

— Digralde jest jak jagnię w niedźwiedziej skórze — odparł Brede z uśmiechem. — Ale to prawda, że jeździł z jarłem na wiking. Tam zresztą został przez jarła wyzwolony i od tamtej pory aż mu się ręce trzęsą, by zdobyć trochę ziemi i założyć własne gospodarstwo. On i Una mają dziecko, małą dziewczynkę, która urodziła się w roku gdy panował głód. Jarl rozkazał wynieść dziecko do lasu, wilkom na pożarcie, ale Digralde zdołał wysłać małą do Islandii i umieścić tu w pewnej zagrodzie, nad zachodnimi fiordami.

Aud znowu wyjrzała przez otwór okienny i przyglądała się uważnie zgromadzonym na dziedzińcu ludziom. Pośrodku tłumu zobaczyła dwoje rudowłosych dzieci, dźwigających jakąś ciężką skrzynię.

— Brede — powiedziała ostro, patrząc mu w oczy. — Te irlandzkie dzieciaki... Czy im także zamierzasz pomóc w odzyskaniu wolności?

Brede siedział i gładził palcami nacięcie w blacie stołu.

— Zawsze myślałem, że wolni ludzie lepiej pracują dla swego gospodarza niż niewolni — odparł. — Ale przez jakiś czas będę ich chyba potrzebował w swojej zagrodzie. Dwoje moich starych niewolników nie ma już zbyt wiele siły.

— Zawsze był z ciebie odmieniec. Ożeniłeś się też z dziewczyną z niewolniczego rodu.

— Mam bardzo dobrą żonę — rzekł Brede. — Porządnie prowadzi gospodarstwo. I wtedy, gdy wpadła mi w oko, była bardzo ładna. A niewolników w jej bliskiej rodzinie nie ma już od czterech pokoleń.

— Mimo wszystko pochodzi z niewolników — powiedziała Aud. Wstała, poprawiła pas i lniany czepek. — No dobrze! Chciałam ci tylko powiedzieć, krewniaku, że nigdy nie będziesz pewien, czy ludzie jarła nie zechcą pomścić krzywdy. Ossur Svarte, høvding w sąsiedniej okolicy, jest wujem jarła. Dlatego radzę ci, żeby Digralde i jego bliscy opuścili twoją zagrodę najprędzej jak to możliwe. Nad zachodnimi fiordami mieszkają ludzie z różnych stron świata, z Wysp Owczych i z Orkadów, i Celtowie. Tam możesz być pewien, że nikt nie zapyta o twoje pochodzenie.

— Dziękuję za rady, droga krewniaczko.

— Stosuj się do nich — uśmiechnęła się. — Ludzie nazywają mnie Aud mądrą nie

dlatego, że gadam co mi ślina na język przyniesie.

Brede objął ziemię w północnej części doliny. Jechał konno, za słońcem, z zapaloną pochodnią w dłoni i obwieszczając:

— Obejmuję tę ziemię w posiadanie, bowiem żaden człowiek tu nie mieszka. Słuchajcie duchy i trolle, które siedzicie w górach i wodospadach: to jest moja ziemia!

Trochę drewna budulcowego zdołał przywieźć z Norwegii. Reszta budynków będzie musiała być zbudowana z kamieni i torfu, i z drewna dryfowego, które wiatr i fale przynoszą w dużych ilościach do brzegów. Obawiał się rozpocząć tę pracę teraz, gdy wieją zimne wichry i śnieg pada na kark. Zimy były tu łagodniejsze niż w Norwegii, ale wichury były nieustannie, przewiewały do szpiku kości.

— Ech, co tam! — Digralde splunął w dłonie. — Na nic się zda takie chodzenie i narzekanie. — I zabrał się do oczyszczania placu, gdzie miała stanąć zagroda. Najpierw trzeba było od południa zrobić niewielką podmurówkę tak, by pale, na których opierać się będą budynki, stały pewnie i równo. Reim i Vidur, a także wszyscy trzej synowie Bredego pomagali w tej pracy.

Tej zimy mieszkali w zagrodzie Aud. Tir marzła strasznie, w dzień i w nocy. Sypiała, wraz z innymi niewolnikami, w kamiennym budynku, gdzie trzymano bydło i owce.

— Nigdy nie myślałem, że ostatni kawałek życia przyjdzie mi spędzić daleko od rodzinnego kraju — mówił Fulne, najstarszy niewolnik należący do Bredego. Ogryzał barani udziec, ale szło to nieskładnie, bo zębów w ustach zostało mu już niewiele. Jedząc czkał i cmokał, i popatrywał przed siebie spod zmierzwionych, siwych włosów. Trane, jego żona, stała przy palenisku i długą chochlą mieszała coś w kamiennym garnku. W całym pomieszczeniu pachniało świeżym rosołem.

— Powiadają o Bredem, że kobiety i dobre jedzenie woli od miecza — chichotał Fulne. — Ale dla nas to lepiej. On nie z tych, co używają kija bez powodu.

Trane zaśmiała się krótko.

— Może ma trochę szacunku dla starej Trane? Nie zapominaj, że jestem z nim, odkąd się urodził. A nawet przez trzy lata karmiłam go piersią. To dzięki temu wyrósł z niego taki dorodny mężczyzna. Ale teraz nie ma już wielkiej pociechy ze swojej starej niewolnicy. To dobrze, że zdobył nowych, zdrowych niewolników.

Reim, który siedział na podłodze przy palenisku, zrobił płaczliwą minę.

— Ja nie chcę być niewolnikiem. Chcę do domu, do Irlandii.

Fulne roześmiał się.

— Najlepiej byś zrobił, chłopcze, gdybyś od razu wyzbył się takich myśli. Nigdy nie słyszał o niewolniku, który wrócił do swojego kraju. Ja sam urodziłem się w rodzinnym gospodarstwie Bredego. Odziedziczył najmniejszą zagrodę i najstarszych niewolników, bo sprzeciwił się woli ojca i wziął za żonę Bergliot. Nigdy nie poznałem smaku wolności. A nie tęsknię za czymś, czego nie znam.

Fulne wyrzucił owczą kość przez otwór okienny i wytarł tłuszcz o grubą koszulę.

— Życzę Bredemu, żeby tu, na Islandii, dobrze mu poszło. Wiele ciężkich lat przeżyliśmy razem. Każdego roku sialiśmy i zbieraliśmy plony, ścinailiśmy drzewa i wznosiliśmy nowe budynki. W domu, w Norwegii, zapolowało się też czasem na niedźwiedzia. O tak, Brede to chłop na schwał. Jest jedna, jedyna rzecz, którą chce mieć tylko dla siebie, jak inni chłopcy, he, he. Nikt nie ma prawa tknąć jego konia. Myślę, że gdyby mógł, to by w nocy sypiał w stajni.

Sote zarzął. Jakby dawał do zrozumienia, że zgadza się z tym, co Fulne powiedział. Ale Tir była zadowolona, że Brede spędzał noce z rodziną. Gdy zagroda pogrążała się w ciemności, ona układała się do snu, przytulona do ciepłego końskiego brzucha.

Największy majątek w okolicy był własnością høvdinga Gissura Lodinssona. Gissur należał do potężnego rodu, który przeniósł się z Norwegii na Islandię blisko sto lat temu. Członkowie tego rodu posiadali wielkie tereny, ich kamienie graniczne wyznaczały rozległe pola i pastwiska. Gissur mieszkał w okazałym dworze. Na Islandii rzadko widziało się domy zbudowane z takich potężnych bali jak ten. Wszystkie budynki ozdobione były rzeźbami smoków i postaci z baśni.

Høvding Gissur miał dwóch synów, z których starszy nazywał się Gorm, a młodszy Grim. Od czasu do czasu synowie høvdinga galopowali po okolicy na swych rączych koniach. Jeździli zwykle nad zatokę, gdzie stały długie okręty. Było to zresztą miejsce spotkań młodzieży. Chłopcy z większych majątków przechadzali się, oglądali okręty i rozmawiali o tym, że wkrótce będą dostatecznie dorośli, by wyruszyć w świat. Gorm miał krewnych w Norwegii i wybierał się z nimi na wiking już najbliższego lata. Grim musiał zostać w domu. Miał sprawę do załatwienia na tingu.

Gdy synowie høvdinga przejeżdżali drogą, biedni ludzie milkli, by przez chwilę chłonąć ich niezwykłość i urodę. Chłopcy mieli bardzo piękne ubrania — buty z miękkiej, ciepłej skóry, sznurowane wokół kostek, kurtki z najcieńszej, wełnianej tkaniny, nabijane srebrem pasy, złote spinki, złote przepaski we włosach i burki lamowane futrem. Porównywali swoje miecze, zdobione srebrem i miedzią, przeciągali palcami po lśniących klingach. Gdy nie mogli dojść do porozumienia czyja broń najlepsza, szli na niewielką równinę u podnóża góry. Tu urządzali zawody i bawili się wesoło. Często jednak walki takie były przyczyną wieloletniej wrogości.

Ravn, syn Bredego, podziwiał synów høvdingów, ale trzymał się od nich z daleka. Wciąż się bał, że ktoś mu wypomni jego pochodzenie. W Norwegii niejednokrotnie był wyśmiewany dlatego, że jego matka była z rodu niewolników. Wryło mu się to głęboko w pamięć. Ale ja im jeszcze kiedyś pokażę, myślał. Kiedyś pokażę im, że i ja coś potrafię, choć krew høvdingów nie płynie w moich żyłach.

— Czy pamiętasz baśnie, które opowiadała babcia Gaelion? — zapytał Reim. — O strasznych smokach, ziejących ogniem i siarką?

Tir śmiała się. Czy pamięta! Bali się tak bardzo, że wszyscy chowali się pod skórą w łóżku babci. Ale mimo to zanudzali, żeby opowiadała dalej.

— Ja widziałem takiego smoka! — powiedział Reim. — Widziałem go. Tutaj, na Islandii.

Tir otworzyła szeroko oczy. Wrzeczono, na którym przędła, opadło jej na kolana.

— Co ty mówisz, Reim? Ty chyba jesteś chory.

— Mówię ci przecież, że widziałem go na własne oczy — odparł Reim ze złością. — Uważasz może, że zmyślam? — Zmarszczył brwi pod rudą grzywą.

Tir zamyśliła się. Wiedziała, że jej brat bywa strachliwy. Czasami zmykał tylko dlatego, że jakiś kot zamiauczał w ciemności, i tulił się do niej, gdy musieli przejść przez ciemne podwórze. Ale mimo wszystko trochę wierzyła w to, co mówił o smoku. Tyle jest między niebem a ziemią dziwnych rzeczy, których ludzie nie są w stanie pojąć.

— Gdzie widziałeś tego smoka? — zapytała poważnie.

— Z tamtej strony góry, na północy. Biegłem po hali, żeby schwytać Sotego, który odszedł za daleko. Nagle usłyszałem przeciągły syk i zaraz coś zaczęło bulgotać i gotować się w ziemi. Żółta, trująca para uniosła się nad ziemią. Nie miałem czym oddychać. Wtedy nadszedł smok. Jego głowa była ukryta za syczącą parą, ale słyszałem wyraźnie, jak parskał i świstał, a w końcu wyrzucił w powietrze potężny strumień. Masy wody spadły wprost na mnie i przemoczyły mnie do suchej nitki. Ale zanim zdołałem złapać oddech, smok znikł, zapadł się znowu pod tę syczącą, bulgoczącą ziemię. Ja wskoczyłem na Sotego i uciekłem stamtąd galopem. Było tak, jakby złe duchy górskie i czarownice goniły mnie ze swoimi

chochlami. Przez całą drogę czułem na sobie gorący podmuch.

Tir przeniknęła dreszcz. A więc mieli rację ci wszyscy, którzy opowiadali dziwne rzeczy o tym kraju. Islandia była niebezpieczna dla ludzi.

— Nigdy więcej się do tego miejsca nie zbliżę — powiedział Reim.

Tir nie odpowiedziała. Wszystko, co było niebezpieczne i podniecające, w dziwny sposób ją pociągało. Któregoś dnia zapewne się odważy i tam pójdzie. Nie wiedziała tylko, że dzień ten nadejdzie szybciej, niż się spodziewa.

Z dziedzińca Aud widzieli położoną nieco niżej zagrodę Ingolfa. Tworzyła ją grupa budynków z torfu, zbudowanych na skłonie wzgórza. Co chwila słychać było stamtąd śmiechy i hałasy: gromada dzieci gonila się między budynkami, a zaraz potem rozlegał się zirytowany głos kobiecy, wzywający je do domu: — Helga — wołała kobieta. — Ivar, Stig, Endre, Kjellang, Njal... — Wykrzykiwała mnóstwo imion, a dzieci nadbiegały ze wszystkich stron i znikwały w drzwiach, przy których stała matka.

Gdy Ingolf przyszedł pierwszy raz, żeby się przywitać z Bredem, miał ze sobą pięcioro najmłodszych. Tłoczyły się przez cały czas wokół ojca, wdrapywały mu się na kolana i ciągnęły za brodę. Dwie nieznośne dziewczynki-bliźniaczki biegały i drażniły psa, który skakał i ujadął wściekle.

— Och, te dzieciaki Ingolfa! — powiedziała Bergliot zrezygnowana. — W starym kraju czasy były niespokojne, ale nie jestem pewna, czy nie mieliśmy tam jednak więcej spokoju niż tu.

Ale nikt nie mógł powiedzieć złego słowa o Ingolfie i jego żonie, Vigdis. Byli to chętni do pomocy i dobrzy sąsiedzi. Mieszkali na Islandii blisko dwadzieścia zim, dobrze jednak pamiętali, jak trudno było im w pierwszym okresie. Wciąż więc przychodzili, żeby zapytać, czy nie trzeba w czymś pomóc. Ingolf miał wiele narzędzi ciesielskich i stolarskich, a Vigdis przyniosła gręplowaną wełnę, by Bergliot mogła ją uprząść. Dobrze będzie mieć gotową włóczkę, gdy w nowej zagrodzie ustawi się warsztat tkacki.

Wśród dzieci Ingolfa Tir zauważyła piegowatą, skłoną do śmiechu dziewczynkę o jasnych włosach i oczach niebieskich jak morze. Była to Helga Ingolfsdatter. Często jeździła na małym koniu w białe łaty i wyglądała wtedy, jakby wyrastała wprost z jego grzbietu, tak pewnie i prosto trzymała się w siodle. Ale przeważnie była czymś zajęta w obejściu, ciągle biegała z jednego budynku do drugiego, nosiła wiadra i snopki siana z szopy do obory. Zawsze tak szybko, że jej jasne warkocze podskakiwały na plecach.

Kiedyś posłano Tir do zagrody Ingolfa po jakieś narzędzia. Na podwórzu usłyszała, że w oborze ktoś gwizdże i podśpiewuje. Zajrzała ostrożnie do środka i zobaczyła Helgę, która stała i mówiła coś do cieląt. Była tam także stara, zgarbiona kobieta, która drewnianą szuflą wygarniała gnój z zagrody dla krów.

Nagle z mrocznego wnętrza wypadł jak strzała mały, czarny kotek Helgi. Przerazona Tir poślizgnęła się w wejściu i runęła jak długa na podłogę obory. Zdecydowanie nie miała szczęścia, bo wylądowała pośrodku wygarniętego przez starą gnoju.

— Cześć! — zawołała Helga. — Znalazłaś tam co?

Ujęła się pod boki i przyglądała biedaczce leżącej na podłodze. Śmiała się przy tym tak głośno, że krowy odwracały głowy i patrzyły. Nawet staruszka rechotała bezzębnyimi ustami.

— Chodź, pomogę ci. — Helga wzięła wiecheć słomy i wytarła najgorsze zabrudzenia. — W porządku — orzekła na koniec. — Teraz został tylko zapach, ale on też z czasem zniknie. — Wzięła Tir pod rękę. — Jeśli chcesz, możesz zobaczyć moje konie.

— Nie wiem... — Tir się spieszyła. Bergliot powiedziała, że ma zaraz wracać.

— Na chwileczkę chyba możesz... — Helga pociągnęła Tir za sobą na koniec podwórza, do zagrody, w której stało osiem koni. Tylko jeden z nich był siwy.

— To jest prawie mój koń — powiedziała Helga, klepiąc go po zadzie. — Zimą sypiam

przy nich. Jest tu wygodnie i ciepło. I nie boję się tak bardzo duchów i trolli. Mówię ci, kiedy wiatr wieje, to coś okropnie szeleści i hałasuje na podwórzu.

Od koni Helga pociągnęła Tir do małej skrzynki.

— Duże owce są w górach — powiedziała. — Ale tutaj, spójrz, jest jedna taka, która należy tylko do mnie. — Pochyliła się nad skrzynką i uniosła w górę małe zawiniątko, nie większe niż motek wełny. — Jagniątko urodziło się za wcześnie — wyjaśniła Helga. — Ale niech no tylko dorośnie, to zrobię sobie z jego wełny piękną bluzkę.

Tir śmiała się. Jagnię było różowe i słabiutkie, i tylko na plecach miało parę kosmyków wełny. Pobekiwało żałośnie i najwyraźniej tęskniło do ciepłego boku matki.

— Szczerze mówiąc chciałabym, żebyś była niewolnicą tutaj, w naszej zagrodzie — powiedziała Helga. — My mamy tylko Drumbę. A ona jest już stara i złośliwa. Ale to zależy od ojca. On jednak mówi, że jest nas w domu za dużo, żeby jeszcze karmić niewolnika.

Tir cieszyła się, że Helga chce z nią rozmawiać i nie zwraca uwagi na to, że ma do czynienia z niewolnicą. Ale jednocześnie zrobiło się jej przykro. Gdy wychodziły z obory, w mrocznym kącie zobaczyła Drumbę. Ubrana w połataną koszulę, w łapciach na nogach, patrzyła przed siebie ponuro wzrokiem, w którym nie było życia.

W kilka dni później Tir znowu spotkała Helgę.

— Dokąd jedziesz?

Tir stała we drzwiach owczarni, gdy Helga mijala ją na swoim kudłatym koniku. Miała na sobie kurtkę z owczej skóry i kaptur, który zasłaniał prawie całą twarz. Policzki były zaróżowione od mrozu. Zatrzymała konia ze śmiechem; gdy mówiła, z jej ust unosiła się para.

— Niedaleko. Do źródła, żeby się wykapać. Chcesz jechać ze mną? Dzisiaj sobota. Myślę, że też potrzebujesz kąpieli. Musisz zmyć z siebie zapach obory.

Tir poczuła, że wstrząsa nią dreszcz. Patrzyła na Helgę z niedowierzaniem. Kąpać się? W środku takiej mroźnej zimy? Kiedyś, jeszcze w Norwegii, widziała kilku wikingów, jak nadzy biegli prosto z łaźni do przerębli na rzece. Pływali tam jakiś czas, żeby się zahartować. Parskali i wpychali się nawzajem pod wodę, i popisywali się przed dziewczętami, które stały na brzegu. Helga miała w żyłach wikińską krew, ale ona sama pochodziła z Celtów i nie bardzo lubiła mróz i śnieg. Pokręciła głową. Nie, lodowata kąpiel to nie dla niej.

— Twoi gospodarze też tam będą — zawołała Helga.

I okazało się, że to prawda. Z podwórza wyjeżdżał orszak konny: Brede w swoim ciężkim, niedźwiedzim futrze i jego żona, Bergliot, otulona peleryną bramowaną futrem z wilka. I Reim był tam także! On i Ravn dosiadali jednego z koni Ingolfa. Ravn popędzał Gráfota.

— Hej, jazda!

— Siadaj z tyłu na Rimragge — zawołała Helga. — I ruszajmy za nimi. To niedaleko. Jedziemy do majątku Snorrego, naszego sąsiada.

Rzeczywiście, droga nie była daleka. Gdy przybyli na miejsce, Tir zobaczyła coś, czego by się nigdy nie spodziewała. Dziedziniec pokrywała gruba warstwa zamrznętego śniegu, a mimo to z ziemi wydobywała się para. Było to ciepłe źródło. Chlapała się tam gromada nagich dzieci — wpychały się nawzajem do wody, śmiały się i skakały tak, że bryzgi leciały na wszystkie strony.

Helga zdjęła z siebie ubranie.

— Chodź — powiedziała do Tir. — Zobaczysz, woda jest przyjemna i ciepła!

Zanurzała się w wodzie i pojawiała znowu. Parskała, sapała, wypływała wodę i śmiała się głośno. Co chwila chowała się pod powierzchnię i gdy Tir była już niemal pewna, że zniknęła w głębi na zawsze, wynurzała się w zupełnie innym miejscu.

Tir przykucnęła, zanurzyła rękę w wodzie i aż się przestraszyła. To prawda, co mówiła Helga — woda była ciepła. I akurat odpowiednia do kąpieli... mniej więcej taka jak w Morzu

Irlandzkim w najgorętsze lato. Wszystko to zakrawało na czary. Pokusa była zbyt wielka. Pospiesznie ściągnęła z siebie kurtkę i suknię, i ostrożnie zanurzyła się w wodzie, która objęła jej ciało. Dotyk wody odczuwała jak łagodną pieszczotę. Ale nikt nie mógłby jej zmusić, by została w kąpeli dłużej. W głębinie na pewno czaiły się różne wodnice, utopce i złe duchy. Bała się, że któryś może ją pochwycić i wciągnąć w głąb. Mimo wszystko i tak jest odważniejsza niż Reim, myślała z dumą. On stał na brzegu, z boku przy koniach, i nie odważył się nawet zanurzyć dłoni w wodzie.

— Helga — powiedziała Tir, gdy wracały do domu. — Tu, na Islandii, muszą rządzić potężne duchy i trolle.

— Ciii! — szepnęła Helga. — Nie mów głośno o czymś takim! Tu wszędzie są oczy, które patrzą, i uszy, które słuchają. — Zatrzymała konia i zapytała cicho: — Widzisz tę wysoką górę tam, na północy? Starzy ludzie powiadają, że dawno, dawno temu, gdy pierwsi osadnicy przybyli na Islandię, potężne duchy, które mieszkają w górach, okazywały im swoje niezadowolenie. Powiadają, że góra się otworzyła i jęzory ognia buchnęły aż do słońca. Coś grzmiało i dudniło pod lodowcem, niebo pociemniało, a na ziemię spadł deszcz popiołu. Olbrzymie kamienie leciały jak grad na dolinę, zabijały zwierzęta i ludzi. Teraz za Świętą Górą — mówiła dalej Helga — zbierają się czarownice i warzą swój trujący napój.

Tir pomyślała, że to na pewno o tym miejscu opowiadał Reim.

— Trzymaj się mocno — poleciała Helga. — Pojedziemy tam.

Tir objęła plecy przyjaciółki. Czowała, że skóra jej cierpnie na grzbiecie, gdy zobaczyła żółte opary snujące się nad ziemią i usłyszała bulgotanie w długich szczelinach i rozpadliśkach.

— Posłuchaj, jak się gotuje w ziemi — powiedziała Helga.

Tir nasłuchiwała. Odgłos stawał się donośniejszy. Obiema rękami trzymała się Helgi. Nagle potężny strumień wody wystrzelił z ziemi, wysoko w górę. Wokół dziewczynek zaszumiało i zapieniało się. Na ziemię opadły, jak wzburzony wodospad, potoki wody i pary.

— Tfu! Na złośliwego trolla! — zawołała Helga spluwając. — Będzie najlepiej, jak się stąd zabierzemy. Trolle i złe duchy wściekają się, gdy ludzie wchodzą na ich teren. Stara Drumba powiada, że w tym kraju więcej jest trolli i całej tej hołoty niż ludzi.

Budowa zagrody Bredego posuwała się naprzód. Dzieciarnia z okolicy zbierała się, by podziwiać Digraldego, gdy machał łomem i wyciągał z ziemi wielkie kamienie.

— Ty to musisz być strasznie silny — powiedział kiedyś najmłodszy brat Helgi i splunął daleko.

Digralde wyprostował się, otarł pot z czoła.

— O tak, potrafię co nieco podnieść.

— A co, na przykład? — zapytał inny z braci, patrząc na olbrzymie pięści i muskularne plecy wyzwolonego niewolnika.

— Myślę, że gdybym dobrze chwycił, to bym nawet i konia podniósł.

Chłopcy pootwierali buzie. Czy to możliwe? Mógłby podnieść konia?

— Owszem. W każdym razie małego — powiedział Digralde chichocząc.

Jeden z chłopców odważył się zrobić krok naprzód.

— Czy to prawda, że byłeś na wikińskiej wyprawie w obcych krajach?

— Prawda — odparł Digralde i usiadł na kamieniu, który dopiero co wydobył z ziemi.

— No i co? Czy to bardzo podniecające?

— O tak, z początku tak właśnie myślałem. Gdy stałem na dziobie okrętu ozdobionego głową smoka, obok innych mężczyzn, uzbrojonych i gotowych do walki, czułem, że niecierpliwość rozsadza mi pierś. Żeglowaliśmy po szerokim morzu i przybywaliśmy do miast i wsi, jakich nigdy przedtem nie widzieliśmy. Pędziliśmy przed siebie z błyszczącą bronią w rękach, by palić, płądrować, rabować złoto i kosztowności. Po czym znowu ruszaliśmy w morze na

naszych szybkich okrętach i znikaliśmy we mgle...

Najmłodszy chłopiec podwinął rękaw kurtki i zacisnął małą piastkę pod nosem Digraldego.

— Ja też jestem dosyć silny, Digralde, tylko spróbuj! — Oczy mu błyszczały. — Kiedy będę duży, także zostanę wikingiem i wyruszę w świat.

— Oczywiście, że jesteś silny — uśmiechnął się Digralde. — Ale gdybym był tobą, to bym spożytkował siły na coś lepszego.

Chłopcy zastanowili się nad tym, co Digralde powiedział.

— Wikińscy wojownicy to wielcy bohaterowie — powiedział Ivar, jeden z synów Ingolfa. — Tak powiada ojciec. On był kiedyś na wyprawie w Anglii. A dziadek opowiadał o wojownikach, którzy walczyli i rabowali daleko stąd, na południu. Wszyscy zdobyli złoto i sławę.

— O tak, to są bohaterowie — powiedział najmłodszy chłopiec i westchnął.

Digralde patrzył na nich swoimi małymi, wodnistoniebieskimi oczyma.

— Wikingowie mordują i rabują, palą domostwa spokojnych ludzi — powiedział. — Nie rozumiem, co w tym bohaterskiego.

— Co chcesz przez to powiedzieć, Digralde?

— Kiedy byliśmy na wyprawie, to może się tyle nie myślało o tym, co robimy — mówił dalej Digralde. — Ale później zaczęły mi się przypominać różne obrazy. Widziałem twarze starych i młodych, krzyczących ze strachu. Widziałem małe dzieci, próbujące uciekać. Widziałem młodych, silnych mężczyzn, których zabito. I widziałem dziewczęta i chłopców, nie starszych niż wy teraz, branych do niewoli.

Ivar rysował coś patykiem po piasku.

— Phi! — powiedział ze złością. — Nie mogli się bronić?

— Nie mieli żadnych szans — odparł Digralde. — My byliśmy silni. My mieliśmy ostrą broń. A oni byli bezbronni. Nie mieli dokąd uciekać, bo wikingowie spalili ich zagrody.

— Zabiłeś kogoś, Digralde? — szeptem zapytała mała dziewczynka, która stała z boku i owijała koniec warkocza dokoła palca.

— Tak — powiedział Digralde powoli. — I to jest największy ciężar, jaki dźwigam w życiu.

— Ja myślę, że zostanę na Islandii — powiedział Ivar, gdy w drodze do domu spotkał Ravna. — Nie są to takie znowu wielkie cuda, te wyprawy wikińskie, jak opowiadają dorośli.

— Kto ci nagadał takich rzeczy? — zawołał Ravn. — Posłuchałbyś, co opowiadają wikingowie! O cudzoziemskich krajach i olbrzymich złotych skarbach! O domach z pozłacanymi wieżami, o targach, gdzie są towary z całego świata...

— Ale Digralde powiada... — wtrącił chłopiec.

— Ech, Digralde! Digralde czuje się najlepiej, kiedy może ryć w ziemi jak świnia. Ktoś, kto przez ponad dwadzieścia lat był niewolnikiem, nic innego nie rozumie. Nie, Ivarze, synu Ingolfa, poczekaj, niech no tylko przyjdzie wiosna!

Nareszcie słońce zaczęło przygrzewać. Co roku było tak, jakby wszystko zaczynało się od nowa.

— Czy to prawda, że słońce jest zrobione z najczystszej złota? — zapytała Tir.

— No pewnie — przytaknęła Helga. — Wykuły je karły we wnętrzu Świętej Góry. Jeśli mi nie wierzysz, to porozmawiaj tylko ze starą Drumbą. Ona o takich sprawach wie wszystko.

Brede stał w bramie swojej nowej zagrody.

— Za parę lat — mówił do żony — będę naprawdę bogatym gospodarzem! Kiedy jesienią zagonią owce do domu, to jakby cała góra ożyła, takie to będzie wielkie stado. Będę wyprawiał z tego fiordu jedną belę wełnianego samodziału za drugą. Tak, tak. Statki będą tak wyładowane, że mało się nie potopią pod własnym ciężarem.

Śmiał się i przyglądał małym, białym jak śnieg jagniętom, które biegały i bawiły się w odrastającej trawie.

— Rośnijcie duże, żebyście jak najprędzej miały wełnę, moje małe kłębuszki. Bo poza wszystkim bardzo potrzebuję nowego, ciepłego swetra.

Bergliot stała w progu i przysłuchiwała się, co mąż wygaduje. Teraz ujęła się pod boki i zachichotała.

— Taki sweter nie robi się sam, mój drogi mężu. Nie wystarczy owinąć się w owcze runo i powiedzieć, że ma się sweter. Musisz mieć jeszcze kogoś, kto ci go zrobi. A nie wiem, kto by to mógł być. Ja nikogo takiego nie znam.

— Tobie dam wełnę, Bergliot, i poproszę — zaśmiał się Brede. — A jeśli nie będziesz dla mnie miła, to cię wymienię za owcę. Pożytek będzie taki sam.

Zrobiło się wesołe zamieszanie. Gospodarz klepnął Bergliot w miejsce, w którym była najszersza, i zaczęli się gonić po całym domu. Bergliot nie należała do tych, co nie potrafią się bronić. Szybko podbiegła do wiszącego nad ogniskiem garnka, oburącz chwyciła chochlę i chlapnęła kaszą w oczy Bredego. Ciastowata maź zalepiła jego twarz, posklejała brodę.

Ich prawie już dorośli synowie siedzieli na ławie i zaśmiewali się. Wszyscy rozumieli, dlaczego rodzice zachowują się jak dzieci. Tak przyjemnie pachniało świeżo ociosanymi bierwionami! Trzy krowy i dwadzieścia owiec pasło się za bramą, i dotychczas nie dotknęła ich żadna choroba. To był dobry czas, te pierwsze miesiące na Islandii.

Una i Digralde szykowali się do drogi.

— Nie zaznam odpoczynku ani spokoju, dopóki nie zobaczę mojej małej córeczki — mówiła Una. — Pewnie stawia już pierwsze kroki.

Digralde śmiał się z dumą.

— Większej i silniejszej dziewczynki nie ma z pewnością na całej Islandii. Założę się o mój trzonowy ząb, że biega już szybciej niż jeleni.

Una zapakowała do tobołka swoje rzeczy: krzesiwo do rozniecania ognia, łyżkę, kilka grzebieni z kości i chustkę, którą dla niej utkała Bergliot. Digralde miał tylko nóż, przypięty do pasa, ale wszyscy bardzo byli ciekawi, co też chowa w woreczku, który przez cały czas podróży statkiem chronił jak najdroższy skarb. Teraz rozwiązał rzemienie i włożył rękę do środka.

— Spójrzcie! — powiedział na odchodnym do zebranych wokół. — To jest garść ziemi.

— Myślałem, że w tym woreczku trzymasz złoto — powiedział Vidur i wybuchnął gromkim śmiechem.

— Złoto! — Digralde skrzywił się. — O nie, garść ziemi jest więcej warta niż wszystkie skarby i całe złoto świata. To jest ziemia z ojczyzny! Rozsypię ją po polu, gdy będę pierwszy raz siał zboże tu, na Islandii.

Na dziedzińcu spotkali Ingolfa. Przyglądał się potokom wody, spływającym z lodowca i tuż za jego obejściem tworzącym rwącą rzekę.

— W niebezpieczną drogę się wybieracie — powiedział. — Będziecie mijać piaszczyste wydmy i potężne wodospady.

— Jakoś sobie damy radę — odparła Una. Ucisnęła ręce Bredego i Bergliot. — Nigdy nie zapomnimy tego, coście dla nas zrobili. Teraz czujemy się wolnymi ludźmi.

I ruszyli w drogę. Nie mieli koni, więc musieli iść piechotą. Ale do fiordów na zachodzie było niewiele ponad dwa dni marszu.

Helga wprost kipiała niezwykłymi pomysłami. Bez przerwy skłonna była do żartów i psot. Miała na przykład długi patyk, który, nie wiadomo dlaczego, nazywała hurra. Wywierciła w nim otwór i przymocowała długi, skórzany rzemień. Pojawiała się nieoczekiwanie na pastwisku wymachując z całych sił rzemieniem nad głową. Bicz wydawał niski, burczący

odgłos. Na jego dźwięk konie zrywały się spłoszone z miejsca i pędziły przed siebie jak szalony. Ale Helga uważała, że to świetna zabawa, dopóki rozbiegały się tylko konie sąsiadów.

Rzadko bywała sama. Na ogół zajmowała się któryms z najmłodszych dzieci. Obie bliźniaczki wciąż deptały jej po piętach. Pewnego dnia, gdy Tir poszła po wodę do rzeki, przybiegła za nią Helga.

— Udało mi się oszukać moich prześladowców — powiedziała. — Weszłam na dach owczarni, zeskoczyłam na ziemię z drugiej strony i szybko uciekłam. Uff! Już mam ich dosyć. Cały dzień płaczą się dokoła mnie, a w nocy muszę spać z bliźniaczkami na wąskiej ławie.

Wyciągnęły z wody pełne wiadra i poszły pod górę. Po drodze przysiadły na dużym kamieniu, żeby trochę odpocząć.

— Ty nigdy nie złościsz się na Reima — powiedziała Helga zaczepnie. — Zawsze jesteś taka słodziutka.

— Nie, nie — zaprotestowała Tir. — W domu, w Irlandii często prychałam jak kot, Reim potrafił się obrzydliwie drażnić ze mną. — Ale tu — ciągnęła w zamyśleniu — wszystko się odmieniło. Tutaj jesteśmy tylko my dwoje. I jakoś nie ma powodów do niezgody.

Tir milczała. Myślała, co się dzieje z jej młodszym rodzeństwem, co z Moirą, Carą i małym Roderikiem? Gdyby mogła być z nimi, nigdy by się już nie skarżyła, że zawracają jej głowę.

Helga zaczęła na inny temat.

— Ojciec powiada, że wy w tym dziwnym kraju macie inną wiarę. A jeden kupiec mówił, że budujecie bogom domy większe niż siedziba høvdinga Gissura Lodinssona.

Tir przytaknęła.

— Nasza zagroda leży w pobliżu klasztoru. A w klasztorze mieszkał brat Cormac.

— Brat Cormac?

Tir śmiała się ozywiona.

— Tak. Gdybyś go widziała, jak idzie kołysząc się przez podwórze, żeby spróbować naszego śliwkowego wina. Szedł wtedy lekkim krokiem, choć tak naprawdę trudno było pojąć, jak nogi mogą dźwigać jego wielki brzuch. Śmialiśmy się i chowali w wysokiej trawie, ale on zawsze znajdował nasze kryjówki. Miał zakrzywioną laskę, którą chwycił nas za karki. — Ach wy rozbójnicy! — krzyczał i śmiał się wesoło.

Tir opowiadała o swojej małej irlandzkiej wiosce, o młynarzu i o wiejskim proboszczu, i o wszystkich dzieciach z sąsiednich zagrod. Opowiadała o czerwonych jabłkach, dojrzewających w klasztornym ogrodzie, i o długich wyprawach na własnym, szarosiwym żrebaku, który nazywał się Stella.

— Nie mieliśmy wtedy niewolniczych imion — powiedziała. — Nazywaliśmy się Patric i Sunniva i byliśmy dziećmi wolnego, irlandzkiego chłopca.

Wstała i wzięła wiadra. Wtedy usłyszały trzask łamanych gałązek. Tir, odkąd była niewolnicą, nauczyła się ostrożności. Przykucnęła i niepewnie spoglądała w stronę krzewów. Helga zrobiła to samo.

Z zarośli wyszła młoda dziewczyna, poganiając przed sobą kilka krów. Długie warkocze tańczyły na jej piersi, gdy przeskakiwała z kamienia na kamień.

— To przecież moja siostra — szepnęła Helga zdziwiona. — Gdyby nie to, że wygląda tak radośnie, byłabym pewna, że szuka mnie, bo jestem potrzebna do jakiejś pilnej roboty. Rozumiesz, co jej się stało? Wygląda jak odurzona.

Zachichotała cicho zasłaniając ręką usta. Ale Tir odciągnęła ją na bok.

— Ciii — szepnęła. — Tu idzie ktoś jeszcze, patrz!

Helga obejrzała się. Czy widziano kiedy tyłu nieprzytomnych ludzi, błądzących w półmroku?

Na ścieżce ukazał się najstarszy syn Bredego. Twarz Helgi stała się purpurowa od

wstrzymywanego śmiechu. Chłopak skakał jak szalony, przytupywał nogami i co chwila wydawał z siebie wrzask, który byłby w stanie poruszyć księżyc na niebie. Wyglądał jak półdziki byczek. Jednym skokiem dopadł dziewczyny. Podniósł ją w górę i okręcił dokoła. Potem stanęli naprzeciwko siebie, a po chwili oboje zniknęli w zaroślach. Krowy stały i przyglądały się zdziwione, jakby chciały dać do zrozumienia, że czegoś podobnego nigdy nie widziały.

Helga nie wytrzymała. Przycisnęła dłonie do brzucha i kucnęła, zanosząc się śmiechem. Dwoje młodych w zaroślach zerwało się na równe nogi i rozglądało w popłochu.

Syn Bredego był wyraźnie zły.

— Chodź — szepnęła Tir. — Kåre potrafi być naprawdę niemiły.

Pochylone, przemykały od jednego kamienia do drugiego. Gdy Kåre dobiegł do głazu, przy którym poprzednio siedziały, zniknęły już w cieniu zarośli.

— Pomyśl, jacy ludzie mogą być głupi! — powiedziała Helga łapiąc powietrze. — Stara Drumba mówi, że to miłość. Jakaś okropna choroba. Powiada, że gorsza niż ospa.

Chichotały i śmiały się, biegnąc z powrotem do osady. Dopiero gdy znalazły się na podwórzu, przypomniały sobie, że przy wielkim kamieniu zostały wiadra z wodą.

— Czy pamiętasz wielkie, dębowe lasy u nas w kraju? — zapytał Reim. — Tam to można było strzelać z łuku!

Siedzieli w szopie na sianie, w zagrodzie Bredego.

Tir zamknęła oczy. Widziała potężne korony irlandzkich drzew, przesycone słonecznym światłem. Zdawało jej się, że chodzi po ścieżkach porośniętych miękkim mchem, z twarzą zwróconą ku przesłoniętemu zielenią liści niebu, które trwało nad nią jak sklepienie i zamykało ją w dziwnym, tajemniczym świetle. Tylko w tamtym lesie tak szumił wiatr, a promienie słoneczne tak przeświecały przez liście drzew. Coś szeleściło bezustannie i zdawało się, że ktoś chodzi pomiędzy gałęziami, światło sączyło się przez liściaste zarośla i ciemnozielony bluszcz oplatający pnie. Las wciąż odmieniał swoje oblicze. To spoglądały na nią zza liści twarze elfów, to jakieś baśniowe istoty tańczyły i przemykały w koronach drzew.

Lasy irlandzkie należały do łuczników i rozbójników. Bawiła się tam razem z dziećmi sąsiadów. Chowała się za grubymi pniami i śmigęła jak wiewiórka, kiedy nie mogli jej znaleźć. Nikt nie znał tylu wspaniałych kryjówek co ona — w wypróchniałych dębach i na wierzchołkach drzew. Nikt też tak zręcznie nie wyszukiwał ukrytych rozbójników. Szła po prostu wolniutko, z szeroko otwartymi oczyma i obserwowała każdy poruszający się liść. Rozbójnicy mieli łuki na plecach i kołczany pełne strzał.

— Patrzcie tam! — wołała nagle i pokazywała na cień jednego z drzew. — Tam jest rozbójnik!

W tej samej chwili świszczwały strzały, a dzieci krzyczały zwycięskim chórem.

Tir otworzyła oczy. Migotały w nich łobuzerskie ogniki.

— Najlepiej z tamtych czasów pamiętam — powiedziała i zburzyła Reimowi grzywę nad czołem — że pokonałam cię w strzelaniu z łuku!

— Au! Chcesz mi powyrywać włosy! I to ty, która boisz się zbliżyć do byka na parę kroków!

Chwycił ją w pól i zaczęli się turlać w radosnych zapasach, a słoma leciała na wszystkie strony. Zdyszani i roześmiani usiedli wreszcie i wyglądali przez drzwi szopy.

Na Islandii nie było prawdziwych lasów, tylko gdzieś tam jakiś nieduży brzozywy zagajnik. Był to zwykle dość dziwny las, jakby zatrzymany w rozwoju, drzewa miały dramatycznie powyginane pnie i gałęzie. Małe, uparte brzożki trzymały się kurczowo ziemi i walczyły zaciekle z wiatrem i niepogodą. Ale także ten las miał swój ton i swoją barwę, gdy gałązki szemrały i śpiewały, poruszane wiatrem od morza, albo gdy w czasie deszczu krople stukały spadając na liście.

Często bawili się w berka między białymi drzewkami zagajnika.

— Tir — powiedział Reim. — Przecież moglibyśmy zrobić sobie łuki. Już dawno tego nie próbowaliśmy.

Tir zgodziła się podniecona i szybko wybiegli z podwórza. Wyszukali odpowiednio giętkie gałęzie brzozone i zaraz zabrali się do roboty. Najpierw nożami oczyścili pręty z kory i zamocowali cięciwy, potem zrobili strzały, zakończone grotami z kości. Przez wiele kolejnych wieczorów nie odrywali się od tej pracy. W końcu mogli wyjść i wypróbować swoje dzieło. Jako cel wybrali samotnie stojącą brzozę i napięli cięciwy. Szszszszsz, strzały niosły się ze świstem i trafiały w biały pień, aż grało. Tir śmiała się i skakała, a jej warkocze koloru miedzi tańczyły dokoła głowy.

Z czasem coraz więcej dzieci z sąsiednich gospodarstw chciało się przyłączyć do zabawy. Już o wschodzie słońca spotykali się na placu i rozpoczynali zawody. Gdy przychodziły wszystkie dzieci Ingolfa, mogli się bawić, że są dwoma wrogimi drużynami, które podchodzą się nawzajem. Kryli się w gęstych zaroślach i przemykali niosąc na plecach kołczany pełne strzał. Helga jednak nigdy nie mogła skryć się na dłużej. Nieoczekiwanie rozlegał się jej tłumiony śmiech zza jakiegoś kamienia czy wystającego korzenia i zaraz potem ukazywała się zarumieniona twarz dziewczynki.

Brede stał w drzwiach Bredesgard, jak się teraz nazywała jego zagroda, i przyglądał się ich figlom.

— Jak to przyjemnie patrzeć, kiedy małe szczenięta się bawią — powiedział do Bergliot. — Ale niedługo będzie z tym koniec. W środku lata czeka nas mnóstwo ciężkiej pracy.

Pewnego dnia wśród rozhasanej dzieciarni pojawiła się starsza siostra Helgi. Przyszła zła, zdecydowanym krokiem. Groźnie stanęła przed Helgą i ujęła się pod boki.

— Ty nierozumna dziewczyno! Ganiasz po polach i halach, kiedy w domu jest tyle roboty! Matka mówi, że masz natychmiast wracać do domu i gręplować wełnę. Niedługo pożałujesz, że tak mało wiesz o pracy w gospodarstwie! Tak mówi matka!

Helga milczała. Powoli zwróciła twarz ku siostrze i zaśmiała się szelmowsko.

— A ja coś o tobie wiem, aha... — powiedziała przeciągle. — Coś, czego inni nie wiedzą. Tak, tak, wiem. Stary troll spod wielkiego kamienia mi powiedział...

Siostra spuściła wzrok. Mimo że już zmierzchało, widać było, jak jej twarz oblewa się rumieńcem. Trudno powiedzieć — ze złości czy ze wstydu. Odwróciła się i bez słowa odeszła, zaciskając pięści.

— Nie ma nic bardziej obrzydliwego niż gręplowanie — powiedziała Helga.

Ravn znał runy. Potrafił je rysować i ryc w drewnie. Nauczył się tej sztuki od syna pewnego høvdinga. Siedzieli blisko siebie, w cieniu Świętej Góry, a księżyc świecił na niebie. Reim chciał się nauczyć sztuki pisania run, bo w nich zawarta była moc. Mogły sprawić, że chorym wracało zdrowie, mogły uciszyć sztorm i zdławić płomień, który już zaczyna palić dach. Ktoś, kto posiada sztukę run, może podróżować przez morza i pustkowia, przez łądy i góry, przez lasy i przełęcze i zawsze dojdzie tam, gdzie będzie chciał.

— Jeśli mnie nauczysz, możesz dostać ten miecz — obiecywał Reim. Pokazał mu mały drewniany miecz, który wyciął pasąc owce.

Ravn gwizdnął pogardliwie.

— Ojciec obiecał mi prawdziwy miecz, gdy skończę piętnaście zim — powiedział. — Nie bawię się już drewnianym mieczem Jak malec, który jeszcze nie nosi spodni.

— Ale mimo wszystko naucz mnie sztuki pisania run — prosił Reim.

— Runy i tajemne znaki nie są dla niewolników — odburknął Ravn.

Miał jednak ochotę pokazać, na co go stać. A poza tym wiedział, że irlandzki niewolnik zna sztukę, której on sam nie posiadał. Kiedyś Reim wyciągnął starą skórę i pióro kruka, które zaostrzył na końcu. Maczał koniec pióra w garnku, w którym Bergliot trzymała farbę do

barwienia wełnianej odzieży, i zaczął rysować na skórze. Wodził pióro pewną ręką i rysował bardzo piękne łuki i szlaczki, jeden za drugim.

— Tak się pisze w moim ojczystym języku — powiedział. — Tu jest napisane: „Dzięki niech będą świętemu Patrykowi, który ochrania zieloną wyspę Irlandię”. A dalej: „Broń nas przed wikingami i wszelką piracką hołotą!”

Brede się śmiał, ale Bergliot aż klaskała w dłonie, patrząc na te piękne znaki. Teraz skóra nimi pokryta wisiała na ścianie izby, nad długą ławą.

— Przyjdź, kiedy księżyc będzie świecił nad przełęczą — powiedział Ravn. — Wtedy pójdziemy do Świętej Góry.

Serce Reima biło mocno. Leżał w stajni na poddaszu i przez otwór w dachu obserwował niebo. Gdy zimna twarz księżycy ukazała się nad wzgórzami, wstał i wyszedł na podwórze. Ravn czekał na niego, ukryty w cieniu długiej ściany domu. Razem ruszyli w stronę granatowobłękitnej góry, rysującej się na tle ciemnego, nocnego nieba jak olbrzymie, śpiące zwierzę.

Ravn zatrzymał się na kamiennej płaszczyźnie, tuż pod nawisem skalnym. Usiadł. Ravn, patrząc na pędzące po ciemnym niebie obłoki, zaczął szeptem:

— To sam Odyn nauczył nas run.

— Opowiedz o Odynie!

Ravn objął rękami kolana i przysunął się bliżej Reima.

— Wielki Odyn przebiega morza i wybrzeża na swoim wiatronogim rumaku imieniem Sleipnir. Dwa czarne kruki unoszą się w powietrzu i skrzekliwymi głosami donoszą o wszystkim, co widzą na świecie. Odyn wie wszystko i może wszystko. Jest bogiem mądrości i poezji, walki i wojny. Gdy sztorm wyje nad morzem, to znaczy, że Odyn wyszedł, by pozbierać zmarłych...

Wiatr szumiał w gałązkach, jakiś ptak zerwał się z krzykiem z gniazda. Reim przysunął się bliżej do Ravna.

— Aby zdobyć mądrość — opowiadał tamten dalej — Odyn ofiarował jedno swoje oko, wymienił je na źródło wszechwiedzy. Potem wisiał na drzewie przez dziewięć dni i dziewięć nocy, a wiatr wył. Poświęcił samego siebie dla samego siebie! Tego żaden człowiek nie jest w stanie pojąć. Gdy w końcu odciął rzemień i znalazł się z powrotem na ziemi, znał sztukę run.

Reim drżał. Pędzące po niebie obłoki przybierały niesamowite kształty, jak zjawy z innego świata galopowały w powiewających na wietrze płaszczach. Wszelkie upiory i zwidy musiały wychodzić na świat w taką noc jak ta...

— Teraz patrz — powiedział Ravn, wyjmując zza pazuchy jakieś kawałki drewna i nóż. Zaczął wycinać. — Pierwsze litery w runicznym piśmie układają się w magiczne słowo: FUTHARK...

— Futhark — powtórzył Reim. Z wrażenia ledwo poruszał wargami.

— A tak pisze się twoje imię! — Ravn rył w drewnie, a potem pokazał.

Później wycinał runy, układające się w niezwykle formuły: Rosa w płomień, ogień w morze...

To były tajemnicze słowa, szeptane na ucho. Nikt nie wypowiadał ich głośno. Należało je ryć w drewnie i w kamieniu albo na ostrej broni. Ani słońce, ani księżyc nie mogły swymi promieniami dotknąć runicznych znaków.

— Musimy tak spędzić trzy czwartkowe noce — powiedział Ravn. — Dopiero wtedy poznasz sztukę run.

Tir nic nie wiedziała o tych wydarzeniach. Pewnego dnia zobaczyła, że Reim siedzi i coś wycina na swoim łuku.

— Co robisz? — zapytała ze śmiechem, wyciągając przed siebie ciekawski nos.

Reim zrobił ważną minę.

— Oznaczam runami mój łuk i strzały — powiedział. — Wiesz, co tu jest napisane? Wyciągnął ku niej strzałę i przeczytał: „Własność Reima”.

— Własność Reima... — Tir pokiwała głową. — Ależ to przebiegłe! Teraz strzały nie będą nam się mylić. I okaże się, że wszystkie, które nie trafiają do celu, mają wyryte twoje imię.

Pociągnął ją z całej siły za warkocz, ale Tir wiedziała, co zrobić: Reim bał się łaskotek. Nie trzeba było dużo, żeby ją puścił.

Pewnego wieczora, gdy Tir zaganiała owce do zagrody, spotkała Helgę całą we łzach. Dziewczynka leżała przy największej owcy z rękami wczepionymi w wełniane runo i szlochała rozdzierająco.

— Helga — powiedziała Tir ciepło, głaszcząc ją po karku. — Co cię tak strasznie martwi?

— Straciłam wolność — załkała Helga, unosząc w stronę Tir twarz zalaną łzami. Oczy miała zapuchnięte od płaczu.

— Co? — krzyknęła Tir przerażona. — Ty także masz być niewolnicą? Jak do tego doszło, Helgo?

— Nic nie rozumiesz — krzyczała Helga tłukąc pięścią biedne zwierzę. — Niewolnicą jak ty? Żeby tylko to! Ja wychodzę za mąż!

Tir prawie bezwiednie usiadła w trawie. Bardzo długo trwało, zanim odzyskała mowę. Helga wycierała zapłakaną twarz wierzchem dłoni.

— Nie mówiłam ci o tym nigdy. Pewnie dlatego, że sama najchętniej bym zapomniała. Już blisko rok temu zostałam zaręczona. To się stało ostatniego lata, gdy byłam z ojcem na alltingu. Tam ojciec spotkał Starkodda, który mieszka nad zachodnimi fiordami. Żałuję gorzko, że tak marudziłam ojcu, żeby mnie zabrał na ting. Gdybym przypuszczała, że zaręczy mnie z tym starcem... Starkodd ma blisko czterdzieści zim. A jedyne o czym myśli, to żeby mieć następców.

— Ale przecież ty jesteś niewiele starsza ode mnie!

— Mam czternaście lat. Ale ojcu bardzo zależy, żeby doprowadzić do ożenku, żeby tylko Starkodd nie zerwał umowy. Ojciec mówi, że ma jeszcze bardzo dużo dzieci, o których przyszłości musi myśleć, a tak dobry ożenek pewnie już żadnemu innemu się nie trafi. Starkodd ma duży dwór, setki owiec i krów. I statek, który żegluje do innych krajów z samodziłem i pierzem. — Helga znowu załkała. — Ojciec zdecydował, że wesele ma się odbyć zaraz po letnim przesileniu.

— A co na to twoja matka?

— Nic. Czasami pogładzi mnie po włosach i mówi, jak ja sobie dobrze radzę ze zwierzętami i że takiej dobrej opiekunki do kóz nigdy nie będzie miała. Pociesza mnie i mówi: „Na pewno będzie ci dobrze, moja córko...” — Helga oparła głowę na kolanach i objęła ją rękami. — Och, to straszne! Chciałabym uciec stąd jak najdalej. Nie mogłybyśmy uciec razem, Tir? Dziś w nocy!

Tir nie odpowiedziała. Siedziała przytulona do Helgi. Fiord przed nimi lśnił w słońcu, które lada moment miało utonąć w morzu. Morze, myślała, morze jest jak pieśń, którą śpiewano w jej ojczyźnie. I tylko morze znajdowało się pomiędzy tym krajem, a jej ojczyzną. Ale morze jest bezkresne. Potrzebowali trzech tygodni, żeby przepłynąć z Norwegii do Islandii. Ile dni i nocy trzeba by w takim razie, żeby dopłynąć stąd do Irlandii? Ktoś, kto by umiał ucześcić się skrzydeł jakiegoś wielkiego ptaka, mógłby lecieć aż do zielonej wyspy na południowym zachodzie, mając pod sobą lądy i morza...

Spojrzała na Helgę, która wciąż siedziała, obejmując kolana rękami. Nie mogła jej sobie wyobrazić jako mężatki. Helga z piegowatym noskiem, o błękitnych, dzieciennych oczach. Helga, która często siadywała za owczarnią i bawiła się swoimi drewnianymi lalkami. Nie, nie mogła uwierzyć, że Helga ma być gospodynią w dużym dworze.

Długo tak siedziały obok siebie. Helgą od czasu do czasu wstrząsał jeszcze szloch.

Widać było, że walczy z sobą. W końcu wstała i obciągnęła bluzkę.

— Chodźcie — powiedziała. — Chodźcie wszystkie moje jagnięta. To ostatnie lato, kiedy jestem dziewczyną do owiec w zagrodzie Ingolfa!

Następnego dnia Helga była znowu taka jak zawsze. Miała jakąś niezwykłą zdolność odsuwania od siebie zmartwień. Po wschodzie słońca przyszła do lasu, niosąc na ramieniu swój łuk. Teraz ona także chciała brać udział w zawodach strzeleckich.

Byli tak pochłonięci zabawą, że nie zauważyli jeźdźców zbliżających się do polany. Dopiero Tir chwyciła Reima za ramię i powiedziała:

— Zobacz! Tuż za nami zebrali się synowie høvdingów.

Reim odwrócił się gwałtownie. Czterech czy pięciu młodych chłopców, każdy na białym koniu, stało opodal. Mieli brązowe albo błękitne opończe lamowane futrem i złożone pasy. Wszyscy nosili miecze. Wszyscy mieli złote przepaski na czołach. Siedzieli dumnie w siodłach i przyglądali się zabawie.

W pewnej chwili któryś zawołał do Reima:

— Hej! Kim jesteś ty, który tak pewnie władasz łukiem?

— Jestem Patric — odparł. — Jestem Irlandczykiem. W tym kraju nazywają mnie Reim.

— A zatem jesteś niewolnikiem — powiedzieli tamci. — Żaden syn wolnego chłopca nie nosi takiego imienia.

Reim opuścił głowę. Umiał milczeć, gdy syn høvdinga mówi. Nauczył się tego w czasie, gdy był niewolnikiem w Norwegii.

— Ale na pewno nie strzelasz tak dobrze jak Grim, syn Gissura — powiedział największy z chłopców i zeskoczył z konia. — Będzie zabawnie zmierzyć się z tobą. Widzisz tego ptaka tam, w górze? Zobaczymy, kto pierwszy trafi.

Palce Reima poczęły drżeć. Najchętniej by tego wszystkiego uniknął, ale czuł, że nie ma wyboru. Synowie høvdingów mieli władzę, a on sam był tylko niewolnikiem.

Naciągnął łuk i strzelił. Strzała poszybowała w niebo, ale nie trafiła. Zaraz potem Grim wypuścił swoją strzałę, lecz on także nie zdołał trafić ptaka.

Wtedy Reim poczuł siłę w palcach. Przyłożył strzałę do cięciwy, mierzył długo i starannie. Cięciwa zagrała. Strzała ze świstem poszybowała w powietrzu. Trafiła ptaka! Spadł na ziemię, wprost pod nogi syna høvdinga. Helga śmiała się tym swoim radosnym śmiechem i nie mogła się powstrzymać, żeby nie zawołać:

— To był mistrzowski strzał, Reim!

Pozostali synowie høvdingów kiwali głowami z uznaniem, ale w oczach Grima pojawiła się złość.

— Czy mogę zobaczyć twój łuk? — zapytał.

Reim podał mu łuk.

Grim naciągnął go i wycelował w ptaka, lecącego wysoko na niebie. Tym razem trafił. Tym razem uniknął kpin ze strony swoich towarzyszy.

— Masz dobry łuk — stwierdził. — Jako niewolnik pewnie nie jesteś zbyt wiele wart, taki mały i chuderlawy. Ale najwyraźniej potrafisz robić łuki. — Wskoczył na siodło. — Zrobisz sobie na pewno szybko nowy, niewolniku. Ten przyda się bardziej mnie, bo następnego lata wyruszam na wiking.

Reim pobiegł za koniem. Miał łzy w oczach.

— E tam! — powiedziała Tir. — Nie ma się czym przejmować. To tylko łuk i kilka strzał.

II

Czy Reim rychło nadejdzie? — zastanawiała się Tir. Musiała zasnąć na chwilę, czuła teraz w całym ciele dziwny ból. Przeniknął ją dreszcz, gdy zobaczyła, jak ciemno zrobiło się wokół. W dole na statku zapalono kilka pochodni, które rzucały czerwone światło na powierzchnię morza.

W napięciu wsłuchiwała się w noc, czy nie rozlegnie się jakieś wycie. Nie słyszała jednak nic, tylko szum fal rozbijających się o brzeg i wiatr igrający z liśćmi w brzoźowym zagajniku. A jeśli Reim nie przyjdzie? — przemknęło jej przez myśl. Co wtedy zrobi? Nie będzie przecież mogła wrócić sama, ani sama nie może wyruszyć w drogę. Ta myśl przepędziła ją strasliwą trwogą, poczuła, że całe jej ciało lodowacieje.

Musisz teraz być dzielna, szeptało szybko stukające serce. W ciągu ostatnich lat wiele razy powtarzała sobie: bądź dzielna, pamiętaj, że masz w żyłach irlandzką krew. Nie polegaj na innych, licz tylko na samą siebie.

Nagle gdzieś w lesie chrupnęła gałązka. Tir zerwała się. Jeśli tym razem to nie Reim, na pewno są to ludzie tropiący w ciemnościach, z napiętymi łukami. Albo może... Zadrzała. W tym kraju aż się roiło od trolli i innych nieziemskich istot. Wiedziała, że teraz pełzają wokół niej. Przemykają między mokrymi od deszczu liśćmi i drżącymi gałązkami stwory o barwie lasu, podobne do gałęzi, kamieni lub traw. Próbują chwytać ją rękami, powykrzywianymi jak gałęzie. Dyszą za jej plecami, jakby wiatr szeleścił w suchej trawie. Czy to nie czyjeś oczy świecą tam daleko, w ciemności? Wiedziała, że nieziemskie istoty mogą przybierać postaci różnych zwierząt.

Bądź dzielna, szeptał wewnętrzny głos. Wyjęła skórzany worek z jedzeniem, ale nawet świeżo upieczony, żytni chleb, który przyniosła Helga, nie smakował jej tak jak powinien.

Islandia jest krajem, gdzie rodzą się wszystkie wiatry. Jeśli wiatr wieje z południowego zachodu, to gna obłoki po niebie. Jeżeli z północy albo wschodu, świszczę w suchych trzcinach i gałęziach, gwizdzą za węglem domu, szarpie trawami, rozgania chrust.

A jak wtedy wieje na morzu!

Niemal każdego dnia wypływali na morze łodzią, którą Brede przywiózł ze sobą na statku z Norwegii. Wiosłując płynęli z zatoki aż do najdalszych szkierów. Huśtało tam i rzucało. Ścisnęło w żołądku, gdy łódka tańczyła na grzbietach fal jak łupinka orzecha. Nigdzie na świecie nie było tyle ryb co tutaj. Aż się przewracało i gotowało pod powierzchnią wody. Wyrzucali za burtę linę z haczykami i zaraz mogli wybierać jedną rybę po drugiej. Wkrótce łódź wypełniała się srebrzystą, chlastającą ogonami rybią masą.

Dla wszystkich, którzy osiedlili się na Islandii, łowienie ryb było w pierwszym okresie niemal głównym zajęciem. Stali w łodziach, mężczyźni i kobiety, i wybierali ryby. A dzieci urządzały zawody, które będzie miało na haczyku największą sztukę. Tir złapała raz dorsza, prawie tak dużego jak ona. Trzymała mocno linę, a Reim wiosłował z całych sił, bo silny wiatr spychał łódź na morze.

— Pomyśl, gdybyśmy tak wtedy rzeczywiście dali się ponieść na pełne morze — powiedział później. — To by musiało być niezwykle: leżąc w dużej łodzi, kołyszącej się na falach, i unosić się z prądem przez wiele nocy i dni...

Nad małą zatoczką niedaleko zagrody oczyszczone ryby suszyły się na płaskich kamieniach. Brede miał zamiar wybudować tam szopę na łodzi oraz niewielkie pomieszczenie na sieci i sprzęt rybacki.

W Bredesgard ryby były codziennym pożywieniem. Bergliot smażyła je w małym garnku o cienkim dnie. Bardzo oszczędzała ziarna w pierwszym okresie, jaki spędzili w nowym kraju.

Czworo niewolników posilało się w odległym kącie izby. Mieli jedną drewnianą misę i jadali z niej, każde swoją łyżką. Fulne, jako najstarszy, brał pierwszy. Zbierało im się na mdłości, gdy widzieli, jak ślina ścieka mu po brodzie do miski, ale Tir i Reim zamykali oczy i brali jedzenie. W Norwegii doświadczyli, jak to jest, kiedy kraj nawiedza nieurodzaj. Pamiętali aż nadto dobrze, co się dzieje, gdy głód powala ludzi i bydło. Wciąż żyli w strachu, że to się może powtórzyć.

— Ojciec — powiedział najmłodszy syn Bredego. — Gorm wybiera się tego lata z wikingami na wyprawę.

Brede siedział przy palenisku i obrabiał kawał drewna, z którego miał zamiar zrobić pług. Wióry leciały na podłogę. Nie podniósł głowy znad roboty.

— O tak, znam ja te młode koguty. Tylko szukają okazji, by nastroszyć pióra.

— Gorm ma zamiar dotrzeć aż do kraju Franków — opowiadał dalej Ravn. — Ludzie powiadają, że jest tam bardzo szeroka rzeka, którą można płynąć daleko w głąb kraju. Po obu jej brzegach jest nieprzebrane mnóstwo bogactw, szczególnie w domach, które chrześcijanie wnoszą dla swojego boga; są one pełne srebra i złota. I są w tym kraju wielkie osady handlowe, gdzie ludzie sprzedają najrozmaitsze towary, przyprawy i kosztowne dywany, perły i lśniące kamienie, przedmioty z kości i naczynia z najczystszej złota. Ludzie ubierają się tam tylko w jedwabie i futra. Noszą tyle złota i ozdób, że wprost kapie z nich to wszystko.

— Coś się tak uwziął na to złoto. — mruknął ojciec. — Na szczęście my tutaj nie mamy zastosowania dla takich błyskotek. Zbyt dużo złota ciąży człowiekowi, który musi pracować na roli.

Brede nie przestawał wygładzać kawałka drewna. Podniósł go w górę, przyglądał mu się przez chwilę mrużąc oczy, po czym zapytał:

— Czy sądzisz, że będzie z tego dobry pług, mój synu?

Ravn przykucnął obok ojca. Oczy mu błyszczały.

— Wielu jest w tej okolicy takich, którzy zdobyli bogactwo i władzę dlatego, że wyprawiali się na wiking. Zdobyli tam różne dobra, złoto i niewolników...

Ojciec burknął:

— No, no, ale zdarza się, że tracą więcej niż zdobyli, ci nieposkromieni. W najlepszym razie rozstają się z życiem, lecz wielu traci ręce i nogi, a niektórzy nawet rozum. Nie, chłopcze, nie stawaj tu, pośrodku tej kupy wiórów!

Ravn speszony odskoczył na bok. Stał i patrzył spode łba na siwą głowę pochyloną nad robotą. Ojciec miał wciąż silne bary, a potężne dłonie sprawiały wrażenie, że mogłyby jeszcze kruszyć głazy. W czasach, gdy mieszkali w Norwegii, miał sławę wielkiego łowcy niedźwiedzi, najodważniejszy mężczyzna w okolicy — mówiono o nim. Wielkie, kosmate zwierzę, przewieszane przez grzbiet Sotego, dzida jeszcze tkwi w cielsku, ojciec prowadzi konia za uzdę, ręce ma skrwawione, a twarz nosi ślady niedźwiedziich pazurów. To było na podwórzu. Psy jak oszalałe zerwały się z miejsc, gdy tylko poczuły zapach niedźwiedzia, a ze wszystkich domów wybiegli ludzie. Mówili wszyscy naraz, podnieceni. Taka olbrzymia bestia! Prawdziwy niedźwiedź-rozbójnik. I takiemu Brede dał radę sam, mając do pomocy tylko swojego starego niewolnika. Wtedy Ravn był dumny ze swego ojca, tak dumny, że mało mu piersi nie rozsadziło. Ale spójrzcie teraz na tego dzielnego łowcę niedźwiedzi! Siedzi tu oto i zestruguje wiórki, a rusza się nie więcej niż szary kamień w polu.

Ravn chodził po izbie, tam i z powrotem. W końcu znowu przystanął naprzeciwko ojca, ale tym razem starał się trzymać z daleka od kupki wiórków.

— Gorm mówi, że potrzebuje ludzi na swój statek — powiedział cicho.

Brede wciąż poprawiał lemiesz pługa i próbował dłonią, czy drewno jest już dostatecznie gładkie i ostre. Roześmiał się.

— O, chyba nietrudno zwerbować ludzi na takie wyprawy! Im mniej rozumu mają pod

czaszką, tym większa odwaga rozpiera piersi tym wojownikom.

Twarz Ravna zrobiła się czerwona. Zagryzł wargi.

— Wkrótce skończę przecież piętnaście zim, ojczu.

Brede zebrał wióry i wrzucił do paleniska. Zajęły się natychmiast i w małej izbie pojaśniało. Postać gospodarza rzucała ogromny cień na ścianę. Oczy mu pociemniały.

— Myślę, chłopcze, że ty się całkiem poważnie wybierasz na tę wyprawę. Tak jakbyśmy jeszcze przez wiele lat nie mieli dość roboty w gospodarstwie! Kto będzie orał ziemię? Kto będzie ujeżdżał konie i budował dom, gdy ty jak oszalały będziesz się szastał po tej Frankonii? Myślisz może, że pola obsieją się same, że krowy wydoją się do wiader, a owce same wrócą z gór i same pięknie wejdą do garnka? Nie, chłopcze, czas najwyższy, żebyś oprzytomniał!

— Ojczu, masz przecież niewolników do roboty!

— Niewolników, niewolników! — Brede odchrząknął. — Tak jakby to niewolnicy mieli dziedziczyć majątek! Nie! Ten, kto ma być gospodarzem, musi się nauczyć rozumieć ziemię, zanim zacznie myśleć o awanturnych podróżach! Wikińskie wyprawy są dla synów høvdingów i innych lekkoduchów, którym nie chce się zginać krzyża nad pługiem.

— Gorm wyruszy swoim statkiem zaraz po najbliższej pełni księżyca, ojczu...

— No to się go nareszcie pozbędziemy! Nikt w okolicy nie będzie zadowolony, że siedzi w domu, jak długo będzie tylko podzegał do kłótni i bójek. Byłoby najlepiej, gdybyśmy mogli się pozbyć także Grima, jego braciszka, który tak lubi rządzić. I zapamiętaj sobie, synu: jak długo ja jestem gospodarzem w tym domu, będziesz słuchał tego, co ja mówię. Po pierwsze, nie będzie żadnego żeglowania!

Helga stała w drzwiach swego domu.

— Wejdz — szepnęła. — Zobaczysz moją ślubną wyprawę!

Tir wśliznęła się do środka. Ingolf spał po obiedzie, zmęczony ciężką pracą na roli. Chrapał, aż dudniło. Kilkoro młodszego rodzeństwa Helgi siedziało na podłodze i bawiło się. Ale dopóki ojciec leżał na ławie, zachowywali się cichutko jak myszy. Starsze dzieci pomagały matce w oborze.

— Musimy iść do alkierza — powiedziała Helga. Przeszły na palcach przez izbę do małego, ciemnego pokoiku w szczycie domu. Helga zapaliła tranową lampę, rzucającą blade, migotliwe światło na sufit i ściany.

— Patrz, tu stoją rzędem wszystkie skrzynie wyprawne.

W kącie Tir zobaczyła jedną skrzynię z żelaznymi okuciami i dwie zbijane drewnianymi gwoździami. Wyglądały dosyć biednie. Helga uklękła. Otworzyła jedną i wyjęła z niej pęk kolorowych krajek. Zajaśniało kolorami — niebieskim, czerwonym, zielonym.

— Zobacz, utkałyśmy to z matką na krosnach! — Uniosła lampę, by Tir mogła wszystko dobrze obejrzeć. Tir gładziła palcami piękne wzory. Ona także umiała tkać krajki. Babcia Gaelion ją nauczyła, gdy miała zaledwie sześć lat.

— Musisz zręcznie tkać, żebyś miała co nieco w swojej skrzyni, kiedy nadejdzie pora — mówiła babcia mrugając porozumiewawczo. — Konkurenci przyjdą, zanim się obejrzysz!

Helga otworzyła drugą skrzynię: ta była wypełniona sztukami szarego samodziału. Matka tkała go w długie zimowe wieczory. Miała dużo córek, więc prawie bez przerwy siedziała przy krosnach.

— A popatrz tu... — Policzki Helgi płonęły. Otworzyła skrzynię z żelaznymi okuciami. Były tam garnki i patelnie, mnóstwo czerpaków i naczyń niezbędnych w kuchni.

— Wcale nie tak mało wiem o prowadzeniu gospodarstwa — chwaliła się Helga. — Umiem piec chleb, gotować rosół, robić sery, prażyć, tkać i szyć ubrania. Tak, tak, Starkodd bierze nie byle jaką żonę, tak mówią wszyscy w osadzie. I wiesz? — Roześmiała się głośno. — Ojciec da mi w posagu kilka jagniąt. Będę mogła sama wybrać. Ale najbardziej się cieszę,

że będą mogła zabrać Rimragge.

Wtedy Tir zauważyła, że w skrzyni leży drewniana lalka Helgi.

— Lalkę też ze sobą bierzesz?

Helga zawstydziła się. Radość w jej oczach przygasła.

— Oprócz moich jagniąt i Rimragge nie będę nikogo znała we dworze Starkodda — powiedziała patrząc w podłogę.

Tir pamiętała z czasów spędzonych w Norwegii, jak bardzo się tam bała dzikich zwierząt. Tej zimy, kiedy panował głód, widywała wilki, przemykające pod lasem jak szare cienie. W zagrodach położonych bliżej lasu zdarzało się, że całe stada wdzierały się aż na podwórze. W pewnym gospodarstwie wilki w biały dzień zaatakowały małego chłopca, który bawił się przed domem. Ludzie musieli walczyć łopatami i widłami, żeby przepędzić te bestie.

Niedźwiedzia nigdy nie spotkała, gdy pasła krowy jarła. Ale rozmawiała o tym z wieloma małymi niewolnikami. Strach rozszerzał im oczy, gdy opowiadali o wielkim, kosmatym zwierzu, który przed atakiem na upatrzoną ofiarę kołysząc się stawał na tylnych łapach.

Zawsze gdy musiała paść krowy w lesie, była śmiertelnie przerażona. Zdawało jej się, że w ciemnym, sosnowym gąszczu zewsząd patrzą na nią płonące ślepia dzikich zwierząt. Coś szumiało i szeleściło w gałęziach i krzewach paproci. Wielkie, porośnięte mchem głązy przywodziły na myśl niedźwiedzie bary. Opowiadano historię małej niewolnicy, która została rozszarpana przez niedźwiedzia na strzępy...

Na Islandii nie było żadnych dzikich zwierząt. Owce pasły się na rozległych łąkach, ciągnących się aż po horyzont. Chodziły po łąkach latem i zimą, w każdą pogodę. Nigdy nie widziała tak wielkich stad owiec jak tu. Gdy większe dwory zbierały swoje stado, zbocze góry robiło się białe, jak pokryte śniegiem. Trudno było taką gromadę utrzymać razem i zdarzało się nierzadko, że jagnięta gubiły się w górach albo wpadały w skalne rozpadliny. Nigdy jednak nie trzeba się było bać niedźwiedzia czy wilka. Pasterzom owiec na Islandii wiodło się dobrze.

Tir opuściła wrzeczono na kolana. Wszędzie pachniało latem. Pachniała rosnąca trawa i wełna na owcach, i ciepła, dobra ziemia. Brede sprzedał swój statek i kupił za to ponad pół setki owiec. Niektóre jagnięta były jeszcze takie malutkie, że Tir musiała je przenosić na rękach, gdy chciały przejść na drugi brzeg strumienia albo na drugą stronę zbocza. Chodziły krok w krok za swoimi matkami, machały małymi pędzelkami ogonków i pobekiwały słabiu-tkami, żalonymi głosikami. Przyglądała im się, jak chodziły spokojnie po łące między jaskrami i wysokimi, suchymi trawami.

Położyła się w trawie, ręce podkładając pod głowę. Nad sobą widziała rozległe, błękitne, letnie niebo. Obłoki płynęły w lekkim wietrze i przypominały przedziwne istoty. Wysoko w górze krążył duży ptak na mocnych skrzydłach. Był to pewnie jakiś orzeł albo jastrząb. I nagle przypomniała sobie opowieść o błękitnym ptaku. Zza delikatnych obłoków wyraźnie mignęła jej twarz babci Gaelion. Jej białe włosy falowały na wietrze.

— Była sobie raz — szeptał głos babci — piękna, mała księżniczka, która siedziała i przędła złotą nić, jak to księżniczki mają we zwyczaju. Mieszkała w złotej wieży, a na zewnątrz pełniło straż trzydziestu najszlachetniejszych rycerzy Irlandii, uzbrojonych w miecze, w lśniących hełmach na głowach. Jakiś czarodziej przepowiedział mianowicie, że księżniczka utraci kiedyś wolność i że nikt nie zdoła jej uratować, jeśli nie będzie znał czarodziejskiego zaklęcia.

Pewnego dnia nagle chmura przesłoniła niebo, a morze zrobiło się szare i zimne jak stal. Nad górami rozległy się grzmoty, niebo rozdzierały błyskawice i zygzaki iskrzącego ognia.

Wkrótce ukazał się okropny smok. Rozdziawił swoją potężną paszczę. Snop ognia buchał aż do nieba, paląc drzewa i krzewy wokół zamku. Rycerze walczyli z wielkim poświęce-

niem, ale ich miecze łamały się jak patyki w zetknięciu z potworem. W końcu smok porwał księżniczkę. Chwycił ją w swoje pazury i umknął na północ, do kraju, w którym słońce nigdy nie świeciło, gdzie ziemia pokryta była lodem, gdzie szalały wielkie śnieżyce, a dzikie zwierzęta wyły w mrocznych lasach. Tam zaniósł smok księżniczkę, bo tam schował w kamiennym zamczysku wielki i niezwykły złoty skarb.

Gdy zbliżali się do zamku, księżniczka usłyszała płacz i jęki. To były dzieci, które smok porwał i uwięził. Chciał, by utkały wielki dywan do jego paradnej komnaty. Dywan miał być czarny jak rozpacz i czerwony jak krew i miał przedstawiać obrazy wszelkiego zła, jakie tylko istnieje na świecie.

Księżniczka płakała i prosiła o łaskę, ale nic nie pomagało. Musiała prząść i tkać od brzasku poranka aż do chwili, gdy mrok wieczoru spływał na zamek. Tkała, przędła nici i znowu tkała. Przez cały czas była niemal ślepa od łez. Ale w tym, co tkała, nie było ani postaci walczących rycerzy, ani ludzkiej nędzy, ani cierpienia. Z jej tkaniny wyłaniał się powolutku niezwykły, błękitny ptak. Księżniczka była zdumiona, ale zarazem tak przerażona, że ukryła głowę w ramionach, drżąc jak liść na wietrze. Bała się, co uczyni smok, gdy to odkryje.

Po chwili w powietrzu rozległ się dziwny szum. A gdy uniosła głowę zobaczyła, że ptak wyrwał się z tkaniny i krąży nad jej głową. Śpiewał przy tym pięknym głosem:

— Przysłała mnie lud irlandzki. Przynoszę wolność ukrytą w moich silnych skrzydłach. Przez całutki rok poszukiwaliśmy zaklęcia, które zwróciłoby ci wolność. Szukaliśmy w chmurach, szukaliśmy w lasach i w leśnych jeziorach. Szukaliśmy też w oczach małego, irlandzkiego chłopca. I tam znaleźliśmy słowa, które przywiodły mnie tutaj. Siadaj na moim grzbiecie i zaraz ruszamy z tej lodowatej krainy.

Wtedy poczuli oddech smoka. Jakby ogień palił im skórę. Zadudniło i załopotało w powietrzu i ponad wierzchołkiem wzgórza ukazała się potężna paszcza.

— Trzymaj się mocno — powiedział ptak. — Trzymaj się mocno moich skrzydeł.

Smok bluznął w niebo snopem iskier i kłębem siarkowego dymu. Obłoki przemieniły się w języki ognia. Ale ptak był szybszy nawet od południowego wiatru. Unosił się coraz wyżej i wyżej. Lecieli w śnieżnej zadymce i w gęstej mgle, musieli walczyć z wielkim gradem i lodowatym wichrem. Teraz księżniczka uświadomiła sobie, do czego tak bardzo tęskniła przez cały czas, gdy smok więził ją w zamku.

— Gdzie jest słońce? — zawołała. — Co się stało ze złotym słońcem?

Gdy wymówiła te słowa, niebo i ziemia zadrżały. Bramy kamiennego zamczyska zapadły się z wielkim hukiem i zaczęły się stamtąd wydobywać małe i duże kawałki złota. To był ten złoty skarb, którego pilnował smok! Kawałki złota wirowały w powietrzu i powolutku układały się na niebie w duże, błyszczące słońce.

Wtedy smok skurczył się i z potężnym łoskotem wpadł do morza, bo żaden smok nie może ścierpieć słonecznego światła. Z zamku wybiegły tłumnie setki więzionych tam dzieci — biegły do wolności i do lśniącego słońca.

Ruszyły przez morze razem z księżniczką, prosto do Irlandii. A tam, na brzegu, stał lud irlandzki i czekał. Okrzyki radości słyhać było coraz wyraźniej, a we wszystkich wsiach były dzwony. Ale najradośniej lśniły oczy małego chłopca, który siedział na ramieniu swego ojca. Jego oczy miały kolor letniego nieba.

Tir patrzyła na płynące obłoki. Pograżała się w marzeniu, jak w błękitnym spojrzeniu małego chłopca.

Ocknęła się, gdy ktoś zawołał jej imię. Zboczem wzgórza pędził Reim. Wymachiwał rękami i krzyczał:

— Teraz jadą! Teraz! — powtarzał łapiąc oddech. — Teraz jadą!

— Kto jedzie? — Tir na widok jego czerwonej, spoconej twarzy musiała się roześmiać.

— Orszak weselny!

Tir zerwała się na równe nogi. Pobiegła za Reimem na szczyt wzgórza, skąd rozciągał się rozległy widok na całą okolicę. Wiadomość okazała się prawdziwa. W dole posuwał się orszak weselnych gości. Jechali na koniach w pięknych uprzężach, podzwaniali dzwoneczkami, machali kolorowymi wstęgami. Kobiety ubrane były w niebieskie albo czerwone suknie, nosiły korale i piękne ozdoby na piersiach. Mężczyźni byli nie mniej wytworni, w białych, lnianych koszulach i kolorowych kurtkach ze zdobionymi srebrem mieczami u pasa. Były tam także dzieci. Tir długo patrzyła na wystrojone małe dziewczynki z rozpuszczonymi włosami i przepaskami na czołach, dumnie siedzące na koniach. Jakież były ładne i promienne! Mężczyzna w opończy, w środku orszaku, to musiał być sam pan młody. Był wysoki, łysy jak kolano, ale za to z bujną, rudą brodą. Wyglądało na to, że nie żałuje sobie ani mięsa, ani miodu, bo wydatny brzuch kołysał się w rytm końskich kroków.

Z szumem i hałasem orszak weselny zbliżał się do zagrody Ingolfa. Gospodarz stał na dziedzińcu i witał gości, ale panny młodej nigdzie nie było widać.

— O, jak się cieszę, że nie jestem dzisiaj w skórze Helgi — powiedziała Tir.

Reim nie przestawał się wyśmiewać.

— Że też ktoś z własnej woli chce wziąć taką nieokiełznaną jałówkę! — Drażnił się z siostrą: — Gdybyś teraz była w domu, w Irlandii, to byś też już pewnie była mężatką.

Tir prychnęła.

— Nigdy nie wyjdę za mąż. Raczej poszłabym do klasztoru.

— Ale przecież siedziałaś i starannie tkalaś, żeby mieć co włożyć do panieńskiego kufierka. Nie próbuj zaprzeczać.

— To pewnie dlatego, że wszystkie inne robią tak samo. — Stała i owijała warkocz dokoła palca. Po czym powiedziała wolno: — Myślałam, że będziemy zawsze mieszkać razem z mamą i z tatą, i z naszym rodzeństwem...

Brat kiwnął głową i spuścił wzrok. Taaak, on przecież podobnie myślał.

Rzadko rozmawiali o domu w Irlandii. Tak było im lżej. Wiedzieli przecież, że stary Fulne miał rację. Nigdy nie słyszeli o żadnym niewolniku, który wrócił do ojczyzny.

Szli w milczeniu do Bredesgard. Wiatr szumiał nad pastwiskiem. Niemal zawsze śpiewał tę samą pieśń. Śpiewał o tym, jak to się szumi w koronach starych dębów i w liściach bluszczu, jak się szeleści w trzcinowych dachach i bawi z dzikimi kwiatami na zielonej wyspie Irlandii.

Helga siedziała na ławie pod krótszą ścianą izby. Miała na sobie jaskrawokolorowe ubranie, z przewagą czerwieni. Był to kolor radości i miłości. Jej niesforne, lekko kręcące się włosy stara Drumba umyła i uczesała tak pięknie, że lśniły jak jedwab w słońcu. Po raz ostatni Helga nosiła dziś włosy swobodnie spływające na ramiona. Już następnego dnia po ślubie będzie musiała włożyć czepek jak wszystkie zamężne kobiety.

— Wzniesź puchar, Helgo!

Helga podniosła róg napełniony miodem. Przez gęstą zasłonę dymu, unoszącego się z paleniska ku otworowi w dachu, ledwo widziała postać Starkodda. Siedział na długiej ławie w otoczeniu swoich gości weselnych. Był czerwony na twarzy, a po brodzie spływał mu tłuszcz z baraniego udźca, który ogryzał. Od czasu do czasu podnosił róg i wlewał miód do gardła.

— No, moja żono! — wołał przez izbę do Helgi. — Dostajesz bogatego i potężnego męża. Powiedz tylko, czego sobie życzysz. W taki dzień nie odmówię ci żadnego подарunku!

Helga siedziała milcząca wśród swoich druhen. Chwilami miała wrażenie, że zadymiona izba się kołysze. Obcy goście śpiewali i krzyczeli, a służące i niewolnice biegały tam i z powrotem z miskami pełnymi mięsa i rogami z miodem. Jej młodsze rodzeństwo wzięwszy się za ręce tańczyło wokół paleniska. Dzieci to pojawiały się, to znikwały w tumanach dymu, jak przedziwne, niezemskie istoty!

Helga popatrzyła na starą Drumbę. Jej zgarbione plecy pochylały się nad dymiącymi garnkami z mięsem. Tak przestała w domu Ingolfa całe swoje życie. Kiedyś miała proste

plecy, była zwinna i gibka jak gałązka łożyny, myślała Helga. Kiedyś biegła przez podwórze. Szybko i lekko, w tamtych czasach, gdy była młoda i została jako niewolnica przywieziona z Norwegii. A może Drumba zawsze była taka niezgrabna i ciężka? Ludzie urodzeni w niewoli przeważnie byli tacy. Nie mieli oni przeszłości, ani przyszłości.

— Wzniesź puchar, Helgo!

Drumba nie miała lekkiego życia tu, w zagrodzie Ingolfa. Była jedyną niewolnicą i to na jej barki spadało mnóstwo ciężkiej pracy — gotowanie i pranie dla całej rodziny, w której było trzynaścioro dzieci. Helga przypomniła sobie przykre wydarzenie. Kiedyś ojciec uderzył Drumbę drewnianym polanem. Bo nie było wody w wiadrach, gdy wrócił z pola zgrzany i spragniony. Uderzył, a stare plecy Drumby przygięły się jeszcze bardziej. Chwyła wiadro i najszybciej jak mogła biegła po wodę do rzeki.

— Źle postąpiłeś, Ingolfie — powiedziała wtedy matka. — Mamy tylko jedną niewolnicę. Powinieneś się lepiej obchodzić ze swoją własnością!

Znowu wszyscy podnieśli rogi.

— Wypij ze swoim mężem, Helgo!

Dziwne, że akurat teraz mogła myśleć o starej Drumby. Należała przecież do gospodarstwa, tak samo jak konie w stajni i owce na pastwisku. Przezywali ją garbuską...

Helga wstała. Policzki miała zarumienione od miodu.

— Chciałabym coś dostać — powiedziała cienkim głosem. — Żebym miała niewolnika, który będzie tylko mój.

Starkodd roześmiał się.

— Nietrudno będzie spełnić takie życzenie — powiedział. — Mam w domu wielu młodych i zdrowych niewolników. Musisz sobie tylko wybrać.

— Najbardziej bym chciała, żebyś jednego ze swoich młodych niewolników przysłał tutaj, do gospodarstwa ojca — powiedziała Helga. — Ojcu by się przydało, bo ja chciałabym zabrać ze sobą Drumbę.

Starkodd wybuchnął gromkim śmiechem.

— Twoja córka chyba nie ma całkiem dobrze w głowie — powiedział do Ingolfa, klepiąc go po plecach. — Mogłaby dostać, co by tylko chciała z tego złota, które mam w skrzyniach, a ona prosi o jakąś starą, niewolniczą skórę. Moja młoda żona, zdaje się, bardzo lubi żartować. Ale przecież wszyscy mówią, że szczerzy śmiech przedłuża życie, a tego mężczyzna zbliżający się do pięćdziesiątki może potrzebować.

Tuż po weselu okręty wikińskie wyszły z fiordu. Starkodd udawał się na wiking, jak to miał w zwyczaju od czasów, gdy jeszcze mieszkał w Norwegii. Na pokładzie trzech okrętów zabierał sześćdziesięciu ludzi. Przyłączył się do nich ze swoim okrętem młody Gorm Gissurson, syn høvdinga Gissura Lodinssona.

Tir i Reim stali na dziedzińcu, skąd rozciągał się widok na zatokę. Okręty z głowami smoków zawsze budziły w nich ponure wspomnienia. Podobne okręty napadały na wybrzeża Irlandii tamtego lata, kiedy zostali pojmani i wywiezieni daleko od domu jako niewolnicy.

Synowie høvdingów uzbroili się w kolczugi, hełmy i ostrą broń. Gromada małych chłopców z podziwem przyglądała się starszym braciom.

— Jeszcze tylko pięć lat, a będę miał dwanaście — mówił mały, piegowaty chłopczyk. — Wtedy wyruszę w świat, by zdobywać kraje i sławę. Spójrz, mam, na te piękne hełmy, spójrz na ostrą broń. Dużo bardziej bym chciał wyruszyć na piracką wyprawę niż nudzić się w domu. Popłynę przez morza i przywiozę skrzynię pełną złota i innego bogactwa.

— Dwie zdrowe ręce są wystarczającym bogactwem, mój synu — odrzekła matka krótko.

— Kobiety gadają zawsze o tym samym — oświadczył siedmiolatek i splunął przed siebie.

— Kto tak mówi? — zainteresowała się matka.

— Ojciec. I dziadek także.

Wieczorem Bergliot szukała i nawoływała Ravna. Potrzebowała go do pomocy w gospodarstwie.

— To dziwne, że się ten chłopak nie odzywa — mówiła. — Nie widziałeś go gdzieś, Reim?

— Ostatnio widziałem go razem z Ivarem nad zatoką, przy okrętach — odparł Reim.

Brede popatrzył znad swojego pługa, którym wciąż był zajęty. Rzucił nóż i gwałtownie wstał.

— Jeśli jest tak, jak przypuszczam — powiedział i uderzył pięścią w belkę u sufitu, aż zadudniło w całym domu — to nie musisz już wołać, Bergliot. Niezależnie od tego jak głośno krzyczysz, słyszy cię tylko wiatr.

Gdy Helga wyjechała, zrobiło się pusto. Tir tęskniła do jej śmiechu, do zabaw koło domu i na pastwiskach. Kiedy Helga tu była, Tir jakby nie zauważała, że w gospodarstwie jest tyle roboty. Teraz nastał czas, gdy dni były długie, a pracy wciąż pełne ręce.

Lato upływało na przygotowaniach do zimy. Przez wiele dni zbierali siano na halach. Brede i stary Fulne kosili, a pozostali szli za nimi i zbierali trawę. Innym razem kopali torf. Ładowali go potem na grzbiet Sotego i transportowali do zagrody, gdzie leżał przez wiele tygodni i suszył się na słońcu i wietrze.

Kobiety zajęte były przetwarzaniem mleka. Robiły sery z koziego mleka, ubijały masło z mleka krów. Nigdy krowy nie doiły się tak znakomicie jak tego pierwszego lata na Islandii.

Co dnia Brede wychodził na pola popatrzeć, jak zboże dojrzeje. Kręcił z niezadowoleniem głową, widząc chmury gromadzące się nad wzgórzami: znowu będzie deszcz. Zimny wiatr i deszcz nie wróżą dobrych zbiorów. Będą musieli pewnie kupić parę worków ziarna, gdy załadowane zbożem statki przybędą z Norwegii.

W miesiącu gdy łąki na halach kwitły najpiękniej, zmarł stary Fulne.

— W ostatnim czasie nie było z niego wielkiego pożytku — powiedział Brede. — Ale nikt by mnie nie zmusił, żeby mu wcześniej odebrać życie, jak to wielu czyni ze starymi niewolnikami.

Oboje z Bergliot żałowali go. Do grobu dali mu jego stary kościany grzebień i małą kamienną miskę. Ale bardzo pilnowali, żeby się to nie rozniosło po okolicy.

Tego lata marzenia i tęsknota Tir były silniejsze niż kiedykolwiek przedtem. Tęsknota nachodziła ją, gdy dotykała ciepłych ciał owiec albo gładziła konia po grzywie. Myślała wtedy o cielętach i małych jagniętach, o siwym żrebaku z białą gwiazdą na czole. Widziała je, biegające po bujnym pastwisku koło małej zagrody rodziców w Irlandii.

Tęsknota wracała, gdy patrzyła na małe dzieci Ingolfa bawiące się na podwórzu. Co tam z moim małym rodzeństwem, myślała wtedy. Czy Moira i Cara wciąż mają długie warkocze? A mały Roderic czy ma już wszystkie zęby?

Tęsknota przychodziła, gdy widziała starą Trane, siedzącą z garścią wełny i wrzecionem pod ścianą owczarni. Tak wieczorami siadywała babcia Gaelion. Ostatnie promienie słońca padały na jej srebrnobiałe włosy i na ręce szybkimi ruchami skręcające nić, kręcące wrzeciono wciąż i wciąż, bez ustanku. Z całej rodziny chyba najbardziej kochała właśnie babcie Gaelion.

Tęsknota i marzenia ogarniały ją, gdy widziała okręty na morzu. Patrzyła, jak odbijają się w wodzie — wyblakłe od słońca żagle łopotały na wietrze, dzioby prują fale z wielką prędkością. Wysoko nad masztami krążyły ptaki. Odprowadzały statki ponad lśniąca tafłę morza tak daleko, jak tylko mogły. Tir patrzyła na ptaki, dopóki ich skrzydła nie rozplynęły się w powietrzu i nie zlały w jedno ze stojącą nad morzem błękitną mgłą.

Nadeszła pora alltingu. Ingolf wybierał się tam z czterema synami i dwoma córkami na wydaniu. Brede zabierał ze sobą obu najstarszych synów i niewolnika Reima.

Do doliny tingowej było cztery dni drogi konno. Gdy wyruszyli, padał gęsty deszcz, a nad górami wisiała ciężka mgła. Czwartego dnia pogoda się trochę poprawiła, pojaśniało, a powietrze zrobiło się cieplejsze, błękitna mgiełka unosiła się nad brzoźowym lasem. Wjechali do szerokiej doliny, otoczonej wzgórzami i skałami. Między pastwiskami a polami lawy płynęła szeroka, spieniona rzeka. Pośrodku wznosiła się wysoka, pionowa skała. Była to Góra Praw, a u jej stóp, na równinie, rozciągał się plac tingowy. Wszędzie było pełno ludzi i koni. Ci, co przybyli z daleka, wznosili namioty pokryte płótnem; było też w dolinie wiele małych domków tak, że wszystko razem wyglądało jak mała osada handlowa.

Ting otwierano bardzo uroczyście. Jeden z høvdingów ogłosił, że miejsce obrad jest święte i że przez cały czas trwania tingu panować musi pokój. Nikt nie może chwycić za broń przeciw innym. Potem występował głosiciel praw. Recytował on obowiązujące w kraju prawa mocnym, czystym głosem. Wokół niego stali chłopci i słuchali ze skupionymi twarzami. Na tingu rozstrzygano wiele spraw — waśnie rodowe i spory między sąsiadami. Spędzili więc pod Górą Praw całą jasną, letnią noc.

Wielu przybywało też na ting jedynie po to, by spotkać się ze znajomymi z dalszych okolic.

— To jest gospodarz Brede — przedstawiał Ingolf. — Mój nowy sąsiad. Nie doszło jeszcze, na szczęście, między nami do nieporozumień, które trzeba by przedstawiać na tingu — śmiał się. — Przeciwnie, za rok wyprawimy wesele jednej z moich córek i najstarszego syna Brede.

Brede ucieszył się bardzo, gdy spotkał Asbjørna i innych chłopów, którzy wraz z nim opuszczali Norwegię. Wszyscy już zbudowali sobie zagrody i dobrze się czuli w nowym kraju.

Letnia noc była jasna i ciepła. Nikt nie myślał o spaniu. Ci, którzy nie uczestniczyli w sądach pod Górą Praw, kręcili się pomiędzy namiotami i straganami. A było co oglądać. Kupcy stali przed straganami i zapraszali przechodzących, pokazywali swoje towary. Były tam klatki z czarnymi sokołami, skóry białych lisów i ptasi puch, szare płótno, samodziały i piękna odzież, złote zapinki i koszyczki wyplatane z wikliny albo z końskiego włosia. Brede chodził między namiotami, bo słyszał, jak ludzie na placu tingowym opowiadali sobie o jakimś niezwykłym kowalu, który się tu pojawił. Brede musiał podkuć konia, a poza tym miał kupić parę drobiazgów dla Bergliot. Szedł więc w stronę, skąd dolatywał stukot kowalskiego młota, a Reim za nim.

W pewnej chwili usłyszeli dudniący głos:

— Zatrzymaj się, człowieku. Nie potrzebujesz pewnego zamka do swojej skrzyni? Złodzieje i oszuści czają się wszędzie.

Reim stanął jak wryty. Znał ten głos! Gdy się odwrócił, wprost nie mógł uwierzyć własnym oczom. Opoдал, przy maleńkim szałasie, stał Digralde. Wypełniał swoim potężnym ciałem prawie całe wejście. Przepasany był kowalskim fartuchem z umazanej sadzą skóry, a w rękach trzymał kowalskie szczypce. Skry się sypały i ogień trzaskał na palenisku, gdzie Digralde rozgrzewał żelazo.

— No nie, nigdy bym nie pomyślał, że kowal, którego szukam, to mój stary znajomy — zawołał Brede, także bardzo zdziwiony.

— Ludzie powiadają, że każdy jest kowalem swego losu — śmiał się Digralde. — Ostatniej zimy zmarł kowal nad zachodnim fiordem. Wtedy pomyślałem sobie, że machanie młotem to jest coś, z czym bym sobie na pewno poradził. — Pokazał im małą skrzyneczkę, zamykaną na klucz, którą chciał podarować Bergliot. — Nie lubię wykuwać broni — mówił. — Nie, najlepiej się czuję robiąc zamki. — Roześmiał się. — Żeby zrobić porządną zamek, trzeba nie tylko silnych rąk, ale i dobrej głowy.

Brede wypytywał o innych znajomych, którzy osiedlili się nad zachodnimi fiordami. A Digralde opowiadał. Vidur zaciągnął się na statek handlowy. Chciał pozostać wolnym człowiekiem i bardzo uważał, żeby się nie przywiązać do jakiej dziewczyny. Astrid wyrosła i z dnia na dzień robiła się ładniejsza.

— Jest coraz bardziej podobna do ojca — ciągnął Digralde z wesołym błyskiem w oczach. — Una również ma się dobrze, choć ostatnio robi się coraz grubsza w pasie...

Reim stał i przyglądał się sąsiedniemu straganowi. Jakiś młody mężczyzna sprzedawał tam złote zapinki. Dokoła niego zebrała się gromadka młodych dziewcząt i wyglądało na to, że kupca bardziej zajmuje przekomarzanie się z nimi niż handel. Szczypał je w policzki, mrugał w prawo i w lewo, podkręcając swoje pięknie zawinięte wąsy.

To musi być Irlandczyk, myślał Reim. Jestem pewien, że to Irlandczyk. Nosi takie samo ubranie jak ludzie w Irlandii.

Digralde roześmiał się.

— Zdaje mi się, że czytam w twoich myślach — powiedział i podprowadził Reima do kupca. — Nie chciałbym ci przeszkadzać, Bentein, akurat teraz, gdy tak się dobrze bawisz, ale ten mały to twój krajan. Myślałem, że wy dwaj mielibyście o czym pogadać.

Bentein uśmiechnął się pod wspianiałym wąsem i pozdrowił Reima po celtycku. Chłopcu wydawało się, że brzmi to jak piękna muzyka. Słyszał ojczystą mowę po raz pierwszy od czasu, gdy został uprowadzony z domu.

Bentein nie zdziwił się wcale opowieścią chłopca. Takie rzeczy zdarzały się niemal co dnia w okolicach, skąd Reim pochodził. Sam Bentein radził sobie nieźle. A to dlatego, że kobiety wikińskie lubiły go bardzo i chętnie mu pomagały, powiedział i mrugnął porozumiewawczo. Teraz żeglował jako kupiec na statku høvdinga Ossura Svarte.

— Pływasz aż do Irlandii... — zastanawiał się Reim.

— Właśnie stamtąd wróciłem — odparł Bentein. — Ale pewnie trochę potrwa, zanim znowu tam popłynę. Mam tu, na Islandii, narzeczoną.

Reim i Bentein długo jeszcze rozmawiali. Na koniec Bentein zebrał do skórzanego worka swoje rzeczy.

— Muszę zobaczyć, czy piwiarki mają co dobrego — powiedział. Ale zanim odszedł, pochylił się i szepnął Reimowi do ucha: — Jeśli się jeszcze kiedyś spotkamy, to wiedz, że na Benteinie możesz polegać. Już bywało, że pomagałem irlandzkim niewolnikom powrócić do domu! Ale o tym nikomu ani słowa!

Późnym wieczorem wielu ludzi zebrało się w namiocie Gudmunda Gamle. Mówiono o nim, że najlepiej na całej Islandii opowiada sagi. Poszli tam także Brede i Digralde wraz z wieloma innymi gospodarzami. Siedzieli dokoła starca z białą brodą i słuchali jego opowiadań o starych rodach w Norwegii. Opowiadał o bitwach i walkach, o morderstwach, aż słuchającym ciarki przechodziły po plecach.

Reim nie bardzo się orientował w norweskich rodach i nie bardzo nadążał za opowiadaniem z trudnymi do wymówienia imionami. Siedział i rozmyślał nad tym, co mu powiedział Bentein.

W ciągu następnych dni na placu tingowym odbywały się różne zabawy i zawody sportowe, z przeciąganiem liny, zapasami i innymi rozrywkami. W takich sportach nikt nie był w stanie pokonać Digraldego. Ludzie stali dokoła i aż usta otwierali z podziwu, gdy kładł na łopatki jednego przeciwnika po drugim. Dzięki temu sprzedał też wiele swoich kowalskich wyrobów. Gdy jednak rozpoczęły się zawody w biegach i skokach, spakował swoje worki.

— Nie mam tu nic do pokazania. Żaden koń, który niesie Digraldego na grzbiecie, nie dobiegnie pierwszy do mety. Poza tym człowiek, który ma zostać ojcem, robi się niespokojny jak pchła na rozżarzonego węgla — roześmiał się. Nim jednak odszedł, obejrzał jeszcze podniecające walki koni. Dwa młode ogiery były kopytami tak, że ziemia dudniła, a mężczyźni otaczali zagrodę ciasnym kręgiem, usuwając się, gdy walczące konie były zbyt blisko.

— Bierz go! — krzyczeli. — Gryź! Kop! — Stawiali srebrne pierścienie i monety na tego, który ich zdaniem powinien zwyciężyć.

— Ja bym potrzebował jeszcze jednego konia — powiedział Brede. — Tu, na Islandii, we wszystkich zagrodach i dworach jest przecież więcej koni niż ludzi.

Gospodarze rozmawiali z nim i śmieli się. Wielu chciało mu sprzedać piękne, małe źrebaki, które wzięli ze sobą na tingowe spotkanie. Brede zaglądał im w oczy i w zęby, sprawdzał, czy mają silne nogi. Pewien gospodarz z sąsiedniej osady chciał go koniecznie zabrać do swojego namiotu, gdzie mogliby kubkiem miodu przypiecztować handel.

— Muszę się wystrzegać picia — tłumaczył Brede. — Bo może się zdarzyć, że mnie kto oszuka i zamiast młodego źrebaka sprzeda mi starą szkapę. A wtedy dostałoby mi się od Bergliot, mojej żony!

Mimo to jednak Brede kupił konia u tego gospodarza. Był to niewielki, włochaty źrebak, siwy, ale przednie nogi miał czarne. Dobiwszy interesu Brede pociągnął parę solidnych łyków krzepkiego miodu. Od tego nie mógł się wymówić.

— A nie potrzeba ci jeszcze młodego niewolnika — zapytał chłop, szturchając Bredego poufale w ramię. — Mam tu świetny towar. — Wskazał na młodego chłopca, siedzącego przed wejściem do namiotu.

— Nie, dziękuję — odparł Brede. — Tymczasem wystarczy handlowania. Mam w domu dwoje młodych, zdrowych niewolników i jedną staruszkę.

— Zaczynają się wyścigi konne! — wołano na placu. Ingolf pospieszył tam natychmiast, dwaj jego synowie mieli brać udział w zawodach.

Gdy gospodarze rozmawiali, Reim podszedł ostrożnie do młodego niewolnika.

— Jesteś Norwegiem? — zapytał. — A może Celtem? — dodał, gdy chłopiec nie odpowiadał. Innych języków Reim nie znał.

Chłopiec patrzył przed siebie przerażonymi oczyma. Najprawdopodobniej pochodził z Arabii Skórę miał ciemną, a włosy lśniące i czarne jak skrzydła kruka.

Musi mieć bardzo surowego pana, myślał Reim. Zawsze najgorzej mają ci u wielkich panów. Pamiętał czasy, gdy był niewolnikiem jarla w Norwegii. Było ich tam trzydzieści osób w domu dla niewolników i mieli nadzorcę, który pilnował każdego ich kroku. Wiedział także, że ciemnoskórzy niewolnicy, tak odmienni od mieszkańców Północy, musieli znosić więcej razów i wyzwisk niż inni.

— Masz — powiedział Reim, wciskając chłopcu w rękę kawałek chleba, który dała mu Bergliot. — Potrzebujesz go zapewne bardziej niż ja.

Teraz twarz chłopca się rozjaśniła. Jego oczy przypominały ciemne, błyszczące kamienie. Stuknął palcem w pierś.

— Ahmed — powiedział.

To było jego imię.

Coraz większe tłumy gromadziły się, by zobaczyć wyścigi konne, w których miało uczestniczyć wielu młodych mężczyzn. Był wśród nich Grim, syn høvdinga, a także wielu innych synów znacznych rodów. Konie rozdymały chrapy i biły kopytami, podniecone już chciały ruszać. Rosły mężczyzna z batem w dłoni próbował utrzymać je w równym rzędzie.

W końcu uniósł dłoń w górę. Ziemia zadudniła, konie poszły galopem po gładkiej równinie. Mknęły w dzikim pędzie. Gdy jeden z jeźdźców nie zdołał się utrzymać na koniu i spadł mu pod nogi, rozległy się krzyki i głośne przekleństwa. Ingolf wyciągał szyję: jego syn osiągnął właśnie metę. Wprawdzie nie był pośród pierwszych, ale też i nie ostatni. Było tak jak wszyscy oczekiwali — Grim zwycięskim gestem wyrzucił ręce w górę. Reim widział w myślach siebie, jak rusza do wyścigu na Stelli, siwym źrebcu, który został w domu na Irlandii. Teraz Stella jest już duża i z pewnością wyższa i ładniejsza niż małe koniki mieszkańców Północy.

Bolesny cios w plecy wyrwał go nagle z rozmarzenia.

— Ciebie, rudogrzywy, już gdzieś widziałem!

Reim skulił się. Patrzył wprost w dumną twarz o zimnych, stalowobłękitnych oczach. Jasne włosy spływały na ramiona. Chłopak siedział wysoko w siodle na niespokojnym gniadoszu. W rękę trzymał kij, którego używał do popędzania konia. Teraz Reim spróbował, jak smakuje jego uderzenie.

— Jakim sposobem taki niewolniczy bachor jak ty się tutaj dostał? — szydził jasnowłosy chłopak. — Musisz mieć chyba siedmiomilowe buty. Kiedy cię widziałem ostatnio, byłeś niewolnikiem u mojego krewniaka, jarla, w Norwegii. Ojczy! — zawołał do mężczyzny o czarnych włosach i czarnej brodzie, okrytego opończą. — Zwróć uwagę na tego niewolnika. On jest własnością naszego rodu, ale udaje, że nie wie, gdzie jest jego dom.

Reim skulił się jeszcze bardziej, a zimny pot oblał jego ciało. Jak w koszmarnej śnie widział siebie z powrotem w Norwegii, na dworze jarla. Był czas zimowej ofiary i synowie høvdingów gościli we dworze.

— Patrzcie, tam idzie niewolnik! — wołali. — Chodźcie, zabawimy się z niewolniczą skórką! — Bili go i pastwili się nad nim, aż ogarnęły go mdłości, a w oczach pojawiły się czarne pląty. Od tamtej chwili strach, że znowu spotka kogoś z ludzi jarla, towarzyszył mu stale jak cień.

— Kto jest twoim właścicielem? — spytał Narve, poszturchując go kijem.

Reim zaczął się jękać. Nie mógł z siebie wydobyć słowa. Ale na szczęście na placu wzywano zawodników do nowej gonitwy. Narve uśmiechnął się złowrogo i rzucił w stronę Reima:

— Na pewno się jeszcze spotkamy, niewolniku. Może się do tego czasu nauczysz mówić po norwesku!

I odjechał, by przygotować swego konia do startu.

Reim umknął co sił w nogach. Serce biło mu jak młotem, miał wrażenie, że jego odgłos odbija się echem od gór otaczających plac gier. Schował się za plecami Bredego i nie oddalał się od niego ani na krok.

Kopyta znowu zadudniły. Jeźdźcy pędzili galopem przez plac, a obłok kurzu unosił się wysoko w powietrze. Usłyszeli, że ktoś nagle zawołał:

— Tym razem spotkasz swojego zwycięzcę, Grimie Gissursson!

— Kim jest ten jasnowłosy młodzieniec w niebieskiej opończy? — zapytał Brede.

— Należy do rodu jarla w Norwegii — odparł Ingolf. — Ma tu, na Islandii, objąć wielki dwór ojca. Na imię mu Narve.

Brede śledził gniadego konia, pędzącego naprzód z falującą grzywą. Był to bardzo silny koń i świetnie wytrenowany. Bez wysiłku biegł obok siwego konia Grima.

I wtedy stało się coś nieoczekiwane. Niewielu to widziało, bo obłok pyłu przesłaniał i koni i ludzi. Gdy Narve miał wyprzedzić Grima, ten spiął swego konia i zastąpił mu drogę. Gniady ogier stracił grunt pod nogami i potknął się, a Narve przeleciał nad jego głową, zaplątany w swoją opończę. Ludzie, którzy ten wypadek widzieli, uśmiechali się setnie, ale Narve zacisnął pięści.

— Gorzko tego pożałujesz, Grim! — Z furią wskoczył na konia i odjechał.

Reim był zadowolony, że Narvego trapią teraz inne problemy niż szukanie zbiegłych niewolników. Miał nadzieję, że jego ojciec, potężny høvding, również zapomni o tym, co się stało. Gdy wyjeżdżali z tingowej doliny, ostrożnie odwrócił głowę, by popatrzeć na orszak høvdinga. Zobaczył wtedy, że Ahmed jest przywiązany do gniadego ogiera. Więc jednak został sprzedany. Ale nie dostał się, niestety, do lepszego pana.

Skoro tylko wrócili do domu, trzeba było sprowadzić z gór owce do strzyżenia. Potem przez wiele dni stali nad zwierzętami zgięci w pół, z nożycami w rękach. Wełna spadała do wielkich koszy, które Brede wynosił jeden po drugim. Tir nie mogła się powstrzymać od

śmiechu, gdy patrzyła na wystrzyżone owce, wychudłe i jakby sine w ostrym letnim słońcu.

Gdy brzozowe zarośla zaczęły się złocić i czerwienić, nastąpiła pora gręplowania i przędzenia.

— Gdybym zebrała razem wszystkie owce, z których wełnę w swoim życiu uprędlam, to białe stado zalałoby cały dziedziniec — powiedziała stara Trane. — Bywa, że śni mi się to po nocach. — Dzień mijał za dniem, a ona wciąż siedziała z wrzecionem w ręku. Przędlik kręcił się i kręcił w kółko aż do późnego wieczora. Mrugała swoimi małymi, krótkowzrocznymi oczami, gdy Tir przysiadła się do niej na pieńku.

— Tę samą robotę będę też pewnie robić i na tamtym świecie, jeśli tam kiedyś trafię.

— Czy ty wcale nie potrzebujesz odpoczynku, Trane?

— Och nie! Niewolnica nie może chyba odpoczywać, ani w tym życiu, ani w przyszłym — uśmiechnęła się bezzębными ustami. — Może Freja albo która inna bogini zechce mieć nową suknię. Wtedy stara Trane będzie musiała znowu chwycić za wrzeciono.

W alkierzu siedziała Bergliot nad warsztatem tkackim. Uderzała w płóczę za każdym przełożeniem nici. Stuk, stuk, stuk — rozlegało się co chwila. Musiała wykorzystywać światło, nim dni staną się zbyt krótkie.

Przez cały czas, gdy tak siedziała, jej myśli błądziły wokół najmłodszego syna. Miała nadzieję, że bogowie z Walhalli ochronią go, gdziekolwiek się znajduje. Znała sporo kobiet w sąsiednich gospodarstwach, które na zawsze straciły swoich synów — wikingów.

Odpędzała od siebie złe myśli i pochylała się nad tkaniną, z której uszyje nową kurtkę dla Bredego. Życie jest zadziwiające. Mija już prawie trzydzieści lat od dnia, gdy ona i Brede spotkali się po raz pierwszy. Uciekła jej wtedy krowa i Bergliot biegła za nią w dół zbocza, aż spódnica i warkocze furczały. Nagle od drugiej strony wbiegł na pastwisko młody mężczyzna, złapał krowę za łeb i trzymał mocno. Gdy potem przyprowadził jej krowę na powrozie, w jego oczach czał się łobuzerski uśmieszek.

Bergliot uśmiechnęła się. Od tamtej pory byli tylko oni dwoje. Zostali dotknięci chorobą, którą ludzie nazywają miłością. Ale w pierwszym okresie wcale nie było lekko. Wszyscy we wsi wiedzieli, że pochodziła z niewolniczego rodu, mimo że już od czterech pokoleń żadnych niewolników w nim nie było. Jej pradziadek ze strony ojca był wyzwolencem. Otrzymał wolność za to, że wiernie służył swemu panu.

Brede był najmłodszym synem bogatego gospodarza. Zdawało jej się, że jeszcze teraz widzi starego ojca, jak siedzi na honorowym miejscu i wylicza swoich przodków od czternastego pokolenia. Syn, który chciał się połączyć z rodem niewolniczym, nie otrzymał jego błogosławieństwa. Jediną osobą, która pomogła młodemu, była krewniaczka ze strony matki — Aud, nazywana mądrą.

Jest wielka różnica między ludźmi wolnymi i niewolnymi, myślała Bergliot. Ale widocznie kiedyś, na początku świata, bogowie postanowili, że tak ma być.

Popatrzyła na Tir, pochyloną nad wrzecionem. Żał jej było dziewczynki. Wiedziała, że jej własna rodzina przybyła do Norwegii w ten sam sposób co Tir. Zostali wprowadzeni przez wikingów gdzieś we Frankonii. To dlatego ona sama miała czarne włosy i ciemną cerę.

Bergliot po raz ostatni uderzyła w krosna i podniosła się w zamyśleniu, rozcierając zdrętwiałe plecy.

— Ale późno — ziewnęła. — Myślę, że wszystkim oczy się już zamykają.

Wtedy usłyszeli głośne i przeciągłe pianie koguta. Bergliot odwróciła twarz i nasłuchiwała.

— Gdy kogut pieje o tej porze doby, to wróży pożar — powiedziała wstrząśnięta dreszczem. Nim się położyła, starannie zgarnęła żarzące się na palenisku węgle i przysypała je popiołem.

Ze wszystkiego, co się zdarzyło w tym strasznym dniu, gdy zostali wprowadzeni z

rodzinnego kraju, Tir najlepiej zapamiętała zapach spalenizny. Bywało, że budziła się w nocy, bo palenisko za mocno dymiło. Siedziała wtedy drżąca na posłaniu i szeroko otwartymi oczami wpatrywała się w ciemność. Widziała znowu, jak płomienie obejmują wieżę klasztorną. Widziała ptaki z krzykiem zrywające się z gniazd, słyszała trzask płonących gałęzi w koronie starego dębu, zanim drzewo runęło na ziemię, a snop iskier wzniósł się w niebo. Potem ogień przerzucił się do ich zagrody. Płomienie z wielką szybkością objęły słomiany dach. Mała izba, ława, na której sypiała, jej drewniana lalka, krosna matki, piękne skrzynie, rzeźbione przez ojca... Wszystko padło pastwą syczących jęzorów ognia. Dym wżerał się w nos i w oczy.

I oto zdarzyło się coś, co przypomniało jej tamtą grozę i przerażenie z nową siłą. Wracała do domu z gromadką owiec, które rozbiegły się zbyt daleko po halach: Nad wzgórzami wisały ciężkie chmury. Tir bała się, że za chwilę spadnie deszcz, dlatego skakała jak zając między kamieniami i krzewami paproci, poganiając przed sobą zwierzęta małą, brzoźową gałązką.

Nagle zatrzymała się i zaczęła wciągać powietrze. Rozpoznawała zapach ciężkiego dymu, który nie pochodził z ogniska. Zaczęła drzeć na całym ciele. Nie było wątpliwości — to pożar! Ciemne obłoki dymu zbierały się nad północną krawędzią wzgórz. Tir wbiegła na najbliższy pagórek tak szybko, jak tylko nogi mogły ją nieść. Stała tam zdyszana, łapiąc powietrze. Teraz widziała wszystko. W dolinie; po drugiej stronie wzgórz, płomienie były wysoko w górę. Płonął dwór høvdinga Gissura Lodinssona. Słyszała dobiegające stamtąd krzyki i wołania. Dorośli i dzieci biegali po dziedzińcu jak przerażone zwierzęta. Najmniejsze dzieci czepiały się matek. Niewolnicy i służba starali się wyprowadzać zwierzęta z chlewów i stajni. Krowy rozbiegły się na wszystkie strony, a mały chłopczyk w samej koszuli krzyczał rozpaczliwie, bo zbliżał się do niego byk z pochyloną głową i chciał go wziąć na rogi.

We wnętrzu płonącego domu znajdowali się ludzie. Biegali i zbierali różne rzeczy, które następnie wyrzucali przez drzwi. Mieli też skrzynie i kufry, do których pakowali co się dało. Pośrodku dziedzińca było źródło. Ludzie stali w szeregu, podawali sobie wiadra z wodą i próbowali gasić ogień. Ale wyglądało to tak, jakby ktoś wlewał po parę kropel wody w ziejącą ogniem paszczę wielkiego smoka. Wiatr wiał i płomienie rozprzestrzeniały się nadzwyczaj szybko. Od północnej strony, gdzie paliło się najmocniej, mężczyźni hakami i bosa-kami usiłowali rozwalić ścianę, by w ten sposób powstrzymać ogień. Płomienie zaczynały się już przerzucać na drugą stronę torfowego dachu. Nagle rozległo się stamtąd przeraźliwe wycie. Mężczyźni rzucali narzędzia i uciekali w popłochu. Wielka belka podtrzymująca dach załamała się z łoskotem i wpadła w płonące morze ognia, wzbijając w górę snopy iskier. Dworu Gissura nie można już było uratować.

Wkrótce nad wzgórzami rozległ się grzmot, po czym lunął deszcz. Tir stała w strugach wody, jakby nogi nie chciały jej dalej nieść. Powoli osunęła się na ziemię.

Raptem całe niebo rozdarła potężna błyskawica i zrobiło się jasno. W tym samym momencie rozległ się tętent końskich kopyt i jakiś jeździec przemknął tuż obok Tir. Burka powiewała na wietrze, a włosy w ostrym świetle błyskawicy wydawały się prawie białe.

Wiele mówiono w okolicy o tym wydarzeniu. We dworze palenisko znajdowało się pośrodku dużej izby, a tymczasem najpierw zaczęła się palić północna ściana. Znajdowała się ona przy stromej, wysokiej skale i tam ostatnimi czasy strażę były najsłabsze. Niewolnicy dostali wiele batów za to, że nie pilnowali dworu jak należy. Gissur chodził tam i z powrotem, kłął i chlastał batem gdzie popadło. Ale niewolnicy jęzeli i tłumaczyli się, że nigdzie we dworze nie widać obcych śladów. To piorun musiał uderzyć w dach.

Aud mrużyła oczy.

— Myślę, że temu piorunowi pomogła ludzka ręka — mówiła. — Tyle było morderstw i niezgody między wielkimi rodami, jeszcze w Norwegii. Byłoby dziwne, gdyby na Islandii miało być inaczej. Nigdy nie porzucą myśli o zemście. Pomyśl, że przecież mogliby siedzieć

spokojnie w swoich dworach i nie trzymać stale mieczy w rękach.

— Tak, byłoby to korzystne również dla nas wszystkich — odparł Brede.

We dworze Gissura tymczasem niewolnicy uprzętały resztki po pożarze. Pewnego dnia przybył z Norwegii statek z drewnem budulcowym. Nim zaczęto na polach zbierać zboże, nowy dom był gotowy.

Wkrótce po pożarze Reim i Tir przeżyli w lesie przykrą przygodę.

Były to pracowite dni po powrocie mężczyzn z polowania w górach. Tir pomagała dzielić mięso przeznaczone do suszenia, a Reim razem z Bredem czyścił skóry. Na halach było teraz pięknie. Promienie słońca przeświecały przez liście i gałązki, trzmiele grały w zaroślach paproci, a krzewy jagodowe pełne były soczystych, niebieskoczarnych owoców. Ooo! Ależ to smakowało! Całymi dniami zbierali jagody, jednak czasami więcej szło do ust niż do drewnianego wiadra Bergliot.

— Wyglądasz, jakbyś przytulała twarz do jagodowych krzewów — powiedział Reim i pokazał w uśmiechu niebieskie zęby. Zmierzali w kierunku domu i nieśli oboje ciężkie wiadro. Szli przez bród i przez bagno, gdzie puszyste kwiaty wełnianki kołysały się na cienkich łądkach niby małe śniegowe kulki. Las był jak wyłoczony i pełen cieni. Słońce chyliło się ku zachodowi.

Wtem usłyszeli tętent końskich kopyt.

— Ciii! — szepnął Reim. — Ktoś jedzie. — Pociągnął za sobą Tir w gęste zarośla. Siedzieli cichutko jak myszy i szeroko otwartymi oczami przyglądali się jeźdźcowi w burce. Ten zatrzymał się tuż przy nich i poił konia w małym, sączącym się tu strumyku.

— Na świętego Patryka — szepnął Reim. — To przecież Grim, ten, który zabrał mi mój łuk!

Syn høvdinga miał i teraz łuk przewieszony przez ramię. Na tle jasnego drewna wyraźnie widoczne były znaki runiczne, świadczące, kto był prawowitym właścicielem broni. Reim aż zadrżał. Chciał się zerwać i odebrać swój łuk. Ale Tir chwyciła brata za ramię.

— Zbliża się jeszcze jeden!

Znowu przypadli do ziemi. Drugi jeździec zatrzymał się nic dalej niż o rzut kamieniem od nich. Tir przyciskała dłonią usta, by zdławić krzyk. Jeździec bowiem przyłożył strzałę do cięciwy i mierzył w stronę, gdzie stał Grim. I wtedy go rozpoznali. To był Narve!

Trzasnęła złamana gałązka, Grim odwrócił niespokojnie głowę i rozejrzał się dokoła. Błyskawicznie uskoczył w bok i dosiadł konia. Strzała trafiła w ziemię, tuż obok przednich nóg konia i drżała przez chwilę.

— Tym razem chybiłeś, Narve! — zawołał triumfująco. — Masz zwyczaj czaić się jak wilk po nocy. Nie zdziwiłbym się, gdyby wyszło na jaw, że to ty podpaliłeś nasz dwór!

— Co do tego nie mylisz się tak bardzo — krzyknął Narve w odpowiedzi. — Tylko że nie ma nikogo, kto by to mógł poświadczyć na tingu.

Po czym zawrócił konia i pogalopował przed siebie.

— Poczekaj tylko, niech no jeszcze raz skrzyżują się nasze drogi! — wołał za nim Grim.

Zimny wiatr szarpał dachy z torfu w Bredesgard. Bergliot dręczyły ciężkie i smutne myśli. Chodziła jak nieprzytomna. Czasami jakby nie dostrzegała ludzi wokół siebie.

Bywało, że stawała wieczorami nad samym brzegiem morza i godzinami wpatrywała się w fale, które w bryzgach białej piany rozbijały się o szkiery. Wiatr od gór szarpał wielką wełnianą chustką, którą nosiła na ramionach. Stała tak, póki gęsta ciemność całkiem jej nie ogarnęła, póki jej szara postać nie stopiła się w jedno z kamieniami i górami.

Tir i Reim stali na dziedzińcu Bredesgard.

— To już cały rok minął, odkąd jesteśmy w tym kraju — powiedział Reim.

Tir przytaknęła. Dwa lata temu uprowadzili ich wikingowie i uczynili niewolnikami. Nie chciała o tym mówić. Myśl o tym chowała w najciemniejszym zakamarku swego serca.

— Czy ty się modlisz do świętych?

Tir westchnęła. Każdego ranka, gdy tylko słońce wzeszło, i każdego wieczora, gdy tonęło w morzu, odmawiała pacierze do świętego Patryka, który opiekował się ludem Irlandii, by mogli jak najszybciej wrócić do ojczyzny. Ale on, jak dotychczas, nie wysłuchał jej modlitwy.

Reim wyjął zza pazuchy jakiś drobny przedmiot i osłaniał go dłonią, by wschodzący księżyc nie mógł oświetlić tego, co pokazywał siostrze. Był to mały kawałek drewna, na którym Reim wzdułż i w poprzek wyrył jakieś dziwne znaki.

Tir poczuła, że robi jej się słabo. To były runy! Czarodziejskie, tajemne znaki!

— Chodź ze mną — szeptał Reim. — Chodź ze mną do Świętej Góry!

Pobiegli kamienistym stokiem wzgórza przez porośnięte mchem głązy, przedzierali się przez zarośla, aż dotarli do zbocza, gdzie Reim uczył się sztuki run.

— Słuchaj — powiedział tak cicho, że słowa prawie całkiem zagłuszał wiatr. Pociągnął siostrę za wielki głaz, w którego cieniu byli zupełnie niewidoczni. — Słuchaj tych słów:

*Niech słońce ani gwiazdy nie rozjaśnią ciemności,
Niech ogień nie zapłonie na palenisku,
Niech dziecko się z matki nie narodzi,
Niech ziarno nie zakiełkuje w ziemi,
Dopóki Patrie i Sunniva,
Tir i Reim
Nie wrócą przez morze do Irlandii.*

Tir marzła. Zrobiła w ziemi zagłębienie i deseczkę z runami przykryła ziemią i mchem. Przez chwilę patrzyli sobie w oczy. Poczuli jakąś niezwykłą siłę. Potem pobiegli w stronę domu. Kiedy znaleźli się już na dziedzińcu, zaczął padać drobny, zacinający deszcz. Na północy, nad górami, przewalał się grzmot.

Bergliot siedziała przy krosnach, gdy Reim zdyszany wpadł do izby.

— Powiadają, że daleko w morzu widać okręty — wołał. — Zmierzają wprost do naszego fiordu!

Bergliot poprawiła czepek i wybiegła na dwór. Przesłoniła dłonią oczy. Jesienne słońce świeciło tak mocno, że tafła morza lśniła jak najczystsze złoto.

Okręty było już widać całkiem wyraźnie. Daleko na horyzoncie kołysały się na falach jak wielkie morskie ptaki. Bergliot poznawała głowę potwora na dziobie pierwszego statku.

— Frei niech będą dzięki — szepnęła. — Wrócili!

Pobiegła szybko do izby, gdzie Brede siedział przy stole i jadł.

— Musimy zaraz biec nad fiord. — Policzki jej płonęły z podniecenia. — Nasz syn wrócił...

Brede zamierzał właśnie pociągnąć łyk miodu z rogu. Opuścił jednak ramię. Popatrzył na żonę, a oczy mu pociemniały.

— Musisz iść sama — powiedział. — Nie chcę być tym, który pierwszy wita powracających z wyprawy wikingów i rozbójników. Plecy moje zgarbiły się tego lata, bo musiałem pracować za dwóch, gdy mój młody syn hulał po świecie!

Bergliot знаła swego męża na tyle dobrze, by wiedzieć, że nie powinna go prosić dwa razy, bo to się na nic nie zda. Zauważyła jednak, że ręce mu drżą, gdy podnosił róg do ust.

Poszła sama. W dół, po łagodnym skłonie wzgórza, aż do zatoczki, gdzie zazwyczaj przybijały okręty. Na brzegu zebrał się już tłum ludzi. Bergliot znała prawie wszystkich.

Przeważnie były to matki synów w tym samym wieku, co chłopiec, na którego ona czekała. Zdawało się, że ich serca biją w jednym rytmie, gdy nie odrywały wzroku od paszcz potworów, wieńczących dzioby okrętów. Zdawało się, że te wieczorne chwile trwają całe lata.

W końcu okręty weszły do zatoki.

— Czy wszyscy wrócili? — wołały kobiety. — Odpowiedzcie nam!

Wypatrywały swoich wśród uzbrojonych chłopców i mężczyzn na okrętach. Zaczęły schodzić na ląd. Bogom niech będą dzięki! Tam jest Ivar, a tam Tor, i Leiv i Sigbjørn. Gorm Gissurson roześmiany i dumny zbiegł po desce trapu. Na jego piersi lśniło mnóstwo złotych ozdób, których nie miał, gdy wyruszał w świat. Jego matka również stała na brzegu i obejmowała go teraz czule.

Bergliot przyciskała ręce do piersi. Dławił ją płacz. Gdzie jest Ravn? Gdzie jest jej najmłodszy syn?

Na ląd znoszono teraz mary, pokryte czerwonymi narzutami. Wiking Starkodd wykrzykiwał nazwiska tych, którzy na nich spoczywali. Było ich pięciu. Bergliot poczuła ból w sercu. Trzech z nich ledwo skończyło piętnaście lat.

— Walczyli dzielnie — obwieszczał wiking. — Teraz mieszkają w Walhalli, w królestwie Odyna.

Gdzie jest Ravn? Gdzie jest jej mały, nieposłuszny synek?

Tam, tam idzie! Frejo, dobra bogini życia! Tam idzie!

Ravn schodził po trapie, podtrzymywany przez dwóch dorosłych mężczyzn. Policzki miał wychudłe, a ciemne oczy płonęły w trupiobladej twarzy. Bergliot pobiegła do chłopca.

— Wróciłeś! — powiedziała radośnie i chwyciła go za opończę.

Wtedy zaczęła krzyczeć. Opończa odsunęła się i matka zobaczyła, że tam gdzie powinna być ręka, trzymająca miecz, został tylko kikut.

W Bredesgard nastąpiła długa, ciężka zima. Ravn leżał blady, wykrwawiony na ławie. Nie bardzo chciał rozmawiać o swojej wikińskiej wyprawie, ale powoli usłyszeli w końcu, co się tam działo.

Z Islandii Gorm pożegłował najpierw do Norwegii, gdzie miał krewniaków. Zebrało się tam wiele okrętów, które około sobótkowej nocy wzięły kurs na południe.

Ravn stawał na mostku razem z wikingami, którzy już wielokrotnie bywali na wyprawach. Byli to silni mężczyźni o twarzach niewzruszonych jak kamień. Nosili żelazne hełmy i kolczugi. Gdy okręt przybijał do obcych brzegów, oni atakowali pierwsi. Unosili topory wysoko nad głowami i wydawali z siebie przejmujące, wojownicze okrzyki.

— Patrzcie! — wołali widząc, że młodzi chłopcy się wahają. — Patrzcie, tak to się robi!

Podnosili topory i z rozmachem rąbali. Krew lała się na ziemię. Powietrze wypełniał krzyk.

Tego lata Ravn myślał wiele o tym, co mówił Digralde. Nigdy by nie przypuszczał, że wojownicy mogą być tak okrutni. Dawniej nie myślał o obcych z dalekich krajów jako o ludziach. Teraz widział w ich oczach przerażenie, słyszał rozpaczliwe wołanie o pomoc; codziennie patrzył, jak umierają starzy i młodzi. Wojownicy byli jak roje szarańczy, spadające na ziemię; pożerali i niszczyli wszystko, co napotykali po drodze, tratowali obsiane zbożem pola i dojrzewające łąki. W wiecznej pogoni za rzeczami, które mogliby zrabować, palili dwory i zagrody, uprowadzali bydło. Widział, jak brano do niewoli chłopców w jego wieku. Wiązano ich i rzucano na dno okrętu. Leżeli tam i płacząc błagali o litość, a tymczasem okręty mknęły ku nowym celom.

Po pewnym czasie Ravn zaczął chorować. Z trudem przełykał jedzenie i coraz częściej musiał się przechylać przez reling. Wielu młodych wikingów czuło się tak samo. Unikali nawzajem swego wzroku. Nikt nie chciał być tchórzem ani okazać słabości. Trzeba być twardym jak stal. Spójrzcie na wikinga Starkodda! On sam jeden wyciął w pień wszystkich

Franków, broniących wejścia do domu bożego, w którym było mnóstwo skarbów. Starkodd będzie miał o czym opowiadać, gdy wróci do domu!

Gdy Ravn wyruszał na wyprawę, marzył, że wróci do domu z ogromnym stosem złota. Ale jedyna rzecz, jaką udało mu się zdobyć, to była niewielka, złota broszka, zerwana z piersi małej dziewczynki. Było to w pewnej frankońskiej wsi, którą wikingowie spalili. Dziewczynka leżała na ziemi i wyglądało jakby spała z czarnymi włosami skłębionymi na karku. Cienutka strużka krwi wypływała spod grzywki. Wtedy zobaczył coś błyszczącego na jej koszuli, pochylił się, szybko zerwał broszkę. Ale nie nacieszył się nią zanadto. Zimny metal czuć było śmiercią. Był pewien, że z tą broszką spadło na niego przekleństwo.

Gdy nikt nie widział, Ravn wycierał oczy rękawem. Nie chce już tu dłużej być, myślał z dreszczem obrzydzenia.

Zło było jak narastająca fala, która zgarniała wszystko po drodze, wciąż rosła i stawiała się coraz potężniejsza. Nikt nie miał odwagi się przeciwstawić. Ravn także nie zdobył się na taką odwagę.

— Gdybym miał tyle siły — płakał — żeby stanąć przed zbrojnymi wojownikami i powiedzieć, że nie chcę już więcej brać w tym udziału...

Ale nie miał tyle siły.

Pod jesień zawrócili do domu i pewnego dnia, gdzieś na Morzu Irlandzkim, przybili do brzegu. O świcie wymknęli się na ląd i ukryli za wysokimi krzewami. Raptem na ścieżce obok pojawił się orszak jeźdźców ubranych w szerokie płaszcze. Konie dźwigały wielkie skrzynie.

— Tym razem mamy szczęście — szepnął Starkodd. — To są chrześcijanie. Poznają po białych krzyżach na płaszczach. Wcale bym się nie dziwił, gdyby w tych skrzyniach wieźli złoto i kosztowności. Chodźcie! Wkrótce złoto będzie nasze!

Rozległ się jego przejmujący krzyk i w tym samym momencie grupa zbrojnych wojowników przedarła się przez krzaki i napadła na spokojnie podążający orszak.

Ale stało się coś, czego nikt nie oczekiwał. Spokojni mnisi mieli pod płaszczami kolczugi i ostre miecze. Błyskawicznie zawrócili konie, zrzucili płaszcze i chwycili za miecze. Topory błyskały w słońcu, strzały padały na ziemię jak gęsty grad.

I to się stało właśnie wtedy. Wielki wojownik z rudą brodą zatrzymał konia tuż obok Ravna, wpatrywał się uporczywie w chłopca płonącym wzrokiem. Był niemal dwukrotnie od niego większy. Wyglądał przerażająco, gdy unosił miecz do ciosu. Ravn uskoczył w bok, ale nie był, niestety, dostatecznie szybki. Ostrze zsunęło się z barku i wstrząsnęło całym ciałem. Ravn zaczął wrzeszczeć tak strasznie, że wydawało się, iż niebo i ziemia drżą. Ból i krew, dzikie krzyki, ludzie padający na zalaną słońcem ziemię z otwartymi ustami i wytrzeszczonymi oczami... I strach! Strach brał go w swoje ostre szpony i trzymał nieustępliwie. Długo leżał nieprzytomny, a potem nadeszły niekończące się dni i noce gorączkowych majaczeń. Jęczał i płakał, że nie zginął natychmiast od ciosu.

— Opanuj się, chłopcze — mówił Starkodd. — To prawda, że spotkał cię okrutny los, ale dziękuj boginiom, że pozwoliły ci zachować drugie ramię. Widziałem takich, którym powiodło się gorzej niż tobie.

Bergliot i Brede złożyli bogom zimową ofiarę. Zabili owcę i spryskali krwią jasne ściany z drewnianych bali. Dym zbierał się pod dachem i uchodził w powietrze pod rozgwieżdżonym niebem.

Brede wykrzywił twarz.

— Niech będzie przeklęty Odym, bóg wojny. Niech będzie przeklęty zły bóg, spragniony krwi i śmierci!

— Ciii! — szepnęła Bergliot, spoglądając na męża z przerażeniem. — Czy nie słyszysz, jak on się tam miota ze swoimi duchami ponad dachem? Czy nie słyszysz...

— Składam ofiarę bogini Eir — mruczał Brede zamknawszy oczy. — Ona wie wszystko o sztuce leczenia chorych, o chorobach i przywracających zdrowie ziołach. Jeśli nasz syn pozostanie przy życiu, to będzie to wielki dar od Eir i innych dobrych bogiń z domu bogów. Ale zima jest długa — jęknął, patrząc na wybladłą twarz syna. — Gdyby tylko wiosna chciała nadejść jak najprędzej...

Czekali. Cztery razy odmieniał się księżyc na niebie. W końcu jednak wiosna przyszła, jak zaskoczenie, i wszystko stało się inne. Drzewa pokryły się pąkami, a spływająca z lodowca woda tworzyła obok zagrody rwący potok.

— Patrz! — zawołał Reim i pociągnął za sobą Tir. — Chodź, zobaczysz, co się tu kryje w tym małym drzewku!

Tir podbiegła do brata i wyciągnęła szyję. Och, rzeczywiście! W niedużym gniazdku leżały cztery małe, nakrapiane jajeczka.

— Nie dotykaj ich! — ostrzegł Reim. — Bo wtedy matka nie wróciłaby do gniazda!

Stali długo, dziwili się, jakie ładne te jajeczka, i słuchali ptaszków ćwierkających w krzewach. Wtem Reim chwycił siostrę za ramię i wskazał na zachód, gdzie ziemia była świeżo zaorana i czarna.

— To przecież niemożliwe...

Przez pole szedł Ravn. Na szyi miał zawieszony wiklinowy kosz i zdrową ręką wrzucał w ziemię ziarno. Ziarna padały na czarną glebę jak małe płatki śniegu.

Brede stał na skraju pola. Stał wyprostowany, z odkrytą głową. Sianie ziarna to święta rzecz. Ale nigdy nie przeżywał tego tak jak tego wiosennego dnia na Islandii...

Nadszedł czas, gdy krowy miały się cielić. Bergliot chodziła niespokojnie po izbie, a z obory dochodziło bolesne muczenie.

— Przynieś trochę wody, Tir — poleciła. — Zaraz północ.

Tir pobiegła do rzeki. Księżyc jest dzisiaj jakiś dziwny, myślała. Wróży chyba coś złego. Popatrzyła na jego zimną twarz, odbijającą się w tafli wody. Przypomniała sobie baśń, którą opowiadała jej stara Trane. To było o dwojgu dzieciach, które pewnego wieczoru wyruszyły z drewnianym wiadrem po wodę i niosły je między sobą na długim drażku. Wszedł właśnie księżyc i świecił pięknie, jak zaczarowany. Dzieci stały i patrzyły. Patrzyły długo, bardzo długo, aż w końcu księżyc wziął je w swoje władanie i przyciągnął do siebie, w górę, na fali zielonkawego światła.

Tir z trwogą spojrzała w bladą tarczę. Zdawało jej się, że widzi tam i dzieci, i drewniane naczynie. Pośpiesznie napełniła wiadra i uginając się pod nimi szybko poszła do domu. Bergliot kazała jej prędko wracać.

Wówczas przypomniała sobie, że na kamieniu w zagajniku, gdzie odpoczywała, została krzesiwo. Nic się przecież nie stanie, jeśli wróci i zabierze je. Szybko pobiegła przez pole, znalazła krzesiwo i wsunęła głęboko za pazuchę. Gdy miała już wracać, usłyszała od strony wzgórz rzenie konia i wkrótce potem zobaczyła dwóch jeźdźców. Nie były to zwykłe chłopskie konie i nie żadni spóźnieni pijackowie wracali tak późną porą do domu. W jasnym świetle księżycy widziała lamowane futrem płaszcze i srebrne ozdoby. To byli Narve i Grim.

Muszę uciekać stąd jak najprędzej, kołatało jej przestraszone serce. Ale zaraz potem zakolatało jeszcze mocniej. Nie, nie! Jeśli się stąd ruszysz, zobaczą cię natychmiast!

Jeźdźcy zatrzymali się na chwilę, jakby się pozdrawiali, po czym ruszyli ku dolinie, mijając kamień, za którym schowała się Tir. Narve siedział na koniu dumnie wyprostowany. Jego profil rysował się ostro na tle żółtawej tarczy księżycy. W Norwegii był najwspanialszym kandydatem na høvdinga, jakiego ludzie mogli sobie wymarzyć. Teraz wyrósł i stał się jeszcze piękniejszy. Był wysoki, szeroki w barach, miał gęsty, jasny zarost, wcale nie jak chłopiec, który ma dopiero siedemnaście zim. Jedynym, który mógł się z nim równać, był Grim, jadący na koniu tuż za nim.

Obaj jeźdźcy wyglądali pośród tej zimnej nocy jak kamienne posągi. Gdy w końcu Grim się odezwał, jego słowa cięły ciszej jak miecz:

— Czekalesz pewnie, żeby zająć mnie od tyłu, jak to masz w zwyczaju, ty tchórzliwy psie! A co powiesz teraz, kiedy spotykamy się twarzą w twarz?

— Nie boję się twojej szpetnej gęby — zawołał Narve. — Może byśmy zakończyli nasz pojedynek!

Obaj zeskoczyli z koni. Błyskawicznie dobyli mieczy. Zaślnęły ostrza. Narve machał bronią tuż przed oczami Grima. Zgięty w pół skradał się zwinnie jak kot, kiedy szykuje się do skoku na ofiarę. Był szybszy od Grima, przypominającego raczej wielkiego, ryczącego niedźwiedzia, który czai się, oczekując ataku ze strony przeciwnika. Narve błyskawicznie uniósł miecz i ciął oburącz. Grim uskoczył i zasłonił się tarczą, która pękła pod ciosem. Narve chwycił topór zatknięty za pas. Złowrogo błysnęła stal. Grim krzyknął. Tir zamknęła powieki, ten krzyk przeszył ją lodowatym dreszczem. Zdawało jej się, że słyszy chrzęst łamanej kości. Gdy znowu otworzyła oczy, zobaczyła, że Grim ma na udzie olbrzymią ranę, z której bucha krew. Chłopak zatoczył się i oparł o konia. Narve tymczasem starał się wyrwać miecz z tarczy leżącej na ziemi, by mieć czym zadać kolejne uderzenie.

Tir czuła, że robi się jej słabo. Noc była jak zaczarowana, a ją otaczał zły, bardzo zły świat. I jak w koszmarnym śnie nie była w stanie ani uciec stąd, ani krzyczeć. Nic nie pojmując musiała patrzeć na wszystko, co się dzieje.

Grim wsparty o bok konia nie osuwał się na ziemię tylko dlatego, że z całych sił uczepił się siodła, jak ostatniej deski ratunku. Tir słyszała, że głośno łkał. Był zupełnie bezradny. Narve gotował się do zadania śmiertelnego ciosu. I nagle, gdy napastnik zbliżył się na odległość kroku, koń Grima wyrzucił przednie nogi i z całym rozmachem uderzył tak, że Narve upadł na plecy z błyszczącym mieczem w dłoni. Stoczył się w dół po zboczu i leżał rozplaszczony na mchu. Teraz znowu Grim miał przewagę. Chwycił łuk, napiął go i wycelował. Strzała poszybowała w powietrzu i z głuchym uderzeniem wbiła się w plecy Narvego. Szeroki uśmiech rozjaśnił twarz Grima. Wskoczył na konia i galopem ruszył z miejsca.

— Co tak późno? — zapytała Bergliot, gdy Tir wróciła nareszcie z wodą do domu. — Krowa ocieli się lada moment. Myślę, że tym razem będzie miała dwa. Zostawiłaś mnie tu samą z tym wszystkim. — Ale gdy zobaczyła twarz Tir, przestraszyła się. — Co z tobą, dziewczyno? Jesteś blada jak płótno i drżysz cała.

Tir nie była w stanie wydobyć z siebie słowa.

— Wydaje się, jakbyś spotkała i trolle, i karły — powiedziała Bergliot i pobiegła znowu do niespokojnie ryczącej krowy.

Przez kilka następnych dni padało i było mglisto.

Brede dosiadłszy Sotego wyruszył w góry. Towarzyszył mu Reim na Svartfocie, młodym koniu, którego Brede kupił na tingu.

To zdumiewające, jak szybko zmienia się pogoda w górach. Zaledwie kilka dni temu Brede był tam z synami. Łowili ryby w jeziorze i przywieźli do domu sporo pstrągów i łososi. Teraz nisko nad szczytami wisiała gęsta mgła. Wielka góra na północy wznosiła się ku niebu ciemna i potężna jak troll. Kałuże wody połyskiwały na czarnej, rozmokłej drodze.

— Widzę, że coś bieleje tam, wysoko! — Reim pokazywał na urwisty stok.

Brede przysłonił ręką oczy. Chłopiec miał rację. Wysoko na zboczu wspinało się kilka małych, białych zwierzątek. To musiały być te jagnięta, których bezskutecznie szukali w ciągu ostatnich dni. Niełatwo było je odnaleźć w tej mgle i niepogodzie. Reim zeskoczył z konia i pobiegł w stronę stoku. Był bardzo zwinny, a po skałach wspinał się jak kozica. Zatrzymał się dopiero na samym szczycie i wołał w dół, do Bredego. Wymachiwał obiema rękami i coś pokazywał. Brede zrozumiał, o co chodzi, chwycił sznur upleciony z końskiego włosia, najmocniejszy jaki miał, i jał, w ślad za chłopcem, wspinać się wzwyż. Ściana była

gładka. Woda ściekała w szczelinach i rozpadlinach, znosząc wraz z sobą małe kamienie i żwir. Zdyszał się porządnie, nim dotarł do miejsca, gdzie stał Reim.

— Najmniejsze owce na pewno nie będą mogły zejść o własnych siłach — powiedział Brede kręcąc głową. Dość daleko od nich, na skalnej półce, stało małe jagnię nie mogąc się ruszyć ani w przód, ani w tył. Pobekiwało rozpaczliwie i spoglądało na ludzi błyszczącymi oczyma.

Brede przywiązał Reima liną w pasie.

— Bądź ostrożny! — powiedział. Zaparł się nogą o wielki kamień i obiema rękami chwycił sznur, aż mu żyły nabrzmiały. — Wracaj szybko, chłopcze. Trzeba dużo siły, żeby tak trzymać...

Reim schodził w dół, krok za krokiem. Balansował między ziemią a niebem, chwilami wisiał w powietrzu, nim znalazł oparcie dla stóp na wąskiej, skalnej półce.

— Już je mam! — zawołał wreszcie. — Teraz możesz minie wciągnąć!

Brede poślizgnął się, gdy zaczął ciągnąć linę. Nie jestem już młodzieńcem, myślał. Męczy mnie to bardziej, niż przypuszczałem. Gdy Reim z owieczką w objęciach stanął w końcu obok niego, Brede długo ocierał pot z czoła.

Uśmiechnął się potem i potargał Reima za włosy.

— Wiem, chłopcze, że bałeś się śmiertelnie, ale mimo wszystko zuch z ciebie.

Zebraли całe stadko i ruszyli w drogę powrotną: stromym zboczem w dół, a potem przez pola lawowe, poprzecinane spływającymi z lodowca strumieniami. Najmniejsze jagnię Reim trzymał pod kurtką.

— Gospodarzu — rzekł przeciągle. — Co trzeba zrobić, żeby niewolnik został wolnym człowiekiem?

Brede był zmęczony długim dniem.

— Gospodarz sam o tym decyduje — powiedział krótko. — Większość nigdy nie wyzwala swoich niewolników.

Żał mi tego chłopca, myślał Brede. Wspaniałe dzieci to irlandzkie rodzeństwo. Ale jeszcze upłynie trochę czasu, zanim będą całkiem dorośli.

— Patrz, robi się pogoda — powiedział tylko. — Lada moment wszędzie księżyc.

Bergliot wstała od krosien i zebrała włóczkę do koszyka. Nieoczekiwanie usłyszała stukanie do drzwi. Kto to może być tak późno? W drzwiach stanęła Aud.

— Brede w domu?

— Pojechał z niewolnikiem zbierać zabłąkane owce, ale oczekuję go lada moment z powrotem. Wejdz, proszę, do środka. Niezdrowo tak stać w przeciągu.

Oczy Aud były koloru stali.

— Znosi się na niepokoje — powiedziała. — Czyż nie mówiłam, że ciągnięcie za sobą do Islandii tych dwoje niewolników sprowadzi nieszczęście? Należeli do jarla i przemyśliwują tylko nad tym, jak się zemścić na jego rodzice. Teraz Reim niewolnik zamordował Narvego, krewniaka jarla. Znalezione go dziś ze strzałą w plecach.

— To nie może być prawda. — Bergliot opadła na ławę. — Wczoraj przez cały dzień Reim był z nami.

— Złe wilki skradają się najchętniej pod osłoną nocy — powiedziała Aud. — Nie będzie to dla nas łatwa sprawa. Ojciec Narvego żąda, by niewolnik został powieszony, i chce pełnego odszkodowania za syna. Ale zapewne tym się nie zadowoli. Będzie chciał życia za życie. Musisz teraz dobrze pilnować twoich synów, Bergliot.

Bergliot zbladła. Trzymała się kurczowo krawędzi stołu i przez chwilę wydawało się, że zemdleje. Aud objęła ją.

— Czegoś tu nie rozumiem — szepnęła Bergliot. — Dlaczego są tacy pewni, że to Reim zabił Narvego? O ile znam tego chłopca, to nie jest on ani szczególnie mściwy, ani zbyt

odważny.

— Nie ma czasu, żeby się teraz nad tym zastanawiać — powiedziała Aud. — Krewniacy Narvego wkrótce tu będą.

Bergliot przywołała swoich synów z zagrody, gdzie ujeżdżali konie. Gdy usłyszeli, co się stało, przygotowali topory i dzidy i stanęli na straży przy otworze okiennym, niedaleko wejścia.

Po czym gospodyni zawołała Tir. Ale mimo że wołała coraz głośniejszym głosem, nie było odpowiedzi.

Tir zobaczyła Reima i Bredego niedaleko wielkiej góry. Reim jechał przodem. Siedział na Svartfocie i brzożową wtką poganiał przed sobą stadko owiec. Gdy się przybliżył, usłyszała, że wyśpiewuje coś radośnie na całe gardło. Była to wesoła irlandzka piosenka o pewnym człowieku, który wypił za dużo wina i gdy wracał z gościny do domu, pomylił konia z krową. Reim zobaczywszy Tir przyłożył dłoń do ust naśladując głos rogu. Był wesoły i zadowolony, ponieważ znaleźli wszystkie owce.

— Co ci jest, Tir? — zapytał ze śmiechem, gdy siostra stanęła przed nim bez tchu. — Pędzisz, jakby ci zły duch deptał po piętach. Czy coś się stało w Bredesgard?

Tir głośno łapała powietrze. Biegła tak, że o mało serce nie pękło jej w piersi. Wyjaśniając, co się stało, mówiła nieskładnie, urywanymi słowami, ale w miarę jak opowiadała, twarz Reima zmieniała się. Jakby cień pokrył jego czoło, oczy pociemniały i rozszerzyły się ze strachu.

— Musimy ruszać stąd jak najprędzej — mówiła Tir zacinając się. — Oni wysłali ludzi na poszukiwania. Zaraz tu będą konni, nie mamy ani chwili do stracenia.

— Ale Bergliot? I wszyscy inni w domu?

— Pomaga im Aud. Przysłała do Bredesgard broń i ludzi.

Reim patrzył na Tir, jakby jeszcze nie rozumiejąc.

— Przecież chyba nie myślą, że ja, irlandzki niewolnik jestem winien temu, że Narve leży zimny na ziemi!

— Takie rzeczy zdarzały się już dawniej — mówiła Tir i teraz poczęła się już na dobre niecierpliwie. — Zdarzało się i przedtem, że niewolnik zabija swego pana. Nikt nie będzie się specjalnie dziwił, że ktoś kto został uprowadzony z Irlandii przez wojowników jarla, chce się mścić mordując ludzi z jego rodu.

— Ale przecież wszyscy wiedzą, że tej nocy, kiedy to się stało, ja byłem w domu, u Bredego.

— Prawda jest ostatnią rzeczą, w jaką ludzie chcą wierzyć — jęknęła Tir.

Reim skulił się. Dopiero teraz zrozumiał, skąd to posądzenie.

— Ale co my ze sobą zrobimy? — zapytał przerażony i rozejrzał się dokoła. Daleko u stóp wzgórza stara niewolnica z sąsiedniej zagrody prowadziła małe stadko owiec. Poza tym na całym pustkowiu, jak okiem sięgnąć, nie było żywego ducha.

— Ja wiem, co powinniśmy zrobić — powiedziała Tir szybko. — Musimy iść na zachód, do brzożowych zagajników. Tam będzie łatwiej się ukryć. Damy sobie radę — szepnęła, żeby dodać Reimowi odwagi.

Tymczasem zbliżył się do nich Brede. Zbladł, gdy usłyszał, co się stało.

— Aud miała rację — powiedział. — Niepotrzebnie mieszałem się w sprawy jarla, ściągnę tylko na siebie nieszczęście. — Zeskoczył z konia i stanął obok Reima. — Jesteś w śmiertelnym niebezpieczeństwie, chłopcze. Spróbuj teraz bronić swojej skóry, jak potrafisz najlepiej. Boginie losu rozdzielają nasze drogi i pewnie się nigdy więcej nie zobaczymy. Ale powinniście wiedzieć, że przez cały czas byliście dla mnie bardziej jak własne dzieci niż jak niewolnicy.

Tir przytuliła się do Bredego. Płakała.

— Pozdrów Bergliot — wyszlochała. — Ja nigdy, nigdy was nie zapomnę, cokolwiek by się stało.

Reim odprowadzał wzrokiem Bredego i gromadkę owiec schodzącą w dolinę. Ale przecież nie miał czasu do stracenia. Odwrócił się więc na pięcie i pobiegł za siostrą po kamiennym pustkowiu. Wydeptana przez konie ścieżka wiodła u podnóża kamiennych zboczy i ostrymi zakrętami dochodziła do skalnej ściany. Biegli tą ścieżką, aż dotarli do wąskiej rozpadliny, porośniętej gęstym brzozowym zagajnikiem. W bladym świetle księżyca gałązki wyglądały jak znaki runiczne. Przystanęli na chwilę, łapiąc oddech. Niebo stało nad nimi rozległe i ciemne, a gwiazdy migotały niespokojnie.

Tir pokazała na zachód.

— Musimy się przedostać na drugą stronę kotliny. Tam płynie rzeka i jeśli zdołamy ją przejść, nim pogoń nadejdzie, będziemy uratowani.

Reim przytaknął i poszedł za siostrą. Nigdy przedtem nie był w tych stronach i nie znał drogi.

Biegli teraz w dół zbocza i przez zagajniki karłowatych brzoź. Kamienie były śliskie i wyglądowne przez deszcze, a gałęzie były ich po twarzach. Ale oni wiedzieli tylko jedno: że muszą biec dalej.

Nagle Tir stanęła i zaczęła nasłuchiwać. Drżąc wpatrywała się w mrok. Zdaje jej się, czy naprawdę słyszy koński tupot? Chwyciła Reima za ramię. Na skłonie wzgórza mignęły jakieś szare cienie. Nim zdążyli odetchnąć, jeźdźcy ukazali się nie dalej niż na rzut kamieniem.

— Odkryli nas! — Tir pociągnęła Reima w cień, za wielki kamień. Leżeli tam cichutko jak myszy. Tir słyszała jedynie bicie własnego serca, czuła pulsowanie w gardle i w dłoniach. Reim drżał jak śmiertelnie rażone zwierzę. Ze strachu odchodził od zmysłów.

— Reim, co robisz? Siedz spokojnie!

Nim zdążyła go powstrzymać, Reim wynurzył się z cienia i pobiegł pędem przez rzadki lassek. Kluczył między pniami drzew i głazami jak zając goniony przez rozwścieczone psy. Strzały zaświszczały w powietrzu. Tir poczuła kłujący ból w ramieniu. Jedno z ostrzy dosięgło i ją.

Ze swojej kryjówki widziała, jak Reim biegnie zygzakami, by uniknąć spadających niczym deszcz strzał.

— Parszywy niewolnik nie ujdzie daleko — wołał jeden ze ścigających i znowu napiął łuk.

Ludzie i konie stali bardzo blisko miejsca, w którym ukrywała się Tir. Ku swemu zdziwieniu uświadomiła sobie jednak, że widzą tylko uciekającego Reima. Strzała, która ją trafiła, przeznaczona była dla niego, gdy go zobaczyli wyskakującego zza kamienia.

— Nie strzelać — krzyknął ktoś z dołu. — Teraz go mamy!

Tir chwyciła się rękami za gardło. Czuła, że krtań zaciska się jej boleśnie. Muszę pomóc Reimowi, przemknęło jej przez głowę, bo go wykończą. Nie bądź tchórzem, mówiła sama do siebie. W twoich żyłach płynie irlandzka krew.

Ale jednocześnie coś jakby ją powstrzymywało. Teraz i tak nie mogę nic zrobić, myślała. Jeśli poczekam, będę mogła potem pobiec dalej i sprowadzić pomoc. Leżała więc bez ruchu, ukryta za wielkim głazem, wtopiona całkowicie w cień. Mężczyźni w dole klęli i złorzeczyli. Krzyki i błagania brata raniły ją jak cięcia nożem. Teraz go na pewno zabiją, płakała. Gdyby tylko święty Patryk chciał wysłuchać jej próśb!

Ostrożnie wysunęła się zza kamienia, by zobaczyć co się stało. Reim, ze związanymi rękami i nogami, leżał bez życia, przewieszony przez grzbiet konia. Ktoś rzucił komendę i orszak ruszył powoli na wschód.

Tir siedziała w ukryciu dopóki nie nabrała pewności, że nikt jej już nie odkryje, po czym podniosła się i zgięta we dwoje, skradając się jak kot, zaczęła przemykać od kamienia

do kamienia. W ten sposób dotarła do skraju lasu. Wtedy wyprostowała się i pobiegła przez rozległe pole lawowe. Biegła i biegła, czując tylko kamienie pod stopami, widząc góry dokoła siebie.

Trwało to tak długo, że w końcu nogi nie chciały jej już dłużej nieść. Wtedy, ku swemu zdziwieniu, zobaczyła wśród gór małą szopę. Ledwie widoczny dach z torfu stapał się prawie ze zboczem. Poznała, że było to miejsce, w którym zatrzymali się zaraz po przybyciu na Islandię. Rozejrzała się pospiesznie dokoła, ale nic nie wskazywało na to, że w pobliżu są jacyś ludzie.

Na wschodzie gwiazdy zaczynały już blednąć. Tir wczołgała się do wnętrza, znalazła jakieś okrycie ze skóry i zasnęła prawie natychmiast.

Obudziła się z uczuciem, że całe ciało ma pokłute. Z początku myślała, że to skóra, którą się okryła, pełna jest jakiegoś robactwa. Zerwała się z miejsca i zaczęła wytrzępywać włosy i ubranie. Wtedy poczuła, że ramię ma sztywne i opuchnięte, i prawie nie może nim poruszać. Strzała wbiła się głębiej, niż początkowo sądziła. Może jakiś kawałek żelaza został w ranie? Ból stawał się jeszcze większy, gdy próbowała włożyć buty. Palce, którymi chciała zawiązać rzemienie wokół kostek, były całkiem zdrętwiałe i bez czucia.

Z powrotem położyła się na ławie i szczelnie otuliła szalem. Gdyby tylko nie chciało jej się tak bardzo pić! Ale nie odważyła się wyjść na światło dzienne. Musiała czekać do wieczora, by ugasić pragnienie świeżą wodą z rzeki, przepływającej niedaleko szopy. Na szczęście nie była głodna, mimo że już prawie doba minęła od czasu, gdy po raz ostatni miała coś w ustach.

Myśl o Reimie dręczyła ją bardziej niż pragnienie. Może jej biedny brat już nie żyje? Poczucie bezsilności ogarniało ją jak gęsta mgła. Była sama i bała się.

Może byłoby lepiej, gdyby się jeszcze trochę przespała? Sen był jak dobry przyjaciel, otulający człowieka miękkim puchem zapomnienia. Zamknęła oczy i pogрузzyła się w cichej ciemności. Zrywała się kilkakrotnie. Zdawało jej się, że gdzieś daleko słyszy ujadanie psów. Innym razem wiatr szarpał zawiasami. Czy przyjdą po nią? Z wysiłkiem podnosiła się i wyglądała przez otwór w ścianie. Niebo znowu okryło się nocnym płaszczem i powoli wschodził księżyc.

I wtedy jakby usłyszała głos babci Gaelion dolatujący skądś z ciemności:

— Nigdy się nie cofaj. Masz dość sił, żeby iść dalej.

Głowa ciążyła jak ołów i Tir musiała się przemóc, żeby wstać. Jęknęła, gdy bolącym ramieniem uderzyła o ścianę.

Nagle stało się dla niej jasne, że to ciemne moce chcą ją ukołysać i pogрузzyć we śnie, w tym samotnym domu. Musi stąd uciekać, jeśli chce ratować życie.

Nad doliną świecił księżyc — ponura, blada twarz nad zastygłym krajobrazem. Góry rzucały długie cienie, a na jednej z nich, wysoko pod niebem leżał lodowiec jak wielka, zamrzła dłoń z palcami rozczapierzonymi ku dolinie. W tej części Islandii w ogóle nie było drzew, tylko potężne głazy, jak złowrogie olbrzymy, które zostały rzucone w dolinę na długo przedtem, nim pierwsi osadnicy przybyli na wyspę. Tir chowała się w cieniu olbrzymich kamieni za każdym razem, gdy wydawało się jej, że słyszy głos odmienny od poświstu wiatru. Dreszcz przeszedł jej po plecach, gdy w pewnym momencie ostry krzyk rozdarł ciszę. Ale to była tylko młoda przepiórka, która wyleciała z gniazda i tłukła skrzydełkami o kamieniste zbocze.

Płacz przeszedł w łkanie, gdy tak biegła po kamieniach i pagórkach. Rana bolała coraz bardziej, Tir czuła, że coś mokrego i ciepłego spływa w dół po rękawie kurtki. Nogi bolały ją także. Podeszwy zdarły się całkiem i biegła boso po ostrych kamieniach.

Ale najgorszy był strach. Szarpał nią i przenikał jak ostra stal. A więc miałoby zakończyć życie w taki żalony sposób? Jako niewolnicy w obcym kraju, jako ludzie pozbawieni

wszelkich praw? Żadne prawo nie chroniło niewolnika schwytanego na przestępstwie. Wiedziała jaka wtedy grozi kara. Tylko śmierć.

Żeby tylko zdążyć, kołatała jej w głowie natrętna myśl. Gdy wyobrażała sobie, co tamci mogli zrobić z Reimem, czuła, że ból rozsadza jej piersi. Co chwila przepływały jej przed oczyma straszliwe obrazy. Reim już kiedyś został ukarany. Dobrze pamiętała jego zmasakrowane plecy, wtedy w Norwegii, gdy nie dopilnował owiec jarła. Kiedy myślała o tym, zalewała się łzami.

A potem przypomniawszy sobie czas, gdy była w domu, w Irlandii. Kiedyś ojciec poklepał ją po policzku i powiedział:

— Trzeba nie być jakich burz, żeby cię złamać, moja mała dziewczuszko!

Ojciec miał rację. Nie poddała się, dopóki nie opanowała wszystkich liter, których Reim nauczył się w klasztornej szkole, nie poddała się, dopóki nie strzelała z łuku równie dobrze jak brat. Kiedyś mieli ciele, które zaniemogło i było tak chore, że wszyscy już stracili nadzieję na utrzymanie go przy życiu. Wtedy ona poprosiła, żeby wolno jej było się nim opiekować. Siedziała przy nim dzień i noc, i ani na chwilę nie przestawała wierzyć, że ciele wyzdrowieje. Gdy minęło lato, ono właśnie było najdorodniejsze pośród całego stada. Tir była bardzo dumna, gdy matka pogładziła ją po włosach i powiedziała:

— Jesteś z tej samej gliny co babcia Gaelion. Ona też nigdy nie ustąpi, kiedy coś sobie wbije do głowy.

A teraz, myślała Tir, teraz chodzi o więcej niż kiedykolwiek przedtem. Jeśli wszystkie siły niebieskie jej pomogą, zdoła uratować Reima.

Biegąc zaciskała pięści. Miejsce, do którego zmierzała, leżało o pół dnia konnej jazdy stąd. Gdyby jednak przez cały czas biegła tak jak teraz, zdążyłaby może na czas.

Zatrzymała się i z trudem łapała powietrze. Wtedy usłyszała, że w oddali coś szumi i bulgoce. A gdy potem przeszła na drugą stronę łańcucha wzgórz, zobaczyła, że w dolinie płynie rzeka. W matowej poświacie nocy wyglądała jak szeroka, pofałdowana wstęga. Tir pospieszyła na brzeg. Od wzburzonych mas wody wiało chłodem i wilgocią. Jak zdoła się przepawić na drugą stronę? Nigdzie nie było widać ani kładki, ani brodu. Rzeka burzyła się i pieniała i było tak jakby się śmiała z malutkiej ludzkiej istoty, bezradnie stojącej nad brzegiem.

Dziewczynka biegła wzdłuż rzeki. W pewnym miejscu odkryła przewężenie. Tędy droga na drugą stronę była tak krótka, że skacząc po kamieniach, które wystawały ze spienionej wody, zdołałaby może jakoś pokonać tę odległość. Ale nie miała odwagi wejść na śliskie głazy. Czuła się bezsilna. Cała była obolała z zimna i zmęczenia.

Wtedy dostrzegła pod nawisem skalnym jakieś cienie. Trwało chwilę, nim uświadomiła sobie, że są to konie. W chłodzie nocy nad ich ciałami unosiła się gęsta para.

Tir poszła do nich chwiejnym krokiem. Zwierzęta popatrzyły na nią błyszczącymi oczyma. Największy z nich, silny czarny źrebiec zbliżył się jak na wezwanie. Dziewczynka chwyciła go za grzywę i wskoczyła na plecy, po czym oparła twarz o ciepły, miękki koński kark. Była bardzo zmęczona. Jak dobrze leżeć i dać odpocząć obolałym nogom, gdy tymczasem koń pewnie i spokojnie rusza przed siebie.

Nagle usłyszała potężny szum rzeki i zauważyła, że koń idzie niepewnie, potykając się co chwila. Usiadła przestraszona i zobaczyła, że po obu stronach pieni się woda. A więc stało się to, o co się modliła: koń odnalazł kładkę przez rzekę. Chyba tą drogą chodził do domu. Kładka była wąska, koń z trudem stawiał przed sobą nogi. Ona sama nie mogła zrobić nic. Zamknęła więc oczy, obiema rękami trzymała się grzywy, a nogami mocno przywarła do końskiego brzucha.

Gdy mogła znowu się rozejrzeć, zobaczyła wzburzoną, dziką rzekę za sobą. Udało się! Przeszli! Dobry, miły koń! Znowu opadła na jego kark i pojechali dalej przez lawową równinę. Przed oczyma Tir przepływały różne obrazy. Jak przez mgłę widziała, że w oddali pod górą coś tańczy i porusza się. Nad ziemią snuł się dym i w zimnym blasku księżycy przybierał

przedziwne kształty.

Tir patrzyła z trwogą. Z ziemi wydobywała się para, coś się gotowało i żarzyło. Nagle strumień gotującej się wody wystrzelił w powietrze jak z pyska rozzłoszczonego, wielkiego smoka. Musieli przejechać obok tego miejsca. Czarny źrebiec wioził ją bezpiecznie naprzód. Spokojnie, ale ostrożnie przechodził obok kłębiącej się gorącej pary i zawsze stawiał nogi na pewnym gruncie.

— Biegnij — szepnęła Tir. — Bo nie jestem pewna, czy długo zdołam nie zasnąć i utrzymać się na twoim grzbiecie.

Uderzyła konia piętami w bok; ruszyli kłusem przez pustkowia i wkrótce dotarli do szczytu wzgórza. Tam koń się zatrzymał. W dole Tir zobaczyła osadę. Przed domami paliły się pochodnie.

— Teraz możesz wracać biedny, mały koniku — szepnęła Tir. — Dziękuję ci, że mnie tu przyniosłeś.

Dwór, do którego zmierzała, był największy w okolicy. Rozłożył się wysoko, na rozległym wzgórzu. Domy były jednak niskie, o ścianach i dachach z torfu. Na dziedzińcu dymiło gorące źródło.

Śpiewy i ochryple, pijackie głosy niosły się aż na podwórze, słychać było kobiece śmiechy. Cienka smużka dymu unosiła się w niebo. Tir zbliżyła się ostrożnie. Widziała tylko jednego strażnika, który leżał z tarczą na brzuchu i spał z szeroko otwartymi ustami. W dłuższej ścianie domu znajdował się otwór okienny. Tir podkraśla się tam i zajrzała do środka.

Z początku zobaczyła tylko pochodnie płonące wzdłuż ścian. Po chwili jednak zaczęła rozróżniać postacie i twarze. Mężczyźni siedzący na długiej ławie byli mocno pijani, wciąż wznosili rogi z miodem, krzyczeli i śpiewali. Niektórzy oparli głowy na stole i chrapali głośno. Na honorowym miejscu siedział Starkodd. W tej właśnie chwili nie wyglądał szczególnie imponująco. Twarz miał czerwoną, błyszczącą od potu. Śpiewał na całe gardło i walił co chwila pięścią w stół, aż piwo rozpryskiwało się na wszystkie strony.

Tir przyglądała się izbie bardzo dokładnie. Nagle drgnęła — pod krótszą ścianą zobaczyła Helgę. Z trudem poznała swoją małą przyjaciółkę, która nosiła teraz biały, lniany czepek i suknię z mnóstwem ozdób przy staniku. Widać było, że i ona próbowała miodu, żartowała i śmiała się, kołysała w przód i w tył. Tir nie wiedziała co zrobić, by się do niej zbliżyć. Stała i czekała tak długo, że w końcu prawie już straciła nadzieję. Ale w pewnym momencie Helga wstała i chwiejnym krokiem ruszyła ku drzwiom.

Helga wyszła z oświetlonej halli na ganek. Na zewnątrz panowały nieprzeniknione ciemności, nie widziała nawet własnej dłoni. Wtedy usłyszała szept. To wiatr, pomyślała, ale stanęła bez ruchu i zaczęła nasłuchiwać. Poczula jakby jakiś lodowaty oddech ogarniał jej płacy. Otuliła się szczelniej płaszczem i rzuciła się z powrotem do drzwi.

— Helga — rozległo się znowu. — To ja, Tir!

Teraz Helga zatrzymała się. Rozglądała się przerażona. Powoli oczy przyzwyczajały się do ciemności. Wypatrywała pod długą ścianą z torfu. Daleko od wejścia, pod narożnym słupem zamajaczyła jakaś mała postać, zlewająca się prawie w jedno z nocą i ciemnością. Tylko twarz bieląca zadziwiająco wyraźnie.

Helga łyknęła sporo złotego miodu, który wszyscy zebrani w halli popijali tego; zataczając się, szła powoli w stronę narożnika.

— Nie, to naprawdę ty, Tir. — Zaśmiała się jakby trochę niepewnie. W jej głosie było coś obcego. — Skąd ci to przyszło do głowy, żebyś ty, niewolnica, odwiedzała potężną panią, tak po nocy? Jeśli czegoś nie lubimy, to żebraków, którzy włóczą się koło naszych dworów. Właściwie mogłabym zawołać moich strażników. No, czego chcesz ode mnie?

Oczy Tir były rozbiegane jak oczy przerażonego zwierzęcia.

— Musisz mi pomóc, Helga — szeptała. — Słyszysz? Musisz mi pomóc!

Helga czuła, że kręci jej się w głowie od wypitego miodu. Zaśmiała się jakoś niewyraźnie.

— Chodź za mną — powiedziała.

Tir szła tuż obok, cała schowana pod wielkim płaszczem Helgi. Niedaleko wejścia spotkały mężczyznę, który niósł ogromną misę miodu. Też był pijany. Wykrzykiwał coś i śpiewał, i uklonił się gospodyni, gdy go mijała. Przy wejściu jednak odwrócił się i ze zdziwieniem szarpnął siwe, zwisające w kosmykach włosy.

— Na Odyne — mruczał. — Wyraźnie widziałem, że gospodyni miała cztery nogi! Miód musiał być naprawdę mocny dziś wieczorem.

Helga wzięła jedną z pochodni umocowanych w ścianie domu i weszła po krętych schodach. Światło pełgało po pięknie rzeźbionych drzwiach z żelaznymi okuciami.

— Tu jest moja sypialnia.

Odnalazła mały klucz z brązu i otworzyła drzwi.

— Niewolnicy nie mają tu nic do roboty — powiedziała. — Ale ty możesz wejść, skoro masz mi coś ważnego do powiedzenia.

Poszła przodem a Tir, ślaniając się, za nią. Znalazły się w pomieszczeniu co najmniej tak dużym jak izba w domu Brede. Helga zakręciła się, zapaliła pochodnie na ścianach i po chwili zrobiło się widno jak w dzień. Pod ścianą stało łóże z rzeźbami końskich głów na narożnikach, zaścielone puchowymi poduszkami.

— Dotknij — powiedziała Helga. — Miałś kiedyś w rękach coś równie rozkosznego i miękkiego? A popatrz tu! — Podbiegła do skrzyni ze złotymi okuciami. Otworzyła wieko i wysypała całą zawartość na podłogę. Tak pięknych ubrań chyba nikt jeszcze nie widział! Były tu lśniące jedwabie i pięknie tkane krajki, futra i hafty. Najpiękniejsza była czerwona suknia z jedwabiu ze złotymi ozdobami na gorsie.

— A chcesz zobaczyć moje kosztowności? — Ze schowka w ścianie wyjęła małą szkatułkę i wysypała jej zawartość. Roziskrzyły się piękne korale, zalśniły górskie kryształy i barwione na niebiesko szkło, zabłysło złoto. Helga przesypywała skarby między palcami i śmiała się dumnie. — W tym dworze ja jestem panią — powiedziała i stanęła w pełnym świetle. Wiedziała, że prezentuje się wspaniale. U pasa nosiła mnóstwo kluczy: do halli, do własnej sypialni, do obór, magazynów i lamusów, a także wiele małych kluczyków do skrzyń i szkatulek w całym dworze. Klucze dzwoniły i pobrzękiwały, gdy chodziła po izbie.

Tir opadła na ławę. Przemarzła strasznie i teraz drżała na całym ciele. Głowa opadła jej na piersi i z trudem patrzyła na wirującą przed nią Helgę. Z rany na ramieniu spływała czerwona strużka.

Nagle Helga zatrzymała się i uważniej popatrzyła na Tir. Wyglądało na to, że zaczyna trzeźwieć.

— Tir! — zawołała i uklękła przed nią. — Tir, jesteś ranna! Na imię Frei, dziewczyno, tracisz przytomność!

Tir jak przez sen słyszała, że Helga otworzyła ciężkie drzwi i zawołała jedną ze swoich niewolnic.

— Przynieś mi gorącej wody — krzyknęła.

Wkrótce parujące naczynie z wodą stało przed gospodynią. Helga zdjęła z siebie święteczne ubranie, znalazła jakieś gałganki, które maczała w wodzie i przemywała ramię Tir.

— Tylko nie krzycz — powiedziała surowo. — Jeśli nas usłyszą, zaraz się tu zaroi od ludzi. — Tir zaciskała zęby, ale łzy płynęły jej ciurkiem, gdy Helga przewiązywała ranę.

— Jak to się stało? — pytała Helga pomagając Tir się ubrać.

— Zaraz spróbuję ci to wytłumaczyć — szeptała Tir. Słowa padały urywane, bez związku, ale tym razem Helga zrozumiała.

— Wskakuj do mojego łóżka — powiedziała w końcu. — I połóż się jak najbliżej ściany. Starkodd, spity do nieprzytomności, leży na dole w halli. Dzisiejszej nocy nikt tu nie

przyjdzie.

Tir zapadła się głęboko w miękkie poduszki. Ciało było ciężkie i senne, ale bolące ramię paliło jak ogniem. Przed oczyma przelatywały urywane, przerażające obrazy: jeźdźcy ze lśniącymi mieczami, wynurzający się z ciemności, Reim schwytyany i wzięty do niewoli, spienione wody rzeki i pustkowia u podnóża gór z tańczącymi we mgle dziwnymi postaciami.

Następnego dnia rozeszła się we dworze wiadomość, że gospodyni nie czuje się dobrze. Zostaje w swojej sypialni i życzy sobie, by jej tam dostarczono wodę i jedzenie. Nikt się temu specjalnie nie dziwił. W dzień po uczcie ofiarnej nie tylko gospodyni nie była w stanie utrzymać się na nogach. Gospodarz sturlał się wieczorem pod stół w halli, leżał tam chrapiąc potężnie, z głową w resztkach jedzenia i piwa. Służące okryły go skórą, a któraś wpadła na pomysł, by wylać na jego twarz resztki miodu z misy. Wyglądał teraz, jakby pływał w miodzie i tłuszczu.

— Jedz — namawiała Helga podając Tir kawałek mięsa. — A tu masz kwaśne mleko do popicia.

— Nie mogę. Taka jestem zmęczona!

Tir opadła z powrotem na poduszki. Nie panowała nad swoim ciałem. Rana bolała strasznie.

Helga zjadła trochę mięsa i zabrała się do porządkowania ubrań, ozdób i kosztowności rozrzuconych po podłodze. Zebrała to wszystko i wrzuciła do wielkiej skrzyni w kącie. Raptem wybuchnęła płaczem. Drobne ramiona drżały.

— Co mi po tym wszystkim! — Zaczęła deptać czerwoną jedwabną suknię i kopać jakieś ozdoby wciąż rozrzucone po podłodze. — Jestem chora z tęsknoty za matką i ojcem, i za całym rodzeństwem. Nawet bliźniaczki chętnie bym wzięła do siebie. Zawsze kiedy siadam obok Starkodda na honorowym miejscu w halli, marzę, żeby się znaleźć na naszej pięknej polance w zagajniku, gdzie bawiliśmy się w łuczników. Pamiętasz? — Oczywiście, że Tir pamiętała. Słabo kiwnęła głową. — Wołałabym tam biegać boso po polu niż tutaj chodzić po halli w trzewikach z miękkiej, cielejącej skóry — szeptała Helga. Pociągała nosem i płakała. Twarzyczka pod białym czepkiem zamężnej kobiety pozostała jak dawniej, dziecinna i piegowata. — Jesienią tu, we dworze, urodzi się dziedzic. Wszyscy tylko na to czekają. — Wstała i wytarła nos wierzchem dłoni. — Teraz trzeba pomyśleć, co zrobimy z tobą. — Zaczęła chodzić po pokoju. — Jedno jest w każdym razie pewne. We dworze pozostać nie możesz. Starkodd jest wujem Narvego. Nie mogłaś podejść bliżej gniazda żmij.

Otworzyła drzwi i zawołała cichutko:

— Drumba, jesteś tam? — Szary cień ukazał się w wejściu. — Wiem, że masz chore nogi, Drumba, ale tylko ty możesz zanieść tę wiadomość, którą chcę ci przekazać. Tylko na tobie jednej w tym dworze mogę polegać.

Drumba natychmiast pojęła, o co chodzi. Przemknęła przez podwórze i wkrótce zniknęła w mroku.

Tir zapadła w głęboki, ciężki sen. Leżała tak przez cały dzień. I prawie nie zauważyła, że czyjeś bezpieczne ramiona objęły ją i przez dziedziniec dworu Starkodda poniosły w noc.

Digralde chodził niespokojnie po izbie.

— Muszę ruszać na wschód — rzucił krótko. — Życie niewolnika niewiele jest warte, gdy wielkie orły chwycą je w swoje szpony.

Una stanęła przy nim.

— To nie jest bardzo mądre, co chcesz zrobić, Digralde. Høvding rozkazuje wielu ludziom, a oni mają ostrą broń.

— Nie zaznałbym spokoju — mruzczał Digralde. — Wiem już, co się dzieje z Reimem. Spotkałem wczoraj w górach Ahmeda, tego małego czarnowłosego niewolnika, i on opowie-

dział mi, co się stało. Jeżeli nie zamordują Reima, na pewno będą chcieli odesłać go z powrotem do Norwegii, bo należy do rodu jarla. — Digralde wziął swoją chłopską siekierę z szerokim ostrzem, a do pasa przytroczył wielkie kowalskie obcęgi. Zatrzymał się w drzwiach. — Za kilka dni z naszej zatoki wyjdzie kupiecki statek. Ma zamiar płynąć aż na Morze Irlandzkie...

Una popatrzyła na niego zdziwiona.

— Przecież ten statek należy do Ossura, ojca Narvego...

— Nie wszystko na tym świecie jest proste — powiedział Digralde. — Trzeba ryzykować. Na trzeci dzień po złożeniu Narvego w kurhanie Ossur z drużyną przywiezie tu nad fiord towary, które ma załadować na statek. Cała nadzieja w tym, że Bentein nam pomoże. To on popłynie z towarami do Irlandii. A gdyby nam się udało przemycić dzieci na pokład...

Una słuchała nie wierząc własnym uszom.

Digralde mówił dalej:

— Jeśli mamy je bezpiecznie wprowadzić na statek, musimy to zrobić bardzo chytrze. Pamiętasz tę małą górską grotę, w której latem bawiła się Astrid?

Una popatrzyła na łóżko. Twarzyczka Tir bieląła otoczona koroną miedzianych włosów. Dziewczynka leżała z zamkniętymi oczyma, usta miała na wpół otwarte. Chore ramię leżało na okryciu ze skóry jak zwiędły kwiat.

— Oczywiście — zgodziła się Una. — Pokażę jej to miejsce. Niech Tor i Freja, i wszyscy bogowie cię chronią, Digralde.

Digralde wyprowadził konia, założył uprzęż i wskoczył na siodło. Po czym ruszył i zatrzymał się dopiero w zagrodzie Bredego. Tam przedłożył dziwną prośbę: by Brede pożyczyc mu wyprawioną niedźwiedzią skórę, którą przechowywał jeszcze z czasów, gdy zajmował się polowaniem.

Tir zdawało się, że leży w gęstej, czerwonej mgłę. Czowała mdły zapach ziół, zapach paleniska i gotowanego jedzenia. Próbowwała wstać, lecz bez skutku. Chciała krzyczeć, ale głos zamierał jej w gardle. Jakby pływała w wielkim kotle, w którym gotował się czarodziejski napój, a wiedźmy pochylały się nad nią i stroiły do niej paskudne grymasy. Czarodziejski napój ogarniał ją całą i wciągał w dół, do jeszcze gorętszej głębi, gdzie bulgotało i kipiało.

— Pomóżcie mi — dyszała. — Pomóżcie mi!

Leżała tak bardzo długo, wciąż zlewając się potem.

Jednak w pewnej chwili stało się tak, jakby uchwyciła wreszcie krawędź tego czarodziejskiego kotła. W końcu udało jej się podnieść. I natychmiast wiedźmy zniknęły, a paląca gorączka opuściła jej ciało. Leżała teraz w lekkim zamroczeniu. Słyszała głosy, podnoszące się i zacichające. Widziała jakieś postacie, które zbliżały się do niej i znów zniknęły, jak cienie w mroku. Powoli opadała też owa czerwona mgła. A potem ogarnęło ją także uczucie, jakby weszła do lasu, do dużego, jasnego lasu, gdzie światło słoneczne sączyło się przez gałęzie. Uniósł twarz i zobaczyła, że on znowu tam jest. Błękitny ptak! Krążył wysoko, nad koronami drzew, tak spokojnie jakby pływał w powietrzu. Ptak pochylił głowę. Poprzez drżące liście Tir zobaczyła, że ma ludzką twarz. Znajomą, budzącą poczucie bezpieczeństwa. Z trudem starała się zebrać myśli. Rysy stawały się coraz wyraźniejsze.

— Czy to ty, Una... Spałam chyba bardzo długo...

— Tak, tak — śmiała się Una. — Całe siedem dni leżałaś bez przytomności. Byłaś ciężko ranna, dziecko. Ale Una wie, jak używać ziół i czarodziejskich zaklęć, by oszukać boginie losu. — Przyniosła kilka owczych skór. — Poczekaj, podłożę ci pod głowę, żebyś mogła się trochę rozejrzeć i zobaczyć, gdzie jesteś. W tej zagrodzie gospodarzem jest Digralde od czasu, gdy ostatniej zimy zmarł jego ojciec.

Tir popatrzyła dokoła. Izba była niewielka, zbudowana z dużych kawałków dryfowego drewna i torfu, ale zupełnie nie mogła pojąć, jak Digralde może się wyprostować pod tym

niskim dachem. Wewnątrz było przytulnie i ciepło, choć na dworze wiatr tłukł się o węgly domu.

Wtedy usłyszała przyciszone głosy na zewnątrz.

— Ćśśś — mówił ktoś. — Pamiętajcie, że Tir jest chora. Musimy siedzieć cichutko jak myszy, żeby się nie obudziła.

— Jest tu ktoś, kto od dawna wypatruje za tobą oczy!

Una otworzyła drzwi, a Tir poczuła, że radość przepelnia jej piersi. Zebrali się wszyscy ci, których знаła, gdy była niewolnicą jarla w Norwegii. Przyszła Sigrid i jej mali synkowie. I Tora, z którą się bawiły przy pasieniu krów. Tora trzymała teraz na rękach rozbawione, dwuletnie dziecko. Była to dorodna dziewczynka, śmiejąca się całą buzią, przy czym pokazywała małe, mysie ząbki. Ciągnęła długie warkocze Tory jakby to były lejce.

— Wio! Ruszaj stara kobyło! — krzyczała i zanosila się śmiechem.

— Astrid, córka rozbójnika — mówiła czule Tora podrzucając dziecko.

— Jak się pewnie domyślasz, to jest moja mała córeczka — powiedziała Una. — To ją jarl kazał wynieść do lasu i zostawić wilkom. A teraz jest większa i silniejsza niż wielu chłopców w jej wieku. — Roześmiała się. — O tak, daję sobie radę, gdy się z nią drażnią, i niczego na świecie się nie boi. A tu jest moje nowe maleństwo. — Pokazała Tir małe zawiniątko, w którym leżało czerwone na buzi niemowlę. — Mała siostrzyczka Astrid wcale nie jest od niej gorsza.

Tora podeszła do łóżka, na którym leżała Tir, i stanęła onieśmielona. Wszystko między nimi było teraz jakby trochę inne. Twarz Tory wyszczuplała, a piegi znikły. Ale dawne wesołe błyski w oczach zostały.

— Te kwiatki są dla ciebie — powiedziała podając Tir bukiet. — To pierwsze, jakie znalazłam w tym roku. Uważam, że pasują do ciebie. Tak samo uparcie trzymają się życia jak ty. Wsuwają główki spod gliny i żwiru, mimo że na dworze jeszcze hula zimny wiatr.

Tir pogłaskała żółte, zmierzwiowane kulki. Zdawała sobie sprawę, że obudziła się z długiego snu i nagle przypomniała sobie, co się stało. Zrzuciła z siebie okrycie i próbowała postawić nogi na ziemi.

— Co się dzieje z Reimem? — krzyknęła. — Może on już nie żyje?

Una zmarszczyła brwi i ułożyła ją z powrotem na pościeli.

— Bądź rada, że sama uszłaś z życiem — powiedziała surowo. — Dziś wieczorem zabiję owcę. Zapłonie ogień ofiarny, a czarodziejskie zaklęcia popłyną do Walhalli. Wszystko powinno obrócić się na lepsze dla Reima i Digaldeggo.

— Przychodzę, żeby się z tobą pożegnać — powiedziała Helga. — Tutaj masz żytni placek, który tak lubisz.

— Jesteś taka radosna!

— Bo byłam u jednej starej volvy *, która umie przewidywać przyszłość — odparła Helga. — Wywróżyła mi, że Starkodd umrze. — Tir popatrzyła na nią z trwogą. — Przez dwadzieścia lat radził sobie na wikińskich wyprawach — ciągnęła Helga — a teraz wróżba mówi, że to miód go wykończy. Ostatecznie na jedno wychodzi, czy siedzi w swoim dworze i wlewa w siebie miód, czy też żłapie go razem z innymi wikingami w Walhalli. — Tir musiała się roześmiać. — Nie rozumiesz — szeptała Helga — że kiedy zostanę sama we dworze, to ja będę o wszystkim decydować? Moje dziecko będzie dziedzicem majątku, ale póki nie dorosnie, to ja będę wszystkim rządzić. I może w końcu będę mogła wyjść za mąż za tego, którego sama wybiorę?

— A kto by to był? — zaciekawiała się Tir.

Helga uśmiechnęła się, raptem onieśmielona.

* Volva — wróżka, osoba znająca się na czarach, spokrewniona z siłami nadprzyrodzonymi.

— Jest ktoś, kogo strasznie lubię — odparła. — Jeśli go dostanę, będę szczęśliwa. Nie był zbyt rozumny i wyprawiał się na wiking, gdzie stracił rękę, ale myślę, że tą drugą potrafi mnie objąć wystarczająco mocno.

Tir uśmiechała się. Nie tak trudno było zgadnąć, kogo Helga ma na myśli. Helga wcisnęła coś Tir do ręki.

— Weź to — powiedziała. — Kupiec musi dostać trochę srebra, skoro ma was przewieźć przez morze.

Tir obejmowała po kolei wszystkich zebranych w małej izbie. Wreszcie obie z Uną wyruszyły drogą wiodącą w dół, na brzeg. Księżyc jeszcze się nie ukazał nad górami i nikt nie widział, dokąd poszły.

III

Tir skuliła się. Znowu słychać było trzask suchych gałązek w zaroślach, ale tym razem jakby bliżej. Była pewna, że ktoś ostrożnie zbliża się w jej stronę.

Gdyby tylko mogła się wyzbyć tego obrzydliwego strachu. Już od północy siedziała w tej ciasnej grocie i czekała. Księżyc świecił teraz nad wzgórzami. Morze lśniło jak olbrzymia misa ze srebra, tylko wysokie skały od północnego wschodu rzucały na wodę długie cienie. To na tych właśnie skałach rozbił się statek. Morze wciąż obmywało umarłych, którzy legli w głębinie pewnej sztormowej nocy, ponad rok temu.

Usłyszała cichutkie pogwizdywanie. Jakby gdzieś daleko krzyczał jakiś morski ptak. Poczula ciepło rozchodzące się po całym ciele. Teraz to był Reim. Przecież w końcu przyszedł.

Zaraz potem zobaczyła ich, jak zbiegają ścieżką w dół. W jasnym świetle księżycy widziała wyraźnie Digraldego w niedźwiedziej skórze na ramionach i Reima w brązowym owczym kozuszk. Za nimi szedł mężczyzna z wielkim workiem na plecach. Musiał to być irlandzki kupiec. Zdziwiła się jednak, gdy zobaczyła; że jest też z nimi ów mały, czarnowłosy chłopiec z dworu høvdinga.

Irlandzki kupiec pozdrowił ją w ojczystym języku:

— Musiałaś się bardzo bać, dziecko. — Pomógł jej wyjść z groty.

— Nic takiego — odparła Tir. — Tylko, że tak długo to trwało.

Digralde zachichotał.

— Nigdy nie miałem do załatwienia trudniejszej sprawy, jak oderwać Benteina od jego islandzkiej narzeczonej. — Rozpostarł ramiona i troje dzieci padło mu w objęcia. — Nie mamy wiele czasu na pożegnania — zamruczał. Jego głos dziwnie drżał. — Zanim słońce wstanie, przybędzie Ossur Svarte z towarami. Musicie się dobrze ukryć, jeśli chcecie ujść z życiem.

Wydawało się, że chce powiedzieć coś jeszcze. Ale zastanawiał się przez chwilę, stał i swoją wielką dłońią gładził grzywkę Reima. Po czym odwrócił się i zniknął w cieniu zarośli.

— Ukryjcie się w pokładowym namiocie — powiedział Bentein.

Skulili się wszyscy troje i wsunęli za olbrzymi pęk skór, wiszący w kącie. Leżeli tam cichutko jak myszy, wsłuchani w łoskot fal, rozbijających się o burtę. Tir była tak zmęczona nocnym czuwaniem, że oparła głowę o miękkie owcze skóry i natychmiast zapadła w sen. Wkrótce jednak obudził ją hałas w namiocie i ponury głos:

— Kładźcie towary tutaj, chłopcy. Trzeba je porządnie układać, jedno na drugich. Musi się tu dużo zmieścić.

Reim, gdy usłyszał głos Ossura Svarte, począł drzeć.

— Leż spokojnie — szeptała Tir. Trzymała go tak mocno, że wbijała mu paznokcie w dłoń.

Ossur i jego ludzie długo gospodarowali w namiocie. Ustawiali beczki i ciężkie skrzynie, układali worki. Ładowali najróżniejsze towary — bele wełnianego samodziału i ptasi puch, fiszbiny, wełnę i tran, kozie skóry i siarkę.

— Patrzcie dobrze, czy nie ukrywają się tu gdzie jacy uciekinierzy — warczał Ossur. — Ostatnio przesładują mnie nieszczęścia. Dziś w nocy zniknęło z mojego dworu dwóch parszywych niewolników; irlandzki rudzielec i ciemnoskóry chłopak z Arabii. Moi ludzie powiadają, że jakieś złe siły maczały w tym palce, ale ja myślę, że ma to swoje naturalne wytłumaczenie.

Bentein stłumił śmiech.

— Mogę cię zapewnić, Ossur, że jedyne żywe stworzenia na pokładzie to pchły, co się chowają w tych skórach!

Ossur roześmiał się i uderzył dłonią w wiązkę skór.

— Tak, zapewne, zbiegli niewolnicy to nie ćmy, które na oślep lecą w płomienie! — Podał Benteinowi rękę. — Wiatr wieje we właściwym kierunku. Obiecuj mi, że wszystko dobrze sprzedasz, a po drodze będziesz się wystrzegał morskich rozbójników.

— Jeśli wszystko pójdzie dobrze, będziemy z powrotem, zanim nadejdą jesienne sztormy — odparł Bentein.

Wreszcie statek zaczął powoli odbijać od brzegu. Tir czuła w swojej dłoni rękę Ahmeda. Jakby chciał się upewnić, że to rzeczywiście prawda. Ale wyjść z ukrycia odważyli się dopiero, gdy statek był na pełnym morzu. Cały czas trzymali się blisko Benteina.

Na mostku stał mężczyzna z siwą brodą i coś porządkował w takielunku.

— Powinniśmy byli wyruszyć wcześniej — burczał. — Wiatr był wczoraj lepszy. Ale zawsze bezpieczniej, żeby kilka statków płynęło razem. Na wodach, które będziemy odwiedzać, aż się roi od wikingów i wszelakiego rodzaju piratów!

Teraz dopiero dostrzegł trzy postacie chowające się za plecami Benteina i oczy mu pociemniały.

— A cóż to za załogę taszczysz za sobą, jeśli wolno zapytać? Może mamy też oseski, które by tylko jadły, ale o robocie na statku nie mają pojęcia? Nie potrzebuję cię chyba pytać, czy to zbiegłych niewolników tutaj przechowujesz. Znam cię, Bentein. Kupcem jesteś dobrym, ale dla tej niewolniczej hołoty serce masz miękkie jak wosk!

Bentein śmiał się. Rzucił siwobrodemu mały, skórzany woreczek.

— A jeśli ja dobrze znam ciebie, Havtor, to sprawi, że nie będziesz widział czego nie trzeba. To wystarczy, żeby zamknąć ci usta!

Havtor złapał srebro i schował w przepastnej dłoni. Uśmiechnął się bezzębными ustami i wrócił do takielunku. Nigdy potem Tir już nie słyszała, by pytał, skąd się wzięli albo dokąd się wybierają.

Tir i Reim stali przy relingu i ostatni raz patrzyli na Islandię. Tam, na wyspie, myślała Tir, w cieniu Świętej Góry, schowana pod torfem i mchem leży deszczułka pokryta runami. Wryli na niej magiczne słowa... Nigdy się nie dowie czy tu, gdzie teraz są, znaleźli się z powodu tajemnej mocy zawartej w runach, czy dzięki modlitwom, które zanosila do świętych w niebie.

Widziała znowu twarze Bredego i Bergliot. Wstyd jej było, że uciekła z Bredesgard bez słowa. Wiedziała, że zawsze, póki życia, myśl o tym będzie jej sprawiać ból.

Przypominała sobie Helgę. Mała dziecinna Helga, z którą bawiła się w Ingolfsgard i która zdradziła swój potężny ród, by pomóc jakiejś biednej niewolnicy. Tir zastanawiała się, czy myśląc o Heldze zawsze będzie widziała te okrągłe, niebieskie oczy, nawet za sto lat?

A jednak najtrudniej było się żegnać z Uną i z Digraldem. To byli wierni przyjaciele od początku, od chwili gdy, porwani przez wikingów, ona i jej brat znaleźli się w Norwegii, na

dworze jarla. Nigdy nie spotkała ludzi tak silnych i odważnych jak oni. Zachowa ich we wdzięcznej pamięci, wraz z innymi dobrymi wspomnieniami, na zawsze.

Wszystko złe, co w ciągu tych lat przeżyła, chciałaby jak najszybciej zapomnieć i zmyć z siebie, tak jak morze obmywa i opłukuje kamienie i morskie trawy w głębinach.

Tir wysunęła rękę za reling. Niby przypadkiem rozwarła dłoń i upuściła to, co w niej trzymała. Mały węzełek zniknął w spienionych falach. Był w nim nóż, krzesiwo i kościany grzebień, których używała, gdy była niewolnicą. Teraz wszystko to wpadło do morza i zniknęło w głębinie. Gdy znowu spojrzała w dal, Islandię przysłoniła już poranna mgła. Dokoła, jak okiem sięgnąć, było tylko błękitne morze i niebo.

— Reim — zagadnęła — co się działo potem, gdy pojмали cię ludzie Ossura Svarte?

— To długa historia — odparł Reim. — Jest wiele rzeczy, o których bym najchętniej zapomniał...

Ale z czasem Tir dowiedziała się jednak, co się stało.

Ludzie høvdinga zaprowadzili Reima do dworu. Chłopiec odchodził od zmysłów ze strachu, gdy stanął pośrodku dużej halli.

Wewnątrz panował mrok, tylko kilka niewielkich pochodni rzuciło trochę światła na ściany. Przez zasłonę gęstego dymu, wydobywającego się z paleniska, Reim widział ponure twarze wikingów. Raz po raz błyskały topory i miecze.

Było ich wielu, a on był sam. Oni byli dorosłymi wojownikami, a on miał zaledwie dwanaście zim i był niewolnikiem.

Czuł, że serce wali mu jak młotem. Dudniło w piersi, krew pulsowała w skroniach. Zdawało mu się, że cały pokój wypełnia to dudnienie jego serca. Oni także to słyszą, myślał. Słyszą, jak strasznie się boją. Ossur Svarte siedział na honorowym miejscu. Podniósł się powoli i ruszył przed siebie, a wojownicy usuwali się na boki. Złote ozdoby lśniły na jego szerokiej piersi. Na wpół ukryty pod obszernym płaszczem miecz połyskiwał złowrogo. Høvding szedł prosto do Reima. Chłopiec czuł jego oddech na swojej twarzy.

— Ty, najmarniejszy ze wszystkich robaków, jakie pełzają na ziemi — wysyczał. — Ty zamordowałeś najwspanialszego młodego høvdinga na całej Islandii!

— Zabij go natychmiast, ojczu! — zawołał cienki chłopięcy głos.

Høvding zacisnął wargi. Reim ledwo rozumiał słowa, które tamten ze świstem z siebie wyrzucał.

— Moi wojownicy mogli na miejscu zrobić z tobą koniec. Ale ja chciałem poczekać. Nie mogłem sobie odmówić rozkoszy patrzenia na to, jak będziesz umierał.

Reim chciał krzyczeć. Otworzył usta, ale z gardła nie wydobył się żaden dźwięk. Strach przesłaniał mu oczy czerwoną mgłą. Rzucił się do ucieczki jak przerażone zwierzę, ale wojownicy jarla byli czujni. Chwycili go i trzymali mocno. Na znak høvdinga ściągnęli z niego kurtkę. Stał na wpół nagi przed szeregiem mężczyzn. Skulił ramiona tak, by jak najgłębiej schować w nich głowę.

Høvding wyciągnął rękę, w której trzymał bicz.

Reim walczył ze sobą. Już kiedyś, gdy był jeszcze w Norwegii, poznał uderzenia bicia w plecy. To było wtedy, gdy zgubił stado owiec należące do jarla. Zbito go tak, że plecy były jedną płonąca raną.

Teraz, gdy zobaczył bicz w rękach høvdinga, nie był w stanie stać prosto. Upadł pod nogi wojowników, wbił palce w glinianą polepę, jakby chciał się schować pod podłogę.

Za każdym razem, gdy bicz ze świstem spadał mu na plecy, napinał ciało i próbował stanąć na nogi.

Gdy otworzył oczy, nie widział nic, nawet własnej dłoni. Pomieszczenie, w którym się znajdował było ciemne jak noc. Nie wiedział, jak długo tak tu leżał w omdleniu, ale musiało

chyba minąć wiele dni i nocy. Zaczął płakać. Strach i samotność pokonały go. Był nagi i przemarznięty, ale odarte ze skóry plecy paliły żywym ogniem. Nie był w stanie nawet usiąść, leżał na brzuchu, rozciągnięty na ubitej ziemi. W pomieszczeniu nie było nic oprócz paru starych, sztywnych skór, ale te nie mogły go ogrzać.

Zapadał w sen i wtedy zapominał na chwilę o wszystkim, ale zaraz pojawiały się koszmarne majaki. Śniło mu się na przykład, że leży na stosie rozżarzonego węgla, który przypala mu skórę. Ból przejmował całe ciało.

Budził się zlany potem i uświadamiał sobie, że rzeczywistość jest jeszcze gorsza. Z całego serca pragnął umrzeć. Płakał gorzko, że święty Patryk nie chce wysłuchać jego modłów.

Wielokrotnie przedtem myślał już o śmierci. Kiedyś, gdy zaraza dziesiątkowała ludność w irlandzkich wsiach, zmarło kilku jego rówieśników. Zdarzało się też, że umierały nowo narodzone dzieci. Matka wciąż opowiadała o małym braciszku, który przeżył tylko kilka dni. Ale że on sam miałby umrzeć, o tym nie myślał nigdy przedtem. Nie myślał też o śmierci, gdy on i Tir zostali porwani przez wikingów. Czuł się wtedy zgnębiony. Zgnębiony i przerażony, jednak czepiał się nadziei, jak rozbitek na morzu chwyta się pływającej deski.

Teraz wiedział, że śmierć się zbliża. Nawet moce niebieskie nie są już w stanie mu pomóc.

Gdy ból nie był taki przejmujący, zapadał w półomdlenie i zwidywały mu się wtedy różne, niejasne obrazy. Widział siebie znowu w małej zagrodzie w Irlandii, widział czarnobiałe krowy pasące się na trawie, zielone pola i stary las dębowy pełen światła i cieni. Widział mały klasztorny kościółek i bluszcz, który oplatał jego szare, kamienne ściany.

Płakał i drapał paznokciami twardą, ubitą z ziemi podłogę. Ledwo skończył dwanaście lat i już miał umierać. A wydawało mu się, że jeszcze prawie wcale nie zaczął żyć.

W pewnym momencie podniósł głowę i zaczął nasłuchiwać. Docierały tu do niego głosy z zewnętrznego świata. Słyszał hałas i krzyki, i rżenie koni. To pewnie krewniacy Ossura przybyli na uroczystości pogrzebowe høvdingowego syna.

Reim domyślał się, że piwnica, w której leży, znajduje się pod hallą dworu, bo wciąż słyszał tuż nad głową tupot i hałasy. Na górze rozpoczęto pieśni dla uczczenia zmarłego. Śpiewali i recytowali przez całą noc. Najpierw była długa opowieść o bogu śmierci, Odynie, i życiu w Walhalli, domu Odynowym. Tam znajdują się po śmierci wszyscy, którzy zginą od broni i będą, dzień po dniu, toczyć wieczną walkę.

Nagle Reim drgnął. Zdawało mu się, że słyszy jakiś głos tuż obok. Ktoś stał za drzwiami.

— Reim — usłyszał ciche wołanie. — To ja, Ahmed!

Reim poczuł, że radość jak maleńki, ciepły płomyczek ogrzewa mu ciało. Nie był już mimo wszystko taki całkiem sam ze swoim strachem i ciemnością.

Ahmed starał się mówić po norwesku:

— Tu chleb dla ciebie. Teraz ja daję tobie.

Reim macał rękami po podłodze. W drzwiach, u dołu, był niewielki otwór; może to mysz wygryzła kiedyś dziurę? Tędy Ahmed podał chleb.

— Dziękuję — szepnął Reim.

— Drzwi zamknięte, żelazny zamek — wyjąkał Ahmed. — Gdyby nie, mogliby uciec razem. Teraz ja już iść.

Reim słyszał oddalające się kroki. I znowu był sam.

Zuł powoli skórkę chleba starając się, by starczyła mu jak najdłużej. Na górze robiło się coraz ciszej. Domyślał się, że goście, opiwszy się miodu, posnęli.

Następnego dnia po pogrzebie niewielki orszak konnych wjechał na dziedziniec dworu Ossura Svarte. Na pierwszym koniu siedziała młoda kobieta, jeszcze prawie dziewczyna, otulona szarym płaszczem z kapturem. Przed wejściem do halli odrzuciła kaptur i zeskoczyła

z konia. Jej oczy wyrażały zdecydowanie. Dała znak, by towarzyszący jej mężczyźni czekali na zewnątrz. Przywiązali komie do słupów i odpoczywali. Stali nieporuszeni, a tymczasem drobna dziewczęca postać skierowała się ku wejściu do siedziby høvdinga. Z wnętrza wciąż jeszcze słyhać było głosy płaczek, przypominające wycie wilków do księżyca. Pod urwiskiem skalnym, na północ od dworu, widniał świeżo usypany kurhan.

Høvding Ossur Svarte wyszedł na dziedziniec. Tuż za nim szła jego żona, mała, blada kobieta, z twarzą na wpół schowaną pod lnianym czepek.

— A jakąż to sprawę masz, krewniaczko, że nie mogłaś przysłać jednego ze swoich niewolników i fatygujesz się sama?

— Nie wszystkie sprawy niewolnik może wyłożyć we właściwy sposób — odparła Helga. Starła się mówić tak jak to czynią dorosłe, stateczne kobiety. — Jeśli dziwi cię, że Starkodd mi nie towarzyszy, to powiem ci, że dzieje się tak dlatego, iż siedzi nad misą piwa i nie bardzo jest w stanie rozmawiać. A już całkiem trudno byłoby mu utrzymać się na koniu! — Spojrzała na nich dumnie i powiedziała: — Dziwne są obyczaje w tym dworze, skoro kogoś, kto całą noc podróżował konno, nie prosi się do środka, by się ogrzać.

Ossur zrobił przejście tak, by Helga mogła wejść do halli. Westchnął głęboko.

— To smutek czyni mnie zgorzkniałym, droga krewniaczko. Temu, kto utracił syna, nie pozostaje nic oprócz rozpacz.

— Cała twoja rozpacz skupia się tylko w myśli o zemście — stwierdziła Helga stając naprzeciw Ossura. Sięgała mu głową zaledwie do ramienia. Ujęła się pod boki i uniosła dumnie głowę. — Trzymasz w swojej wartowni niewolnika, który, o ile wiem, należy do gospodarza Bredego. Proszę cię, byś go uwolnił najszybciej jak to możliwe.

Ossur spoglądał na Helgę z niedowierzaniem, po czym zmarszczył brwi i ryknął:

— Musiałaś postradać zmysły, krewniaczko! Przebyłaś tę całą długą drogę, by prosić o życie jakiegoś niewolnika? To powiem ci od razu, że niepotrzebnie się trudziłaś.

— Proszę w imieniu Bredego — powiedziała Helga. — Brede to człowiek sprawiedliwy i nie ma w okolicy ani jednego wroga.

Ossur uderzył pięścią w słup podtrzymujący dach.

— Ten niewolnik umrze! — wrzasnął. — Poza tym wiem na pewno, że jest on własnością rodu jarla w Norwegii. Jeśli chłop Brede będzie sobie rościł jakieś pretensje do tego niewolnika, to muszę go ostrzec, że niewiele zostanie z jego zagrody, którą z takim trudem zbudował w naszej okolicy.

Oczy Helgi zapłonęły. Machała zaciśniętą pięścią pod nosem Ossura.

— Tak mówi ktoś, kto na zewnątrz jest wielkim panem, a w głębi duszy nędznym, pełzającym robakiem — krzyczała. — Skąd możesz bez wahania wiedzieć, że to właśnie ten niewolnik winien jest morderstwa?

Ossur zbladł. Ze schowka w ścianie wyciągnął zakrwawioną strzałę i rzucił ją na stół.

— Jeśli posiadasz sztukę run — warknął — sama odczytasz imię.

— To jest strzała Reima — zgodziła się Helga.

Ossur prychnął.

— Nie znajdziesz lepszego dowodu, kto jest mordercą — rzekł krótko. — Teraz, droga krewniaczko, możesz wracać razem ze swoją świtą.

— Nie odjadę, póki nie powiem, - z czym tu przybyłam — wybuchnęła Helga. — Jest nas tu, w okolicy, troje dorosłych ludzi, wszyscy mamy ponad piętnaście zim i chcemy w tej sprawie świadczyć na tingu. Reim miał świetny łuk, który rzadko chybiał celu. To prawda, że na strzałach jest imię Reima. Ale prawdą jest również i to, że Grim Gissursson ukradł Reimowi łuk, gdyśmy kiedyś na polanie prowadzili zawody strzeleckie!

Ossur, siedzący teraz na honorowym miejscu, pochylił się do przodu i z uwagą przyglądał się jej twarzy.

— Prawda to, co powiadasz, krewniaczko?

— Świadców znajdziesz w Snorresgard i Toresgard — odparła Helga. — Tam mieszkają nasi rówieśnicy, z którymi bawiliśmy się tamtego dnia. Jeśli chcesz, możesz tam pójść. Ale sądzę, że odpowiedź dostaniesz taką samą...

Ossur zamyślił się. Jego oczy przypominały zimne, czarne kamienie.

— A więc to był Grim, syn Gissura Lodinssona — mruczał pod nosem. — Nigdy nie było prawdziwego pokoju między naszymi rodami...

Wstał i zapiął pas.

— Przygotujcie ostrą broń! — krzyknął do ludzi zgromadzonych przy końcu długiego stołu. — Przygotujcie najlepsze miecze i dzidy. Mogą nam dzisiaj być potrzebne!

Tjodhild, żona Ossura, siedziała przy stole i wszystko słyszała. Teraz wstała. Była drobniutka jak wróbel, ale mimo to władcza, gdy tak stała w swoim czepku na głowie i z kluczami u pasa.

— Byłoby lepiej, gdybyś inaczej wychowywał swoich synów, Ossur, a nie tylko uczył ich myśli o zemście — powiedziała. — To ciężka strata, że Narve został nam odebrany, ale nie pozwólmy, by to doprowadziło do dalszych przestępstw. Kiedyś musi pomiędzy naszymi rodami nastać pokój. Nasz syn także nie był całkiem bez winy, taki zapalczywy i dumny...

Ossur odsunął ją na bok.

— Przywdziewać zbroje! — zawołał. — Mamy ważniejsze rzeczy na głowie niż gadać o byle czym z kobietami!

— A Reim? — zapytała Helga. — Niewolnik Bredego...

Ossur włożył kolczugę przez głowę i przypiął miecz do pasa.

— Dość mam tego całego gadania — warknął. — Ten nędznik powinien się cieszyć, że uchodzi z życiem. Pozdrów Bredego i powiedz mu, że jeśli kupił niewolnika legalnie, na targu, to ja mu zwrócę srebro, które stracił. Ale gdy tylko wrócę, pierwszym statkiem odprawię niewolnika do Norwegii. Będzie to nauka dla innych, że nie oplaca się uciekać od swego pana...

Był wieczór. W Bredesgard czuwano.

— Zdaje mi się, że słyszę chrzęst broni — powiedziała Bergliot, wyglądając przez otwór okienny. Zakryła dłonią usta, by nie krzyknąć, gdy zobaczyła wielki orszak zbrojnych ludzi, pędzących na koniach z rozwianymi grzywami.

— A więc przyszli, Brede — szepnęła. — Niech wszyscy bogowie z Walhalli mają nas w swojej opiece.

Synowie chwycili za broń. Nawet Ravn ujął dzidę zdrową ręką. Twarz Bredego bieląca w matowym świetle sączącym się przez otwór okienny.

— Żeby tylko nie podpalili zagrody — wycedził. — Kosztowało mnie wiele trudu, żeby ją zbudować.

Wstrzymując oddech, siedzieli i czekali w napięciu. Po chwili Bergliot zawołała znowu:

— Nigdy bym... Oni minęli naszą zagrodę!

— Ty masz lepszy widok — powiedział Brede. — W którą stronę pojechali?

— Na zachód — odparła Bergliot podniecona. — W stronę dworu høvdinga Gissura.

— Pewno znaleźli prawdziwego zabójcę — odgadł Brede. — Teraz znowu zacznie się wojna między rodami høvdingów.

Brede i Bergliot w napięciu spoglądali na zachód, w dolinę. Dymu nie było jednak stamtąd widać, nie słysząc też było niczego, co by mogło wskazywać, że przeciwnicy chwycili za broń.

Później dowiedzieli się dlaczego.

Tego dnia we dworze Gissura gościła Aud. Gissur wezwał ją, bowiem uzyskał nowe wiadomości na temat pożaru, który strawił jego dom. Gdy Aud zobaczyła zbliżających się wojów, wyszła na dziedziniec i zastąpiła im przejście.

— Zejdź z drogi, Aud! — zawołał Ossur Svarte.

— Najpierw chciałabym się dowiedzieć, w jakiej sprawie przybywacie — odparła Aud.

— Nie przychodzę w pokojowych zamiarach — krzyknął Ossur. — Tylko głuchy i ślepy może nie wiedzieć, że mój syn został wczoraj pochowany. A teraz wiem, że mordercą nie jest podły niewolnik, lecz syn høvdinga. — Podniósł do góry zakrwawioną strzałę. — Teraz przychodzimy siłą odebrać łuk, do którego przynależy ta strzała. Nie popełnię wielkiego błędu, jeśli powiem, że znajduje się on tutaj, we dworze.

Wtedy w drzwiach ukazał się Grim, wspierany przez ojca i brata. Był blady jak upiór, a zapadłe oczy wyglądały jak dwie ciemne dziury. Mówił ojciec:

— Masz tu ten łuk — zawołał i rzucił broń pod nogi Ossura. — Ściągnął na nas tylko przekleństwo. Mój syn także ma pamiątkę po walce z Narve: o mało nie stracił nogi. Leżał nieprzytomny od tamtej nocy i nigdy już nie będzie dobrym høvdingiem. Gdyby strzała nie trafiła Narve, to prawdopodobnie mój syn znajdowałby się teraz w Walhalli.

— Trafi tam i tak — warknął Ossur i chwycił za miecz. — Miej jednak na uwadze, że to nie nasz ród zerwał pokój!

Wtedy Aud zastąpiła drogę jego koniowi. Wiatr szarpał jej ubraniem.

— A ja uważam, że zrywa pokój ten, kto podpala dwory w okolicy!

— Uważaj na słowa, Aud! — Oczy Ossura pociemniały. — Chcesz powiedzieć, że ktoś z moich ludzi ponosi winę za pożar we dworze Gissura?

— Na pogorzelsku znaleziono to — powiedziała Aud, wyciągając rękę. — Jest to srebrna szpilka, która, jak wiem, od wielu pokoleń należy do waszego rodu!

Ossur pochylił się. Wziął szpilkę i długo jej się przyglądał. Ci, którzy stali najbliżej, opowiadali potem, że oczy niezłomnego høvdinga zrobiły się wtedy wilgotne.

— Szpilka należała do Narve — powiedział cicho. — Dostał ją jako mój pierworodny syn, gdy zaczął stawiać pierwsze kroki w naszym dworze, w Norwegii.

Schował miecz do pochwy. Długo siedział w milczeniu na koniu.

— Odeszła mi chęć do walki, gdy zobaczyłem ten kawałek srebra — powiedział w końcu. — Aud, zwana mądrą, ma rację. Będzie najlepiej, jeśli wrócimy do domu.

Ale we dworze Ossura panowało wielkie zamieszanie. Służba i niewolnicy biegali jak przestraszone kury. Gdy høvding z wojownikami opuścił dwór, nieoczekiwanie na dziedzińcu wpadł wielki niedźwiedź. Szedł, kołysząc się, na dwóch łapach wprost do piwnicy, gdzie trzymano więźnia, połamął zamek na kawałki i porwał irlandzkiego niewolnika. Nikt nigdy nie przeżył czegoś podobnego. We dworze zapanowało przerażenie. Jakieś złe siły musiały w tym maczać palce. A najdziwniejsze było to, że mały, czarnowłosy chłopiec z Arabii także zniknął.

W Bredesgard Bergliot obsypywała przed nocą popiołem żarzące się w palenisku węgle.

— Wydarzyło się dziś wiele dziwnych rzeczy — powiedziała — o których długo jeszcze ludzie w okolicy będą opowiadać.

Usiadła na ławie obok swego męża i synów. Pogładziła wielką dłoń Bredego.

— Dziękuję boginiom losu, że nadal będzie pokój — powiedziała cicho. — Ale mimo to jestem niespokojna. Nic na to nie poradzę, że moje myśli wciąż biegną do tych dwojga irlandzkich dzieci, które teraz są już daleko na morzu, w drodze do swojej ojczyzny.

Trasa wiodła przez Orkady. Havtor miał tam wypakować jakieś towary i zabrać nowe. Mały arabski chłopiec także chciał opuścić statek. Mówił, że ma na wyspach znajomych. Kiedy go porwano w Arabii i wieziono na północ, okręty wikińskie zatrzymały się na jakiś czas w porcie na Orkadach. Ahmed był wtedy bardzo chory; miał wysoką gorączkę, a całe ciało zdawało się płonąć. Wikingowie zanieśli go do młodej, miłej kobiety, która знаła się na sztuce leczenia. Jeśli tylko zdoła odszukać jej chatkę, to potem znajdzie się pewno jakaś okazja,

by dostać się na statek płynący do ojczystego kraju, marzył.

Tir i Reim patrzyli za nim w zamyśleniu. Do krajów arabskich droga była daleka. Leżały one po drugiej stronie wielkiego świata. Żadne z nich nie wierzyło, że Ahmed zdoła tam kiedyś dotrzeć, ale nie mieli odwagi odbierać mu nadziei. Jego ciemne oczy płonęły jak gwiazdy, gdy stał gotowy do zejścia na ziemię Orkadów — kamienisty archipelag pośrodku wielkiego, szarpanego sztormami morza.

— Powodzenia! — wołali, a chłopiec odpowiadał w swoim ojczystym języku.

Żeglowali kierując się słońcem za dnia, a gwiazdami w nocy.

Tylko raz trafiła się zła widoczność. Ale stało się to w takiej chwili, że Bentein zastanawiał się, czy to nie sam święty Patryk osłaniał ich swoją opiekuńczą dłonią. Byli w połowie drogi między Orkadami a Morzem Irlandzkim. Nagle niedaleko zobaczyli jakieś statki. Z podniesionymi żaglami zbliżały się szybko przy sprzyjającym wietrze.

W ciągu tej podróży przez wielkie morze widzieli już wiele statków, ale zawsze z dużej odległości. Te kierowały się wprost na nich.

— Potrzebują pewnie jakiejś pomocy — powiedział Reim. — Może zabrakło im wody do picia...

Havtor roześmiał się ponuro.

— O nie, ci ludzie na pewno nie świeżej wody potrzebują, nie. — Zagryzł zęby. — Poznają smocze głowy i znaki na żaglach. To wikingowie, morscy piraci!

Teraz na pokładzie zapanował niepokój.

— Tacy ludzie nie czekają, aż przybiję do lądu — syczał Bentein. — Tylko głupi nie rozumie, jaki to świetny interes uprowadzić statek załadowany towarami. No, chłopcy! Teraz musimy przypomnieć sobie, czegośmy się nauczyli ze sztuki żeglowania!

Wszyscy liczyli na starego Havtora. Prawie przez całe swoje życie żeglował między Norwegią, Islandią i wyspami zachodnimi. Zwykł był mawiać o sobie, że jeśli on czegoś nie wie o statkach i żeglowaniu, to tego na pewno nie warto wiedzieć. Gdy ktoś próbował udzielać mu rad na morzu, robił się zły jak leming.

— Szczury lądowe! — krzyczał i patrzył na nich spode łba — Chłopy chore na morską chorobę!

W tym czasie gdy żeglował jako kupiec, Havtor prawie każdego lata był ścigany przez wikingów, ale zawsze udawało mu się wyjść z tego cało.

Teraz stanął przy sterze i śpiewnym głosem wykrzykiwał w stronę załogi jeden rozkaz po drugim. Statek orał fale aż bryzgi piany leciały na pokład. Maszt wygiął się w łuk.

Ale statki wikińskie także sunęły z wielką szybkością. Były już tak blisko, że widać było ludzi na pokładzie. Zza tarcz umieszczonych wzdłuż burt co chwila ukazywały się głowy w hełmach i lśniaca broń. Za chwilę wikingowie mogli podejść na odległość strzału z łuku.

Ale nagle słońce zaczęło się pogrązać w mroku. Nad morzem pojawiła się mgła i wkrótce statek znalazł się w sinym tumanie, równie gęstym jak wełna na owcy. Żeglowali po omacku, nie widząc dalej niż na wyciągnięcie ręki. Gdy po jakimś czasie tuman począł rzednąć, nie widać już było ani okrętów z głowami smoków, ani wikingów.

Tir była wstrząśnięta. Wszystko jedno czy pomogły im dobre, czy złe siły, czuła zimny dreszcz na plecach. Było to tak jakby sam morski potwór wysunął głowę z wody i zasłonił okręt mgłą. Ale Havtor śmiał się zadowolony i chciał się zakładać o swoją brodę, że to pospieszne żeglowanie skróci całą podróż o wiele dni.

Tir wiedziała, że gdyby nawet miała żyć sto lat, nigdy nie zapomni tego dnia, gdy przypłynęli do Dublina. Było tak jakby po bardzo długiej nocy obudziła się w złoty poranek, gdy powietrze i morze przesycone są słonecznym światłem. I w tym niezwykłym świetle ukazało jej się miasto ze swymi małymi i dużymi domami, z basztami i wieżami. Statek tańczył po grzbietach fal. Tir stała na dziobie i czuła, jak radość powoli wypełnia jej ciało — od głowy

aż po czubki palców. Była jak księżniczka ze szklanej góry, która po wielu latach niewoli powraca do ojczyzny. Statek był ptakiem wolności, który przeniósł ją na potężnych skrzydłach do zielonej wyspy, którą знаła tak dobrze. Powietrze drżało od dźwięku dzwonów, a na brzegu stał lud irlandzki i czekał..

— Patric! — zawołała i rzuciła mu się na szyję. — Tak się cieszę, że mogłabym cię udusić. Jesteśmy w domu! W Irlandii!

— To nie powód, żeby się tak zachowywać!

Patric wyrwał się z jej objęć i odsunął na bok. Wtedy zobaczyła, że jego oczy są pełne łez. Ramiona mu drżały. Pociągał nosem i wycierał oczy wierzchem dłoni.

Czy kiedykolwiek naprawdę wierzyli, że uda im się powrócić do ojczyzny? Przez cały czas gdy byli niewolnikami w Norwegii, nie mieli odwagi rozmawiać o matce, o ojcu, babci Gaelion i o rodzeństwie. Każde nosiło swoje myśli w sobie i przechowywało dobre wspomnienia jak najdroższy skarb. Dopiero teraz uświadamiali sobie, że są wolni. Wszystko było jak we wspaniałym śnie. Wrócili do kraju, w którym był ich dom. Wrócili do tych pełnych tajemnic lasów, do urodzajnych irlandzkich pól, gdzie tyle jest dzikich kwiatów i traw, do szerokiego, błękitnego nieba nad zieloną wyspą.

— Wybierać liny! — Potężny głos Havtora niósł się nad pokładem.

Kierowali się w stronę jednego z największych nabrzeży w mieście, załoga miała teraz ręce pełne roboty, by przygotować statek do wejścia do portu. Na pokładzie panował hałas i zamieszanie. Po nabrzeżu biegali jacyś mężczyźni, wymachiwali rękami i pokazywali, dokąd statek ma przybić. Reim musiał zeskoczyć na brzeg z linką cumowniczą.

— Domyślam się, że teraz oddychacie swobodniej — powiedział Bentein i dał Reimowi sójkę w bok. — Tylko na przyszłość trzymajcie się z daleka od wikingów i piratów.

Bentein potrzebował pomocy, by wypakować na brzeg całe swoje bogactwo. Tir i Reim musieli więc wynosić na ląd beczki i skórzane worki. Na nabrzeżu stał mężczyzna z wielkim brzuchem, który dziwił się za każdym razem, gdy Bentein rzucał w jego stronę jakiś pakunek.

— Co ty tam masz w tych workach, człowieku? Wielkie są jak domy, a ważą mniej niż powietrze, którym oddychamy.

— To ptasi puch z Islandii — wołał Bentein w odpowiedzi. — A tu bele samodziąłu, bierz! Spójrz tu! — Bentein zeskoczył na ląd i rozwiązał rzemienie skózanego worka. — Patrz, tu jest coś, czym możesz oczarować wszystkie dziewczęta w Dublinie. — Wyjął z worka skórę białego lisa, która lśniła jak śnieg w jasnym świetle poranka.

Gruby mężczyzna gładził skórę dłonią i kiwał z uznaniem. Za tak piękny towar mógłby dostać każdą cenę, jakiej zażąda.

Bentein wraz z kupcem zapakowali towar na wóz i powieźli do jednego z portowych magazynów, z dala od nabrzeża. Tir i Reim poszli za nimi. Przy nabrzeżach statki stały ciasno, jeden przy drugim, a wszędzie kupcy wyładowywali albo załadowywali towary. Tyle ruchu i zamieszania Tir nigdzie jeszcze nie widziała. I że gdzieś na świecie mogło być tyle ludzi jak tu, w Dublinie, tego też nie mogła pojąć. Zaglądała w wąskie uliczki, które wiodły od nadmorskich magazynów do miasta. Roilo się tam od dzieci, które bawiły się i biegały. Kobiety nosiły wiadra i dzieże, mężczyźni ciągnęli małe wózki wypełnione towarami albo nosili na plecach wielkie tłumoki. Ci, którzy byli najładniej ubrani, nie nosili nic. Widziała mężczyzn w płaszczach lamowanych futrem, z pasami nabijanymi srebrem i pozłacanymi mieczami. W pewnej chwili stanęła i aż usta otworzyła z podziwu, widząc w wąskim zaułku grupę dziewcząt. Miały na sobie długie suknie z najpiękniejszego jedwabiu, który mienił się i szeleścił, gdy szły. Na piersiach nosiły mnóstwo złotych ozdób i pięknych kamieni. Szły wyprostowane, nie oglądając się ani w prawo, ani w lewo.

— Chodź! — zawołał Reim. — Na co się tak gapisz?

Tir pobiegła za swoimi. Po obu stronach uliczki stały domy o ścianach plecionych z chrustu i oblepianych gliną. Z otworów w dachach uchodził dym i siał się jak szara mgła nad

miastem. Ludzie wciąż wchodzili i wychodzili z domów. Jakiś człowiek próbował wpędzić kozy do zagrody na tyłach domu, zwierzęta opierały się, a mężczyzna krzyczał i kłął. Niedaleko była studnia, gdzie kilka małych dziewczynek, ślizgając się po błocie usiłowało nabrać wody do wiader. Dalej mali chłopcy bawili się w berka na środku ulicy i Bentein musiał na nich krzyżeć, by usunęli się z drogi. Domów było tutaj dużo i stały blisko siebie. Tir bała się, że mogłaby się zgubić i już nie odnaleźć drogi z powrotem. Najlepiej było trzymać się swoich.

W końcu przystanęli przed dużym domem. W tym samym momencie drzwi się otworzyły i wysoki mężczyzna, z wyciągniętymi ramionami, wybiegł witać Benteina.

— Morze nie dało ci jeszcze rady — powiedział i śmiał się aż echo odpowiadało w uliczkach. — Znasz ty dobrze marynarski krok, stary morski orle!

Reim i Tir zbledli i przez długą chwilę stali przerażeni. Ten człowiek mówił po norwesku! Uświadomili sobie teraz, że i dzieci biegające po ulicy rozmawiają w tym języku. Tego nie mogli zrozumieć. Byli przecież w Dublinie. Byli w swojej ojczyźnie Irlandii, a mimo to wszyscy dokoła mówili po norwesku. Lodowaty dreszcz strachu przeszedł Tir po plecach.

— Chodźcie — wołał Bentein, który potrzebował ich pomocy, by wypakować worki z wozu. Tir drżała na całym ciele tak, że nie mógł tego nie zauważyć. — Jesteś znowu chora — wymamrotał. — Za dużo pracy jak na ciebie.

Tir stanęła na wprost Benteina i spojrzała mu w twarz.

— Ten człowiek jest Norwegiem — powiedziała z taką złością, że prawie wypływała słowa. — Wziąłeś trzy sztuki srebra za przywiezienie nas do Irlandii i oszukałeś nas! Wiem, że masz zamiar sprzedać nas temu człowiekowi jako niewolników. Sprzedałeś nas jak chłop jałówki na targu.

Bentein patrzył na nią zdziwiony.

— Skąd ci to przyszło do głowy, dziewczyno?

— Nie próbuj się wymigiwać! — Tir prawie krzyczała. Łzy popłynęły jej z oczu. — Całe to miasto pełne jest norweskich wikingów.

— Rzeczywiście tak jest — odparł Bentein i był równie spokojny jak wkopany w ziemię kamień. — Dawno, dawno temu nad tą okolicą panowali Irowie. Ludzie powiadają jednak, że to miasto zbudowali norwescy wikingowie i podporządkowali sobie ludzi, którzy mieszkali tu przedtem. Ale z czasem zaczęli się żenić z irlandzkimi dziewczętami i stali się spokojnymi, osiadłymi ludźmi. Przybysze z północy osiedlili się wzdłuż całego wybrzeża. Są chłopami, tak jak my i tak samo boją się wikingów i napastników jak sami Irlandczycy. Tak jest już co najmniej od stu lat.

Bentein śmiał się. Teraz Tir i Reim także zaczęli się śmiać. Ten mały zakątek Irlandii, w którym się urodzili, był tak oddalony od świata, że rzadko docierały tam jakieś nowiny. W ich małej wiosce wszyscy mówili po celtycku i nie było żadnych kupców, którzy żeglowali po świecie i przywozili towary z obcych krajów. Kiedy się jednak zastanowili, przypomnieli sobie, że mnisi opowiadali także o tej części Irlandii, która została zasiedlona przez obcych. Ale wtedy brzmiało to raczej jak jakaś legenda. Dopiero teraz uświadomili sobie, jak nieskończenie wielki jest świat.

Następnego dnia krążyli po małych zaułkach Dublina. Z jakiejś nieco szerszej uliczki wyszli na duży plac okolony ze wszystkich stron domami. To był miejski plac targowy. Ileż tam było ruchu i zamieszania! Czegoś podobnego nigdzie przedtem nie widzieli. Chłopi przywieźli na targ warzywa i owoce. Stały wozy z rzepą i kapustą, obok leżały czerwone jabłka, a dalej jajka, wielkie sery, wino w glinianych naczyniach, pszenne placki i orzechy. W kłatkach szamotały się kury, bydło ryczało. Jakieś stado owiec się rozpiezchło i biegało między straganami, wywołując zamieszanie i krzyki. Ludzie przeklinali i okładali pięściami biednego pastucha, który usiłował znowu zebrać stado. Biedak dyszał i sapał, czerwony na twarzy,

pełzał pomiędzy straganami, by połapać jagnięta i wielkie barany. Przez cały czas spadały na niego wściekłe razy i przekleństwa kupców, a wokół stali ludzie i śmiali się z uciechy. Ba, nawet jacyś mali dowcipnisie starali się ukryć kilka jagniąt, żeby biedak miał jeszcze więcej kłopotu.

Na jednym końcu placu były stragany, w których sprzedawano wyroby z drewna i kości. Były tam piękne nożyki i długie noże, kości do gry z fiszbinu, były szkatułki i krzyże, jakich księża i zakonnicy używają w klasztorach i kościołach. Rzeźbiarz siedział przed domem i pracował grzejąc się w słońcu. Zbierało się tu mnóstwo ludzi, by podziwiać jego pracę. Pewnie trzymał w rękach nóż, obracał i nacinał kawałek drewna, zdobiąc go w niezwykle linie i wzory.

— Patrzcie, patrzcie — mówili ludzie. — To prawdziwy rzemieślnik. — A ponieważ rzeźbiarz był człowiekiem ochoczym do pogawędki i umiał opowiadać ciekawe historie, wielu dobywało srebra z woreczków i wymieniało je na trzonek noża albo łyżkę z pięknym uchwytem.

Tir ujęła Reima za ramię.

— Spójrz tam — szepnęła.

Reim zwrócił głowę w stronę, gdzie patrzyła Tir, i zamarł. Stała tam gromada ludzi powiązanych rzemieniami i sznurami. Zajmowali tę samą część targowiska, na której sprzedawano byki i cielęta. Stali na wpół nadzy, a ludzie chodzili i przyglądali im się.

— Mam tu świetny towar na sprzedaż — wołał rudobrody wiking. — Sami zdrowi i młodzi mężczyźni!

Reim wziął Tir za rękę i szybko odeszli jak najdalej od tego miejsca. A więc w Irlandii też tak było. Wikingowie wyprawiali się do dalekich krajów, by rabować bogactwa i niewolników, ale, jak się mogli przekonać, nie tylko mieszkańcy Północy gotowi byli ich kupować. Wielu bogatych Celtów także chętnie kupowało silnego niewolnika do pracy.

Tir ogarnęły przykre wspomnienia. Całe zło, jakie ona i Reim przeżyli, powróciło ze zdwojoną siłą teraz, gdy zobaczyli tych powiązanych ludzi w kącie targowiska. Czuła się bezsilna. Nie mogła zrobić nic. Musiała odejść.

— O, tam jest Bentein — powiedziała nagle.

Bentein usadowił się na swoich workach z ptasim puchem. Skóry wywiesił na czymś w rodzaju statywu i uśmiechał się zadowolony. Wyglądało na to, że wszystkie młode kobiety z Dublina zebrały się wokół jego straganu. Gładziły piękne skóry, przykładały je sobie do twarzy i zarzucały na ramiona. Bentein żartował z nimi i mrugał do wszystkich po kolei. Tu, obok niego, Tir i Reim czuli się bardziej bezpieczni, ale nie wiedzieli, jak mają się z Dublina dostać do domu. Żołądki domagały się jedzenia. Długo patrzyli na złote bochenki chleba, które gospodynie sprzedawały niedaleko stąd.

Wtedy stało się coś nieoczekiwanego.

— Reim — szepnęła Tir. — Posłuchaj uważnie!

Z grupy młodych kobiet dolatywał dźwięczny głos, który różnił się od innych. Po akcencie poznali, że ta pani musi pochodzić z ich rodzinnych stron. Stała przy straganie i targowała u Benteina piękną skórę. Ubrana była w obszerny, ciemnobrązowy płaszcz, lamowany futrem kuny, z (maleńkimi dzwoneczkami u ramion. Włosy podtrzymywała złota siatka. Dama wyglądała bardzo arystokratycznie. Stała z przyjaciółką, oglądała i przewracała futra, a gdy na koniec zajrzała do swego skórzanego woreczka, roześmiała się.

— Muszę najpierw zapytać męża — powiedziała. — Schował srebro tak starannie, że sama go nie znajdę!

— Chętnie sprzedam wszystkie futra za całusa albo dwa — żartował Bentein.

Obie panie zachichotały, ujęły się pod ręce i odeszły.

W tym momencie mały pugilaresik eleganckiej pani upadł na ziemię. Reim podskoczył błyskawicznie i podniósł go. A potem skłonił się przed piękną panią.

Uśmiechnęła się przyjaźnie, jakby nie widziała jego połatanej odzieży i brudnych rąk.

— Dzięki ci, chłopcze! Nie mam wiele, by wynagrodzić twoją grzeczność, bo mój pugilares jest pusty jak miseczka na mleko po odwiedzinach myszy!

— Nic nie szkodzi — odparł Reim. — Ktoś, kto nigdy nie miał wiele, niczego nie oczekuje.

Głos pani stał się jeszcze bardziej przyjazny.

— Musisz pochodzić z tych samych okolic, co ja, mały oberwańcu. — I wymieniła nazwę miejscowości. Było to rzeczywiście niedaleko wsi, w której Reim i Tir się wychowali.

— To daleko od Dublina — powiedziała pani. — Jak się tu dostaliście? I głodni musicie być porządnie. Chodźcie ze mną do domu, nakarmię was.

Szczęście się teraz do nas uśmiecha, myślała Tir, idąc wąskimi ulicami za piękną panią i jej przyjaciółką. Mijali wiele budynków z plecionki i gliny, aż przyszli do domu większego niż pozostałe. Kobiety weszły do środka, a Reim i Tir za nimi. Pani zarządziła, by służba przygotowała jedzenie i wino dla dwojga małych gości i gdy oni zjadali wszystko, co znalazło się na stole, usiadła obok i zaczęła z nimi rozmawiać. Tir i Reim opowiadali, przerywając sobie nawzajem, a smaczne wino ożywiało ich. Pani z przerażeniem słuchała opowiadań o długiej i strasznej podróży, którą odbyli.

Tak, wiedziała o tym, że wikingowie napadli ich rodzinną wieś. Widziała dymy pożarów ponad dębowymi lasami, a wkrótce potem dotarły do niej złe nowiny. Przybyli też mnisi i inni uciekinierzy ze spalonej wsi. Ona sama i jej krewni pomagali im jak mogli, opatrywali rannych i uspokajali przerażone dzieci.

Później wyszła za mąż za bogatego kupca z Dublina, który przyjaźnił się z Normanami, mieszkającymi w tym mieście. Ona sama jednak nie lubiła pogańskich obyczajów, jakie zachowali, bowiem była surowo wychowana w wierze katolickiej. Odwiedzała też często mały klasztor, położony o jakieś pół dnia drogi od miasta.

Nagle twarz jej się rozjaśniła.

— W tym klasztorze mieszka ktoś, kogo pewnie znacie. Jutro pokażę wam drogę...

W Norwegii było bardzo pięknie, myślała Tir. Przypominała sobie fiordy, w których woda była ciemnozielona jak oczy smoka i pamiętała szczyty gór osnute szarobłękitną mgłą, porośnięte mchem polany w lasach, kwitnące białe zawilce, mroczne, szumiące sosnowe bory i spienione rzeki, spadające z gór do fiordów.

Pięknie też było na Islandii, gdzie rzeki niby szerokie srebrne wstęgi płyną przez łąki i lawowe pola, gdzie tyle zaczarowanych kamieni i tajemniczych gór, i szumiących brzoźowych zagajników, gdzie na szczytach gór spoczywają wielkie lodowce, oślepiająco białe na tle błękitnego nieba.

Ale nigdzie na ziemi nie jest tak pięknie jak w Irlandii. Nigdzie pola nie są takie zielone, nigdzie powietrze nie jest takie czyste, jasne i przesycone słońcem. Nigdzie ptaki nie śpiewają tak pięknie.

Siedziała w małym ogrodzie pomiędzy klasztornymi zabudowaniami, a powietrze zło-ciło się w słońcu. Silny zapach niósł się od tej części ogrodu, w której uprawiano zioła. Rósł tam tymianek, czosnek i kminek, kwitły wielkie, żółte i czerwone kwiaty. Po szarych murach piął się bluszcz o lśniących ciemnozielonych liściach. Pokrywał prawie wszystkie klasztorne zabudowania. Ćwierkały ptaki i słońce grzało tak rozkosznie!

— Jeśli nawet nie jesteś za bardzo bogata, moja siostrze, to jest w każdym razie coś, czego masz pod dostatkiem — powiedział Reim zaczepnie. — Są to mianowicie piegi. Widzę, jak ci wyskakują, jeden za drugim, gdy siedzisz tu na ławce. Jeśli ci wyskoczy jeszcze jeden, będziesz wyglądała, jakbyś przyjechała z Arabii.

— Och, nie wygłupiaj się — zachnęła się Tir i pociągnęła go za rudą grzywę. Ale jej głos brzmiał radośnie. — Idź i pochyl twarz nad tą beczką z wodą, która tam stoi, to zoba-

czysz, jak bardzo jesteś do mnie podobny!

Reim chciał się odgryźć, ale zamiast tego chwycił siostrę za ramię.

— Ćśśś! Tam, idzie!

Na końcu ogrodu ukazał się tęgi, na brązowo ubrany mężczyzna. Mimo piekącego słońca miał kaptur na głowie. Poznali go dopiero, gdy podszedł całkiem blisko. Uniósł wtedy twarz i zobaczyli dwoje poczciwych oczu, które miały taki kolor jak orzechy jesienią.

— Brat Cormac!

W jednej chwili znalazł się przy nich i przytulił mocno do siebie. Stali tak bardzo, bardzo długo w gorących promieniach słońca. Śmiali się i płakali na przemian. Żadne nie było w stanie przemówić ani słowa, dopóki brat Cormac znowu nie uniósł głowy.

— No, tak — powiedział. — Zdaje się, że róża, nad którą stoimy, dostała przed chwilą trochę wody. — Osuszył oczy i wytarł nos rękawem habitu. — Patric! — powiedział i uszczyptał go w ucho. — I Sunniva. Pociągnął ją za warkocz i długo się jej przyglądał. — Nie mogę uwierzyć, że to naprawdę wy. Muszę was wciąż dotykać.

Patric i Sunniva... Minęło już ponad dwa lata od czasu, gdy ktoś tak ich nazywał. Przywykli do swoich niewolniczych imion i prawie zapomnieli, że w domu, w Irlandii mieli inne. Nigdy więcej nie zawoła siostry imieniem Tir. Teraz znowu nazywają się Patric i Sunniva.

— Chodźcie ze mną — rzekł brat Cormac.

Szedł przed nimi przez ogród z ziołami; bracia zakonnicy spulchniali tam ziemię. Przeszli przez sad, gdzie na starych drzewach pełno było czerwonych jabłek i słodkich fioletowych śliwek, przeszli podcieniami obok małego kościółka i weszli do wielkiej, z kamienia zbudowanej sali.

— Uff — jęknął brat Cormac, ocierając pot z czoła. — Tu będziemy nareszcie mogli odetchnąć.

Usiadł na stołku.

— Mamy sobie dużo do powiedzenia. Bardzo dużo — rzekł poważnie. — Ale najpierw coś zjecie. Musicie być głodni. — Położył na stole chleb i ser, postawił naczynie z winem. — Najedzcie się porządnie — powiedział. — Wiem, jaki ma się apetyt, kiedy się rośnie jak wy.

Siedzieli i przyglądali się, jak gruby mnich zajada. Sami jedli niewiele. Ale nie odważyli się rozmawiać, póki brat Cormac nie najadł się do syta. Poklepał się wtedy po okrągłym brzuchu i wytarł usta dłonią. Usiadł potem prosto i powiedział:

— Wiem, o czym myślicie i jakie pytania was dręczą. Ale cierpliwości. Wszystko po kolei. Zastanawiacie się pewnie, jakim sposobem znalazłem się tutaj. Otóż gdy wikingowie napadli na naszą wieś i spalili klasztor, doszliśmy z braćmi do wniosku, że powinniśmy się przenieść w inne miejsce. Pogrzebaliśmy zabitych, opatrzyliśmy rannych, umieściliśmy ich na koniach i opuściliśmy wieś. Przykro było patrzeć na zrujnowany, dymiący ogród, który zostawialiśmy za sobą. Z klasztoru nie udało się uratować nic oprócz kilku oprawnych w skórę ksiąg, które jeden z braci ukrył w ogrodzie, zaraz gdy się zaczęło palić. Te księgi to było jedyne mienie, jakie wnieśliśmy do klasztoru, w którym teraz jesteśmy. Znaleźliśmy tu spokój i wytchnienie. Ja już nie mam żadnych innych pragnień, jak tylko opielić od czasu do czasu ogród warzywny i poczytać sobie w księgach.

Brat Cormac potrząsnął głową.

— Pomyśleć, że coś takiego mogło się wydarzyć w tej naszej małej, spokojnej wsi. Nikt przecież nie przypuszczał...

Szybko jednak otrząsnął się z tych myśli.

— Ale wkrótce zobaczycie jak pięknie jest znowu w naszej wsi. Każdy dom został odbudowany. Stary młyn miele zboże jak dawniej, znowu dymi kuźnia, a krowy i konie pasą się spokojnie w zagrodach. Twój ojciec, Patric, to bardzo zdolny człowiek. Nie ma domu we wsi, w którego budowie nie uczestniczyłby od fundamentów. Ale i żonę także ma pracowitą.

Ma ona co robić w swojej zagrodzie, a zawsze jest gotowa nieść pomoc, gdy ktoś jej potrzebuje.

— Żyje ojciec? I mama?

— Tak, myślę, że tak. Widziałem ich ostatnio jakieś pół roku temu. Trochę posiwiali oboje po tym, kiedy zniknęliście w taki sposób...

— A Moira i Cara?

— One także mają się dobrze.

— A mały braciszek Roderic?

— Pewnie nie bardzo by już chciał być nazywanym małym braciszkiem. Kiedy go ostatnio widziałem, zgubił właśnie dwa mleczone zęby i trudno mu było gwizdać. Ćwiczył się w strzelaniu z łuku, ale pierwsze strzały jakoś chybiały celu. Chociaż... nikt od razu nie zostaje znakomitym strzelcem.

Patric i Sunniva śmiali się. Widzieli znowu małego, rozdokazywanego braciszka, który — jeśli to możliwe — miał jeszcze więcej piegów i jeszcze bardziej płóienne włosy niż pozostałe rodzeństwo.

Ale brat Cormac zrobił się poważny. Jakby cień przesłonił jego poczciwą twarz, a światło przygasło w przyjaznych, brązowych oczach.

— Teraz muszę powiedzieć coś, czego bardzo bym nie chciał mówić. Babcia Gaelion nie żyje.

Te słowa zraniły Sunnivę jak ostra strzała. Uderzyły ją, długo dławiły w gardle. I to teraz, kiedy wszystko tak dobrze się skończyło. Teraz, gdy wrócili do ojczyzny, do wszystkiego, co znali i kochali, właśnie teraz babcia Gaelion zmarła...

— To było dla niej zbyt wielkie przeżycie, zagroda spalona, napad wikingów. Ale najgorsze ze wszystkiego było to, że wy zostaliście porwani i wywiezieni jako niewolnicy. Nie przestawała o tym myśleć. Byłem z nią podczas ostatnich dni jej życia. Zanim zamknęła oczy, powiedziała, że zdaje się jej, jakby was widziała przy swoim łóżku. „To są przecież moje kochane dzieci — powiedziała. — Teraz wiem, że wrócą do domu...”

Sunniva trzymała Patricę za rękę. Dobrze było tak iść razem przez mały klasztorny ogród. Zapach miodu i przypraw unosił się w powietrzu. Wiatr kołysał żółtymi, białymi i purpurowymi główkami kwiatów. Po łądkach pełzały mrówki. Na liściach i źdźbłach trawy siedziały małe owady. Motyl kołujący w powietrzu wyglądał jak mały, żółty kwiatek, który zerwał się z łąki. Było lato. Pora życia. Każdego roku trawa i kwiaty umierają, ale gdy nadchodzi wiosna, budzą się jak z długiego snu do nowego życia. Trzymała Patrica mocno za rękę i wiedziała, że on myślał o tym samym.

Gaelion umarła, ale Sunniva nigdy przedtem nie odczuwała tak silnie, że babcia mimo wszystko żyje. Ukochana twarz spoglądała na nią spoza traw i kwiatów. Słyszała jej głos w szumie wiatru. Szeptał o rycerzach i smokach, o trollach i potworach, i o tych wszystkich niezwykłych rzeczach, które się kiedyś wydarzyły w Irlandii. Słowa dźwięczały jej w uszach i ożyły obrazy, które nosiła ukryte w sercu. Kiedyś przekażę to dalej, myślała, wszystkie te piękne historie, które babcia Gaelion opowiadała. Wielu będzie tego słuchać i wielu będzie się dziwić, i zachowają to wszystko w marzeniach. I zrozumiała, że tak jest z ludźmi, którzy są kochani: żyją w myślach tych, którzy zostali na ziemi.

— A teraz chodźcie oboje do stajni — powiedział brat Cormac. — Coś wam pokażę, zanim się ściemni.

Szli przez zagrodę, w której bracia klasztorni trzymali swój inwentarz. Kilka kudłatych kóz skubało trawę, a stado białych i czarnych krów leżało pod ciepłym klasztornym murem. W małej zagrodzie biegały młode, szare króliki.

— O nie, nigdzie już teraz nie ma spokoju — wzdychał brat Cormac. — Konie musimy na noc zamykać w obawie przed złodziejami. Zbudowaliśmy dużą wieżę na klasztornym

budynku. Codziennie wdrapuje się tam jeden z braci i rozgląda się po okolicy, by jacyś rozbójnicy nas nie zaskoczyli. Teraz to zwyczajna rzecz, w tej części kraju, nosić siekierę pod mnisim habitem. Lepiej się mieć na baczności, niezależnie od tego czy napastnikami są wikingowie, czy nasi ziomkowie.

Brat Cormac otworzył drzwi do stajni. Wewnątrz było duszno; uderzył ich ostry zapach uprzęży i końskiego nawozu.

— Poczekajcie tu — powiedział mnich. — Zaraz wrócę ze zwierzęciem, które będziecie mogli zabrać, gdy się wybieriecie w rodzinne okolice.

Zniknął w mroku stajni. Słyszeli, że zagaduje do stojących tam koni. W chwilę potem wrócił, prowadząc dużą, siwą klacz. Miała piękne, lśniące oczy, a na czole jasną gwiazdę.

— Oto jest wasz wierny irlandzki przyjaciel, który was na pewno nie zapomniał — powiedział mnich. — A wy pewnie o niej zapomnieliście?

— To niemożliwe... — powiedział Patric.

— Och, czy to naprawdę... — Twarz Sunnivy rozjaśniła się. Tak, to ona! To Stella! — Stella! Stella!

Podbiegli oboje i głaskali konia po miękkim pysku. Gdy widzieli ją po raz ostatni, była małym, siwym źrebakiem na długich, chwiejnych nogach. To przez nią zostali porwani i wywiezieni z kraju. Wtedy, gdy wikingowie zjawili się na swoich ponurych, podobnych do smoków okrętach, wszyscy uciekali do lasu. Ale kiedy ogień objął zagrodę, Patric i Sunniva pomyśleli jednocześnie o tym samym: Stella została przywiązana w stajni. Stella się spali! I zawrócili oboje, by uwolnić konia. Dlatego zostali schwytani i wywiezieni za wielkie morze.

— Ale czemu Stella jest tutaj?

Brat Cormac pogładził konia po karku.

— Wasz ojciec Neal prosił mnie o to. Nie chciał jej u siebie trzymać, gdy zagroda została spalona. Ale obiecałem, że odprowadzę ją pewnego dnia. Zastanawiam się, co powie, kiedy zobaczy dorosłego konia wiozącego dwoje młodych ludzi, których pewnie także pozna.

Mnich pochylił się, pokazując nogę Stelli. Była tam blizna po głębokiej ranie.

— Gdy Stella biegła na wzgórze, uciekając z płonącej zagrody, złamała nogę tak groźnie, że przez jakiś czas zastanawialiśmy się, czy z tego wyjdzie. Ale dbaliśmy o nią bardzo i teraz już rana się zrosła. Utyka jeszcze trochę, ale to mimo wszystko świetny koń.

— A więc jesteśmy do siebie podobne — powiedziała Sunniva. — Przytuliła głowę do końskiego boku i długo gładziła miękką sierść. — Obie mamy smutne wspomnienia po wikingach. Moje ramię też już pewnie nigdy nie będzie naprawdę zdrowe.

— Myślisz, że ona uniesie nas oboje? — zapytał Patric.

— Tak sądzę — odparł brat Cormac ze śmiechem. — Ugina się pod ciężarem łasego na jedzenie mnicha, ale z dwojgiem takich chudzielców jak wy poradzi sobie na pewno.

Nazajutrz rano Sunniva pierwsza wdrapała się na konia, Patric usiadł za nią. I ruszyli kłusem, oddalając się szybko od pól i łąk należących do klasztoru. Zdawało się, że klacz rozumie, jaki cenny ciężar niesie na grzbiecie.

Patric i Sunniva... Patric i Sunniva... śpiewały końskie kopyta. Ich niewolnicze imiona zostały zapomniane na zawsze.

I wtedy dostrzegli ptaka. Krążył nad nimi wysoko w powietrzu i towarzyszył im, gdy jechali przez dolinę. Patric odwrócił głowę i zapytał:

— Widzisz tego wielkiego ptaka, tam w górze? Widziałaś już kiedy takiego dziwnego ptaka?

Sunniva uśmiechnęła się.

— Przecież on był z nami przez cały czas. Towarzyszył nam przez całą drogę do Islandii i potem z Islandii do naszej zielonej wyspy. Nie pamiętasz baśni, którą nam kiedyś opowiadała babcia Gaelion?

Patric przytaknął. Teraz zrozumiał. Serdeczne ciepło przepełniło jego ciało. Widział jakby wyraźniej słoneczne światło, jasne niebo i letnią zielen.
A nad nimi, w górze, krążył błękitny ptak wolności.

SPIS TREŚCI

Porwani przez wikingów	02
Ucieczka z wikińskiej niewoli	64